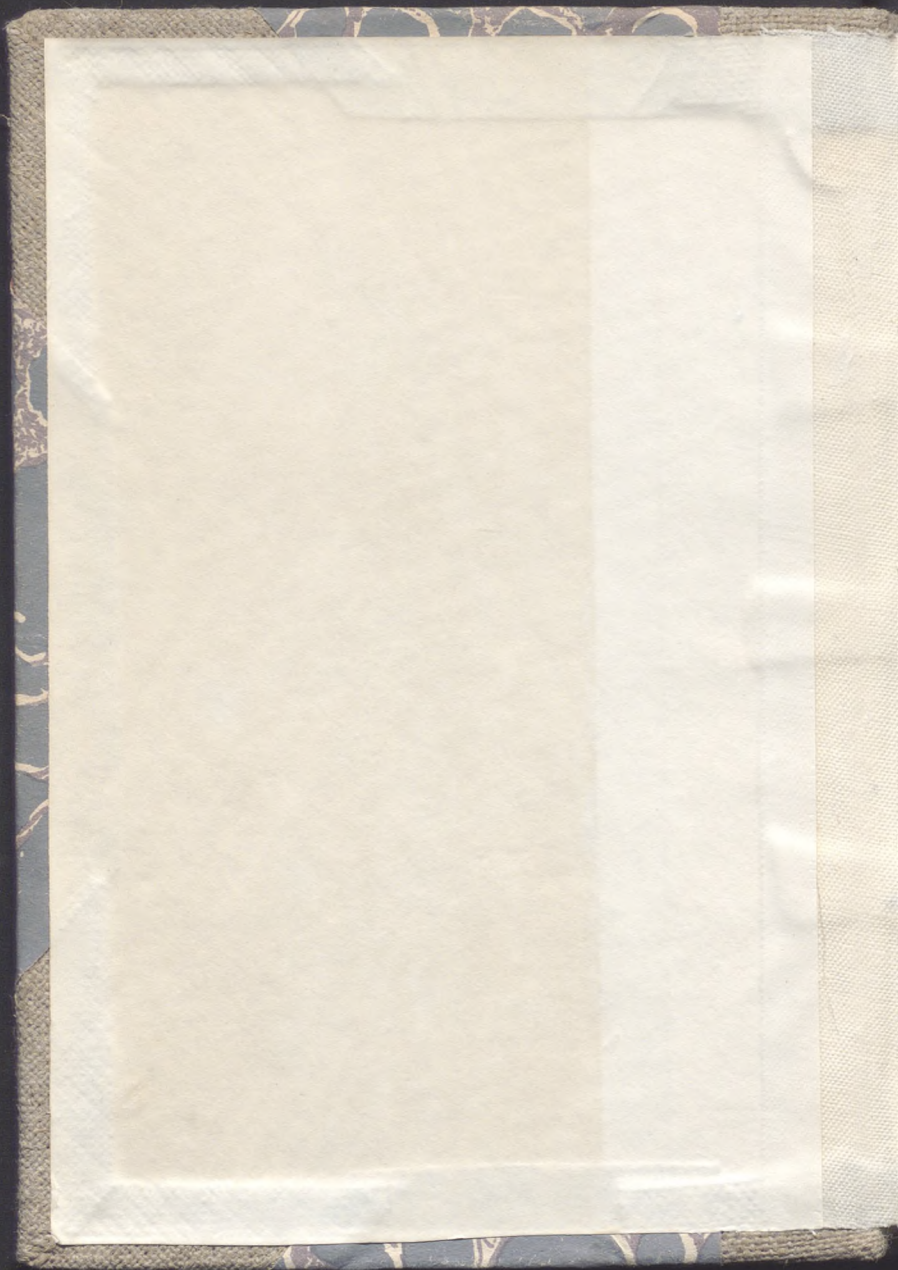
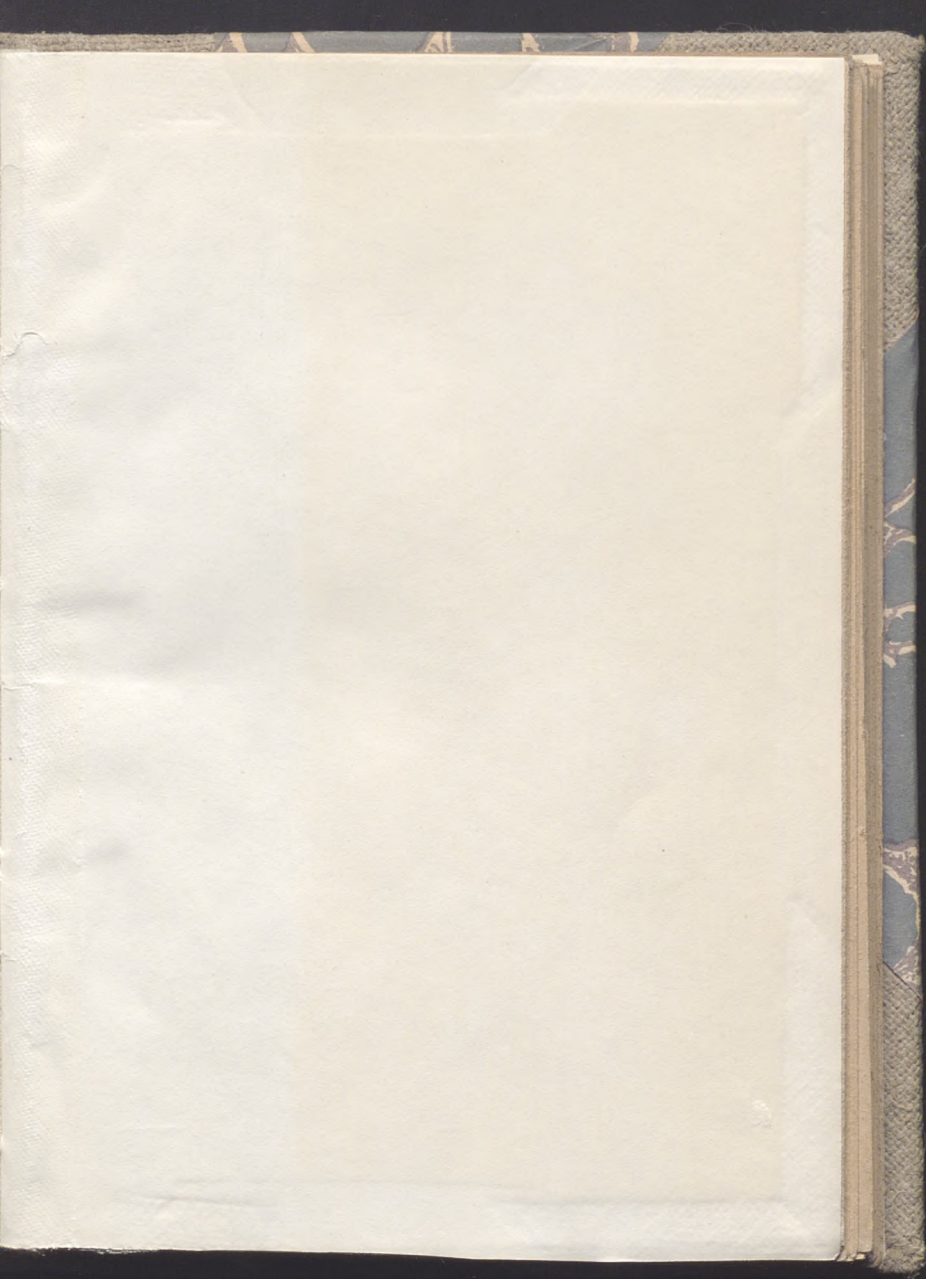


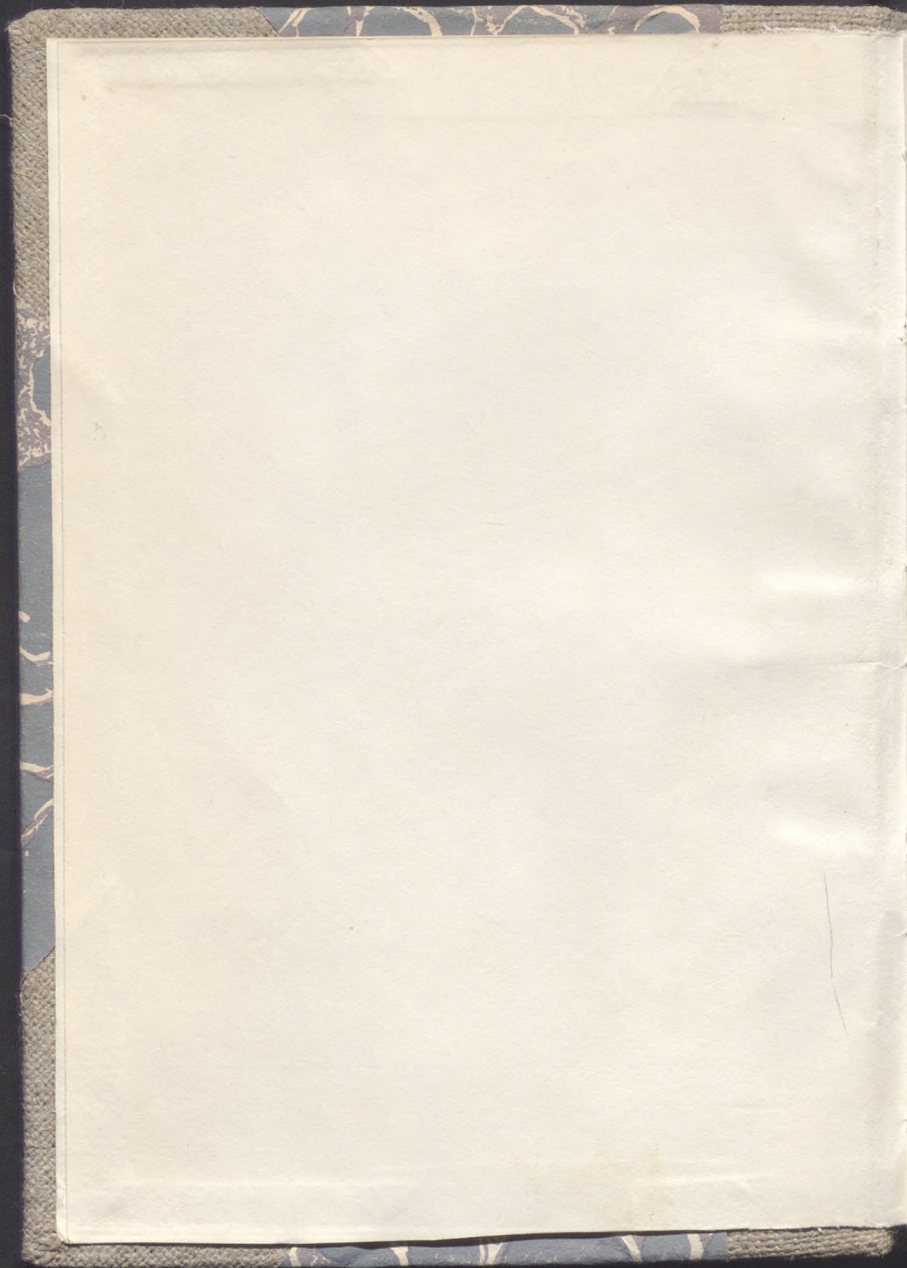
BN

BN









I. 1.460.771

TAJEMNICZY
OPIEKUN



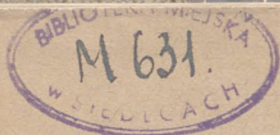
JEAN WEBSTER

TAJEMNICZY OPIEKUN

przekład
R. CENTNERSZWEROWEJ



WARSZAWA
BIBLIOTEKA GROSZOWA



BIBLIOTEKA GROSZOWA

WYDAWNICTWO TYGODNIOWE

REDAKTOR STANISŁAW MIKOŁAJ LUBA

WYDAWCA BIBLIOTEKA GROSZOWA

Warszawa, ul. Moniuszki 11. Konto P. K. O. 11.140.

WARUNKI PRENUMERATY:

Łącznie z dodatkami dla młodzieży i magazynem nHP, z przesyłką pocztową;
kwartalnie (za 13 ksiązek) Zł. 9 gr. 95.
i w oprawach 13 „ 95.

Prenumeratę przyjmuje Administracja
Biblioteki Groszowej i wszystkie urzędy pocztowe.

Ilustrowane katalogi gratis i franko.



I. 1460.771



Poliska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., ul. S-go Rocha 3

FATALNA ŚRODA.

Pierwsza środa każdego miesiąca była istnym dniem Sądu, dniem wyczekiwany z strachem, znoszonym mężnie i zapominanym conajrychlej.

Każda posadzka musiała błyszczeć nieskazitelnie, każde krzesło — odkurzone z najdrobniejszego atomu pyłu, każde łóżko — zasłane bez fałdki. Dziewiędziesiąt siedem młodych istot trzeba było poddać naprzód gruntownej operacji mycia, skrobania i szorowania, a potem przystrojenia w świeżo uprane i wykrochmalone, kraciaste, perkalikowe, albo barchanowe, sukienki — zależnie od pory roku; dziewiędzięciorgu siedmiorgu maleństw trzeba było wbić w głowy, jak się mają zachować i jak odpowiadać: „Tak, proszę pana” lub: „Nie, proszę pana”, ilekroć który z opiekunów łaskawie zwróci się do nich za zapytaniem.

Był to dzień pełen niepokoju i trosk, których główny ciężar spadał na barki Agaty Abbott, jako najstarszej z sierot Domu Wychowawczego imienia Johna Griera.

I tym razem owa fatalna Pierwsza Środa, miała się już, podobnie jak jej poprzedniczki, ku szczęśliwemu końcowi. Agata pospieszyła ze spiżarni, gdzie

smarowała tartynki dla środowych gości, na górę do zwykłego swojego zajęcia. Specjalnej jej pieczy poruczona była Sala F., gdzie jedenaścioro maleństw, od czterech do siedmiu lat, zajmowało jedenaście małych, ustawionych rzędem, łóżeczek. Zwołała swoją gromadkę, powyglądała zmięte sukienki, powycierała umorusane noski i ustawiła sierotki szeregiem, aby skierować je ku jadalni, gdzie zająć się miały w ciągu błogosławionej półgodzinki pochłanianiem porcji mleka, chleba i placka ze śliwkami.

Wyprawiwszy swoich pupilów, opadła na zydek przy oknie i oparła tętniące skronie o zimną szybę. Była na nogach od piątej rano, wysługując się wszystkim, napominana i popędzana przez zdenerwowaną Zarządzającą. Pani Lippett niezawsze zachowywała za kulisami spokój i uroczysty majestat, w jakie stroiła się wobec Opiekunów i Pań Wizytatorek. Siedząc przy oknie, skierowała Agata tęskny wzrok po przez duży szmat ubielonego szronem trawnika, po za wysokie żelazne sztachety, wykreślające granice terytorjum Ochrony (jak nazywano czasem Dom Wychowawczy), wzdłuż falistych zboczy, upstrzonych wiejskimi siedzibami bogaczy, ku dachom i wieżyczkom poblizkiego miasteczka, przezierającym po przez nagie korony drzew.

Dzień, o ile było jej wiadomo, zakończył się zupełnie pomyślnie. Opiekunowie dokonali zwykłych oględzin, wysłuchali stałych miesięcznych raportów, wypili tradycyjną herbatę, a teraz spieszyli z powrotem do swoich domów, do własnych, wesoło płonących ognisk rodzinnych, aby zapomnieć, aż do następnej pierwszej środy miesiąca, o przyczyniających im tyle kłopotów małych pupilach. Agata śledziła z zaciekawieniem, nie bez pewnej domieszki tęsknej zazdrości, — sznur powozów i samochodów wyjeżdżających z otwartych na oścież wrót Domu Wychowawczego. W wyobraźni towarzyszyła jednemu po-

jazdowi za drugim do pięknych, obszernych domów, rozsianych po zboczach pagórków. Wyczarowywała sobie w imaginacji obraz siebie samej, otulonej w bogaty płaszcz futrzany, strojnej w aksamitny, przybrany pękami piór, kapelusz, rozpartej na poduszkach powozu i niedbale rzucającej stangretowi krótki rozkaz: do domu! Obraz ten jednak bladł i mącił się z chwilą stanięcia powozu przed progiem mieszkania.

Agata miała bujną wyobraźnię, która—zdaniem pani Lippett — mogła ją unieszczęśliwić, o ile nie potrafi jej okiełzać. Mimo wszakże całej bujności swojej nie była w stanie wyobraźnia ta przekroczyć wejściowych podwoi domów, ku którym ją unosiła. Biedna, pełna zapału i żądzy przygód, Agata w ciągu całych swoich lat siedemnastu ani razu nie znalazła się wewnątrz zwykłego domu mieszkalnego i dlatego nie mogła odtworzyć sobie obrazu życia wszystkich owych istot, pędzących beztroskie dni zdala od Domu Wychowawczego i jego sierot.

A—ga—to Ab—bott,
Wo—ła—ją cię do biu—ra,
Po—spiesz się le—piej,
Ra—dę ci szcze—rze!

Tomek Dillon, wybitny członek chóru, wbiegił po schodach, śpiewając tę zwrotkę i popędził po korytarzu, a głos jego, w miarę zbliżania się szybkich kroków ku Sali F., rósł i potężniał, Agata, oderwana nagle od swoich marzeń, stanęła znów w obliczu zwykłych trosk.

— Kto mnie woła? — wpadła w śpiew Tomka, przerywając motyw nutą ostrego niepokoju.

Pa—ni Lip—pett w biu—rze,
Krzy—czy, drze się jak war—jat—ka.

A—a—men! — zakończył Tomek pobożnie. Nie było widać zwykłej złośliwości w jego głosie. Najbardziej zły nawet z małych mieszkańców Domu Wychowawczego nie był pozbawiony współczucia

dla biednej winowajczynie, wzywanej w ten sposób do biura, przed oblicze groźnej Zarządzającej.

Tomek lubił Agatę, mimo, że czasem poszturchała go i omal nie oderwała mu nosa energicznem wycieraniem.

Agata pospieszyła bez słowa protestu, natomiast z dwiema poprzecznymi bruzdami na czole. Zastanawiała się nad tem, w jakim kierunku zawiniła? co poszło nie po myśli rozkazodawczyni? Czy tartynki nie były dość cienko krajane? Znalazły się może łupinki w ciastkach orzechowych? A może która z Pań Wizytatorek dostrzegła dziurę w pończoszcze malutkiej Zuzi? Kto wie?! Może—wielkie nieba!—który z jej własnych cherubinków z Salii F trafił kamykiem w jednego z Opiekunów?...

Długa sala na dole nie była oświetlona i w chwili, kiedy Agata schodziła ze schodów, ostatni z grona Opiekunów stał gotów do wyruszenia w otwartych drzwiach, prowadzących do bramy wejściowej. W przelocie tylko mignęła przed nią jego postać, dając jej wrażenie czegoś bardzo wysokiego. Wysoki pan skinął ręką na samochód, czekający na zakręcie podjazdu. Szofer zakręcił korbę motoru i podjechał bliżej dziobem naprzód, tak, że w jaskrawem świetle automobilowych latarni zarysowały się na tle muru linje sylwetki pana. Cień wydłużał groteskowo ramiona i nogi, które biegły po posadzce i pięły się po korytarzowym murze. Wyglądało to zupełnie jak wielki, pełzający pajak.

Wystraszoną twarz Agaty rozpogodził wybuch śmiechu. Słoneczna jej natura chwyciła pożądliwie każdą okazję zabawy. Dużo dobrej woli trzeba było istotnie na doszukanie się powodu rozbawienia w przytłaczającym fakcie istnienia kogoś takiego, jak Opiekun. Posiadała ją widocznie Agata, bowiem, rozweselona tym drobnym epizodem, stanęła uśmiechnięta przed obliczem pani Lippett. Ku zdumieniu swo-

jemu spostrzegła, że i na twarzy Ochmistrzyni gościł, jeśli nie uśmiech wyraźny, w każdym razie wyraz pewnej zyczliwości; wyglądała prawie tak uprzejmie, jak w dni odwiedzin Wizytatorów.)

— Usiądź, Agato, mam ci coś do powiedzenia.

Agata opuściła się na najbliższe krzesło i czekała z zapartym oddechem. W tej chwili przemknął po za oknem samochód; pani Lippett pogoniła za nim wzrokiem.

— Czy zauważyłaś pana, który w tej chwili odjechał?

— Widziałam go z tyłu.

— To jeden z najzamożniejszych naszych Opiekunów, podtrzymujący hojnemi zasiłkami istnienie Domu Wychowawczego. Nie wolno mi wymieniać jego nazwiska; zasirzeżył sobie specjalnie, że chce pozostać nieznanym.

Oczy Agaty rozszerzyły się zlekka; nie przywykła do tego, aby ją wzywano do biura w celu dyskusowania z Zarządzającą na temat dziwactw panów Opiekunów.

— Pan ten zainteresował się kilkoma naszymi chłopcami. Pamiętasz Karola Bentona i Henryka Freisa? Obu ich posłał pan... hm... hm... ów Opiekun do kolegum i obydwaj wywdzięczyli się usilną pracą i postęпами w naukach za tak wspaniałomyślnie wyłożone na ich kształcenie pieniądze. Innej wypłaty dobroczyńca ich nie żądał. Dotychczas filantropja jego kierowana była wyłącznie na chłopców; nie udawało mi się nigdy zainteresować go w najlżejszym bodaj stopniu żadną z dziewczynek w naszej instytucji, chociażby najbardziej na to zasługiwała. Nie dba wiodcznie o dziewczęta.

— Widocznie, proszę pani — bąknęła Agata, czując, że musi w tem miejscu coś odpowiedzieć!

— Dzisiaj na zwykłym miesięcznem zebraniu rozpatrywana była sprawa twojej przyszłości.

Pani Lippett pozwoliła sobie na chwilę pauzy, poczem zaczęła znów mówić powolnym, jednostajnym głosem, niesłychanie drażniącym napięte nagle nerwy słuchaczki.

— Jak ci wiadomo, nie trzymamy dzieci dłużej, niż do lat czternastu, dla ciebie wszakże zrobiono wyjątek. Ukończyłaś szkołę naszą, mając lat czternaście, że zaś wykazałaś tak celujące stopnie w naukach — nie zawsze, zaznaczyć muszę, w twojem sprawowaniu — postanowiono pozwolić ci uczęszczać do tutejszej szkoły średniej. Obecnie kończysz ją i, oczywiście, Ochrona nasza nie może łożyć dłużej na twoje utrzymanie. I tak korzystasz z dobrodziejstw instytucji trzy lata dłużej, niż większość twoich towarzyszek.

Pani Lippett przeoczała najwyraźniej fakt, że Agata ciężką pracą zarabiała w ciągu tych trzech lat na swoje utrzymanie, że na pierwszym planie stało zawsze dobro Domu Wychowawczego, a dopiero na drugim jej nauka i że w dni takie, jak owe pierwsze środy naprzykład, pozostawała w domu, aby czyścić, sprzątać i szorować.

— Jak powiadam więc, rozpatrywana była sprawa twojej przyszłości i przeglądano wszystkie sprawozdania o tobie — wszystkie, co do jednego.

Pani Lippett obrzuciła prokuratorskiem spojrzeniem winowajczynię na ławie oskarżonych, a winowajczyni zrobiła skruszoną minę, jednak dla tego tylko, że się po niej tej skruchy spodziewano, nie zaś, aby miała się poczuwać do szczególnie czarnych jakich kart w swoim rejestrze.

— Oczywiście, w zwykłych warunkach oddano-by cię do jakiegoś zajęcia, przy którym mogłabyś zacząć zarabkować. Wyróżniłaś się jednak w szkole, szczególnie na pewnych punktach; twoje postępy w stylistyce mają być nawet świetne. Panna Pri-tehard, jedna z członkiń naszego Komitetu Wizytato-

rów, należy też do Zarządu szkoły; mówiła ona z twoim nauczycielem retoryki i bardzo pochlebnie się o tobie wyrażała. Odczytała nawet wypracowanie twoje zatytułowane: „Fatalna Środa”.

W tym momencie skruszona mina Agaty nie była udana.

— Miałam wrażenie, że nie wykazałaś zbyt wielkiej wdzięczności, ośmieszając instytucję, która wyświadczyła ci tyle dobrodziejstw. Gdyby nie to, że udało ci się być dowcipną, wątpię, czy wybacznoby ci twój postępek. Na twoje szczęście jednak, pan... to znaczy, ów pan, który przed chwilą odjechał, zdaje się posiadać nadmierne poczucie humoru. Na podstawie zuchwałego tego wypracowania zaofiarowałam się posłać cię do kolegjum.

— Do kolegjum?! — wyłupiła Agata oczy.

Pani Lippett skinęła potwierdzająco głową.

— Pozostał, ażeby ułożyć ze mną warunki. Są niezwykle. Mojem zdaniem, jest on w błędzie. Dopatruje się w tobie oryginalności i planuje wykształcić cię na pisarkę.

— Na pisarkę?! — Agata zupełnie była oszołomiona. Nie mogła się zdobyć na nic innego po za powtarzaniem słów pani Lippett.

— Tego pragnie. Czy przyda się to na coś, przyszłość dopiero pokaże. Wyznacza ci bardzo hojne uposażenie, bodaj zbyt hojne, jak dla dziewczyny, która nie miała nigdy doświadczenia w rządzeniu się pieniędzmi. Obmyślił jednak całą rzecz szczegółowo; nie uważałam się też za uprawnioną do podsuwania mu jakichkolwiek zmian. Masz pozostać tutaj przez lato, a panna Pritchard uprzejmie zaofiarowała się zająć przygotowaniem ci odpowiedniej wyprawy. Za utrzymanie twoje i naukę wpłacane będą pieniądze wprost do kasy kolegjum, ty zaś masz otrzymywać w ciągu czterech lat twojego pobytu w niem trzydzieści pięć dolarów miesięcznie. Umożliwi ci to życie na

tej samej stopie, co reszta twoich koleżanek. Pieniądze te będzie wysyłał ci prywatny sekretarz pana... nazwijmy go, Ikssem, jednorazowo miesięcznie, a ty w zamian masz również raz na miesiąc potwierdzać ich odbiór. To znaczy, nie będziesz mu dziękowała za nie; nie życzy sobie, abyś w listach swoich wspominała o wdzięczności, masz jedynie pisać o postępach, jakie będziesz czyniła w nauce oraz o szczegółach twojego codziennego życia. Słowem taki list, jaki napisałaś do rodziców twoich, gdyby żyli.

— Listy mają być adresowane do p. Johna Smitha na ręce jego sekretarza. Oczywiście pan Iks nie nazywa się John Smith, pragnie wszakże pozostać nieznanym. Pozostanie dla ciebie zawsze Johnem Smithem. Powodem, dla którego żąda listów, jest przeświadczenie, że nic tak nie rozwija umiejętności literackiego wypowiedzania się, jak pisanie listów. Że zaś nie posiadasz rodziny, z którą mogłabyś podtrzymywać korespondencję, chce, abyś wprawiała się tą drogą. Chce też śledzić osobiście twoje postępy. Nie będzie nigdy odpowiadał na twoje listy, ani też dawał dowodów brania ich pod uwagę. Nienawidzi pisania listów i nie chce, abyś stała mu się ciężarem. Gdyby zaszło coś takiego, co wymagałoby koniecznie odpowiedzi, jak, dajmy na to, wydalenie cię z kolegum, do czego, mam nadzieję, nie przyjdzie, możesz zwrócić się listownie do pana Griggsa, sekretarza, od którego otrzymasz odpowiednie wskazówki. Miesięczne te sprawozdania listowne obowiązują cię bezwzględnie; są one jedynym odwzajemnieniem się, jakiego wymaga pan Smith, winnaś zatem być tak skrupulatną w ich wysyłaniu, jak gdyby był to weksel, który masz płacić. Mam nadzieję, że będą pisane w tonie pełnym szacunku i dadzą dobre pojęcie o wychowaniu, jakie u nas otrzymałaś. Musisz pamiętać, że piszesz do Opiekuna Domu Wychowawczego imienia Johna Griera.

Oczy Agaty tęsknie wypatrywały drzwi. Mąciło jej się w głowie ze wzruszenia i jedynym jej pragnieniem było uwolnić się od płaskich frazesów pani Lippett i zebrać nieco myśli. Wstała i zaryzykowała próbny krok w kierunku wycofania się z pokoju. Pani Lippett zatrzymała ją skinieniem; nie mogła przecież nie wyzyskać okazji oratorskiego występu.

— Mam nadzieję, że poczuwasz się do odpowiedniej wdzięczności za tę niespodzianą łaskę losu, jaki stał się twoim udziałem. Niewiele dziewcząt w twojem położeniu spotkała podobna możność wzniesienia się na wyższy szczebel drabiny społecznej. Winnaś pamiętać zawsze...

— Tak, tak, proszę pani bardzo jestem wdzięczna. Dziękuję pani. Jeżeli to już wszystko, pozwoli pani, że pójdę. Muszę przyszyć łatę na spodniach Fredka Perkinsa.

Drzwi zamknęły się za nią, a pani Lippett została z rozwartymi szczękami, w środku rozpoczętej przemowy.

LISTY PANNY AGATY ABBOTT
DO
TAJEMNICZEGO OPIEKUNA NAZWISKIEM
JOHN SMITH.

215. Fergusson Hall

24 września.

Drogi, dobry Opiekunie, wysyłający sieroty do Kolegium!

Jestem na miejscu! Jechałam wczoraj cztery godziny koleją. Zabawne uczucie, prawda? Nigdy dotychczas nie jeździłam koleją.

Kolegium jest przeogromnem, oszałamiająco olbrzymiem miejscem — gubie się, jak tylko wychodzę



z mojego pokoju. Opiszę panu wszystko później, jak mi się trochę uporządkuje w głowie; opowiem też o moich studjach. Wykłady rozpoczną się dopiero w poniedziałek, a teraz jest sobota wieczorem. Chciałam jednak najpierw napisać do pana, ażebyśmy się mogli trochę zapoznać.

○ Dziwnem się wydaje pisać listy do kogoś, kogo się nie zna. Dziwnem mi się wydaje wogóle, że piszę listy, — pisałam ich całego kramu trzy, czy cztery w mojem życiu; proszę więc nie mieć mi za złe, jeżeli nie będą one wzorem stylu.

Przed moim odjazdem wczoraj z rana miałam bardzo poważną rozmowę z panią Lippett. Mówiła mi, jak mam się zachowywać przez całą resztę mojego życia, a zwłaszcza jak mam się zachować względem dobrego pana, który tyle dla mnie czyni. Muszę pamiętać o żywieniu dla niego bardzo wielkiego szacunku.

Ale, proszę, powiedz pan, jak można mieć szacunek dla kogoś, kto chce, aby go nazywać Johnem Smithem? Dla czego nie wybrał pan sobie nazwiska choć troszkę mniej bezosobowego? Mogłabym z równym skutkiem pisać do „Drogiemu Słupa Telegraficznego” albo do „Drogiemu Wieszaka na Ubranie”.

Myślałam o panu dużo w ciągu tych wakacji. Fakt, że po tylu latach osamotnienia znalazł się ktoś, kto interesuje się mną, daje mi takie uczucie, jak gdybym odnalazła kogoś z rodziny. To tak prawie, jak gdybym należała teraz do kogoś. Nie ma pan pojęcia, jakie to miłe. Muszę jednak przyznać, że, myśląc o panu, nie mam o co zaczepić mojej wyobraźni. Wiem o panu tylko trzy rzeczy:

- I. Jest pan wysoki.
- II. Jest pan bogaty.
- III. Niecierpi pan dziewcząt.

Myślę, czy nie mogłabym nazywać pana Kochanym Wrogiem Dziewcząt? Tylko, że trochę

obrażające dla mnie. Albo też Drogim Bogatym Panem. Ale to znów byłoby obrażające dla pana, jak gdyby pieniądze były najważniejszym pańskim rysem. Zresztą bogactwo — to taka czysto zewnętrzna tylko cecha. Może nie pozostanie pan bogatym całe życie; mnóstwo bardzo mądrych ludzi traci cały majątek na giełdzie — czytałam o tem. Ale wysokim pozostanie pan zawsze! I dlatego postanowiłam nazywać pana Drogim Długonogim Pajakiem. Myślę, że nie obrazi się pan. To będzie taka nasza sekretna pieśczośliwa nazwa — nie powiemy o niej nic pani Lippett — zgoda?

Za dwie minuty zadzwoni dzwonek na dziesiątą. Dzwonki dzielą nasz dzień na poszczególne części. Jemy i śpiemy i uczymy się podług dzwonka. To bardzo pobudzające. Czuję się wciąż, jak koń straży ogniowej. Aha! Masz go! Dzwoni!... Gasić światła! Dobra noc.

Proszę zwrócić uwagę, jak skrupulatnie przestrzegam przepisów — zawdzięczam to wychowaniu, otrzymanemu w Ochronie imienia Johna Griera.

Pańska z najgłębszym szacunkiem

Agata Abbott.

Do Pana Długonogiego-Pajaka Johna Smitha.

1 października.

Drogi Pajączku-Długonóżku.

Kocham kolegum i kocham pana za to, że mnie pan tutaj przysłał. Jestem bardzo, a bardzo szczęśliwa i taka wciąż podniecona, że z trudnością przychodzi mi zasnąć. Nie może pan sobie wyobrazić, jak zupełnie tutaj jest inaczej, aniżeli w Domu Wychowawczym im. Johna Griera. Ani mi się nawet śniło, że może istnieć podobne miejsce na świecie. Żal mi każdego, kto nie jest młodą dziewczyną i nie może

być tutaj. Jestem pewna, że kolegjum, w którym się pan uczył jako młody chłopiec, nie mogło być takie rozkoszne.

Pokój mój położony jest w baszcie, która była separatką dla zaraźliwych chorych, zanim wybudowano nową infirmerję. Na tem samym piętrze baszty mieszkają jeszcze trzy inne uczennice — jedna z nich jest już Senjorką, nosi okulary i wciąż upomina nas, abyśmy się zachowywały troszkę ciszej; dwie pozostałe są tak samo jak ja Nowicjuszkami; jedna nazywa się Sallie McBride, a druga — Julja Rutledge Pendleton. Sallie ma rude włosy i zadarty nos i jest bardzo przyjacielska. Julja pochodzi z jednej z najpierwszych rodzin w New-Yorku i nie zauważyła mnie jeszcze dotychczas. Julja i Sallie zajmują jeden, wspólny pokój, a ja i Senjorka mamy pojedyncze pokoje. Nowicjuszki nie dostają zazwyczaj oddzielnych pokoiów; za mało jest tutaj takich, ale ja dostałam, chociaż nawet nie prosiłam o to. Przypuszczam, że pan Kierownik nie uważał za właściwe pomieścić dobrze wychowaną pannę z przyzwoitego domu razem ze znajdą. Widzi pan, że każda rzecz ma swoje dobre strony.

Mój pokój mieści się w północno-zachodnim kącie i ma dwa okna, z których jest śliczny widok. Kto jak ja spędził siedemnaście lat w jednej wielkiej sypialni Domu Wychowawczego razem z dwudziestoma współtowarzyszkami, czuje w całej pełni rozkosz zamieszkiwania w oddzielnym pokoju. Tutaj po raz pierwszy mam możność zapoznania się z Agatą Abbott. Zdaje mi się, że ją polubię.

A pan jak sądzi, polubi ją pan?

Wtorek.

Organizuje się drużyna piłkarska Nowicjuszek i jest możliwe, że ja stanę na jej czele. Jestem, co

prawda, małego wzrostu, ale bardzo zwinna, żywa i wytrzymała. Podczas, kiedy inne skaczą tylko pod górę, ja wiem wśliznąć się im pod nogi i chwytam piłkę. Ach, jaka to przyjemność te nasze ćwiczenia! — odbywamy je popołudniu na boisku; drzewa dokoła nas złocą się i czerwienią; wszędzie w powietrzu czuć zapach wędnących liści; wszyscy śmieją się i hałasują. Nigdy jeszcze nie widziałam tylu i tak szczęśliwych dziewcząt, a ja jestem najszcześniejsza ze wszystkich!

Zamierzałam napisać długi list i opowiedzieć panu o wszystkim, czego się uczę. (pani Lippett powiedziała, że pan chce wiedzieć o tem, ale dzwoniłno w tej chwili na 7-ą i za dziesięć minut mam się stawić na boisku w stroju gimnastycznym. Czy ma pan nadzieję, że wygram mecz koszykówki?

Pańska nazawsze
Agata Abbott.

P. S. (Dziewiąta godzina).

Sallie McBride wsunęła głowę przez drzwi i powiedziała:

— Tak mi strasznie tęskno za domem, że po prostu nie mogę wytrzymać. Czy i ty tak samo?

Uśmiechnęłam się i odpowiedziałam, że nie, że wytrzymam. Tej choroby przynajmniej — tęsknoty za domem — napewno uniknę! Nie słyszałam jeszcze o nikom, chorującym na tęsknotę za Ochroną. A pan słyszał?

10-y października.

Drogi Pajaczk-Długonogi.

Czy słyszał pan o Michale Aniele? Był to słynny artysta, który żył we Włoszech w średnich wiekach. Wszystkie słuchaczki na kursie literatury angielskiej wiedziały, jak się zdaje, o nim i cała klasa śmiała się ze mnie, bo myślałam, że to był jakiś archanioł. No,

proszę, powiedz pan sam, czy to nie brzmi, jak archaniół? Cała bieda z tem kolegum, że musimy wie dzieć o całym mnóstwie rzeczy, których nigdy nie uczyliśmy się. Bywa to często mocno kłopotliwe. Ale teraz już jestem mędrsza: jak tylko dziewczęta zaczynają mówić o rzeczach, o których nigdy nie sły szałam, siedzę cicho, a potem lecę do encyklopedji.

○ Pierwszego zaraz dnia strasznie się zblamowa łam. Ktoś wspomniał o Maeterlincku, a ja, nie do słyszawszy, że mowa o mężczyźnie, zapytałam się czy to która z Nowicjuszek. Opowiadano sobie o tem we wszystkich klasach. Obleciało to jako do wcip całe kolegum. A jednak na wykładach orientu je się nie gorzej od innych, a nawet lepiej od niektó rych!

Chciałby pan wiedzieć, jak urządziłam swój po kój? Mam istną symfonię żółto-bronzową. Ściany po malowane są na pomarańczowo, do tego dokupiam żółte satynkowe zasłony i takież pokrycia na po duszki, mahoniowe biurko (okazyjnie, za trzy dolary trzcinowy fotel i bronzowy dywan z plamą atramento wą pośrodku. Na tej plamie stawiam zawsze krzesło

Okna umieszczone są wysoko, tak że ze zwy kłego krzesła nie można wyrzeć przez nie. Poradzi łam sobie w ten sposób, że odśrubowałam lustro z grzbietu biurka, obciągnęłam wierzch materja i przysunęłam tak sporządzony mebel do okna. Niech pan sobie wyobrazi, że utrafiłam akurat wyso kość. Wyciągam szuflady, robię z nich stopnie i w ten sposób włączę na górę. Bardzo wygodne urzą dzenie.

Sallie McBride pomogła mi wybrać pojedyncze sztuki mebli na licytacji u Senjorek. Mieszkała w praw dziwym domu przez całe życie i zna się na ume blowaniu. Nie może pan sobie wyobrazić, jakie to za bawne chodzić po sklepach, kupować, płacić praw dziwym banknotem pięciodolarowym i jeszcze dosta

wać resztę — dla kogoś, kto nigdy w życiu nie miał w rękę więcej, niż nikłową monetę. Zapewniam pana, drogi Opiekunie-Ojczulku, że umiem cenić odpowiednio pensję, którą mi wyznaczyłeś.

Sallie jest najbardziej towarzyską istotą na świecie, a Julja Rutledge Pendleton najmniej. Nie do pojęcia, jak mógł pan Kierownik dokonać podobnego połączenia w doborze współmieszkanek jednego pokoju. Moją kochaną Sallie bawi wszystko, nawet śmieszki, Julję zaś wszystko nudzi i nuży. Nie umie nigdy zdobyć się na najlżejszy wysiłek, aby być uprzejmą. Jest przekonana, że sam fakt należenia do rodu Pendletonów wystarczającym jest paszportem do nieba, bez potrzeby zdawania poprzedniego egzaminu. Julja i ja jesteśmy z przyrodzenia nieprzyjaciółkami. Ale dość tego. Wyobrażam sobie, z jaką niecierpliwością czeka pan, aby nareszcie dowiedzieć się, co studjuję.

I. Łacina. Druga wojna Punicka. Hanibal i jego zastępcy rozpięli wczoraj wieczorem namioty nad jeziorem Trazymeńskim. Przygotowali zasadzkę na Rzymian i dzisiejszego rana, o czwartej zmianie straży, rozegrała się bitwa. Rzymianie w odwrocie.

II. Francuski. 24 stronice z „Trzech Muszkieterów” i trzecia konjugacja czasowników nieregularnych.

III. Geometria. Skończyłyśmy walce; teraz przechodzimy ostrosłupy.

IV. Angielski. Stylistyka. Mój styl zyskuje z każdym dniem na jasności i zwięzłości.

V. Fizjologia. Doszliśmy do trawienia. Na przyszłej lekcji—żółć i trzustka.

Pańska, na najlepszej drodze stania się wykształconą,
Agata Abbott.

P. S. Mam nadzieję, że pan nie bierze nigdy do ust alkoholu, prawda, Ojczulku-Opiekunie? Alkohol wyprawia straszne rzeczy z wątrobą.

Sroda.

Drogi Ojczulku-Opiekunie — Długonogi-Pajaku.
Zmieniłam sobie imię.

W spisie słuchaczek figuruję wciąż jeszcze jako „Agata”, ale wszędzie po za tem nazywam się „Aga”. Powiedz pan sam, czy to nie okropne być zmuszoną samej nadać sobie jedyne zdrobniałe imię, jakie miało się kiedykolwiek? Co prawda, Agę wymyśliłam niezupełnie ja sama. Nazywał mnie tak Fredek Perkins, zanim jeszcze nauczył się mówić wyraźnie.

Szkoda, że pani Lippett nie stara się wpadać na lepsze pomysły przy wyszukiwaniu imion i nazwisk dla maleństw. Nazwiska bierze wprost z książki telefonicznej — znajdzie pan „Abbott” zaraz na pierwszej stronie — a imiona skąd się da. Agatę znalazła na jakimś pomniku. Nigdy nie mogłam jej znieść; lubię za to Agę. Takie miłe imię. Powinna je nosić osoba, jaką ja nie jestem — słodkie, małe, niebieskokokie stworzonko, pieszczone i psute przez całą rodzinę, przechodzące przez życie bez żadnych trosk. Prawda, jak byłoby miło być taką? Mogę mieć wszelkie wady, nikt jednak nie może mi zarzucić, że byłam psuta przez rodzinę! Bardzo to jednak zabawne udawać, że byłam. Na przyszłość, proszę, nazywaj mnie pan zawsze Agą — zgoda?

Powiem panu coś ciekawego. Chce pan? Mam trzy pary skórkowych rękawiczek. Dostawałam do tychczas na gwiazdkę niciane mitynki, ale nie miałam nigdy skórkowych rękawiczek ze wszystkimi pięcioma palcami. Co chwilę wyjmuję je i przymierzam. Zaledwie mogę się powstrzymać, żeby nie nosić ich na wykładach.

Dzwonek obiadowy. Do widzenia.

Ojczulku-Opiekunie, jaka nowina! Nauczycielka angielskiego powiedziała, że moje ostatnie wypracowanie wykazuje niezwykły zasób oryginalności. Naprawdę. Nie kłamię. To były jej własne słowa. Nie wydaje się to możliwym, prawda? wobec siedemnastoletniej tresury, jaką przeszłam. Celem Domu Wychowawczego imienia Johna Griera jest (jak panu niewątpliwie wiadomo i co pan całym sercem pochwała) zrobić z dziewiędziesięciorga siedmiorga sierotek — dziewiędziesięcioro siedmioro bliźniąt.

Mam nadzieję, że nie ranię pańskich uczuć, pozwalając sobie na krytykę ojczystego domu mojego dzieciństwa. Zresztą ma pan zawsze możliwość ukarania mnie, gdybym miała okazać się zbyt impertynenczką. Po prostu przestanie pan wysyłać mi czeki. Może to nie bardzo grzecznie z mojej strony tak mówić — nie może pan jednak wymagać ode mnie dobrych manier; przytułek dla podrzutków nie jest wyższą szkołą edukacji dla młodych panien.

Wie pan, Opiekunie-Ojczulku, nie praca zaczyna mi wydawać się trudną w kolegjum. Raczej zabawa. Dziewięć razy na dziesięć nie rozumiem, o czym moje koleżanki z sobą mówią. Ich żarty zdają się dotyczyć jakiejś przeszłości, w której każda z nich, prócz mnie jednej, brała udział. Jestem obcą w tym świecie i nie rozumiem jego języka. Bardzo upokarzające uczucie. W naszej wiejskiej szkole średniej stały dziewczęta grupkami i przypatrywały się mi. Byłam dziwna, inna niż wszystkie i każdy wiedział o tem. Czułam, że nazwa: „Dom Wychowawczy imienia Johna Griera” wypisana jest mi na czole. Czasem jakieś litościwsze dusze zdobywały się na zbliżenie się do mnie i zwrócenie z kilku uprzejmymi słowami. Nienawidziłam ich wszystkich — a najbar-

dziej tych litościwych.

Tutaj nikt nie wie, że byłam wychowana w Ochro-

nie. Powiedziałam Sallie McBride, że mój ojciec i moja matka nie żyją i że jeden stary pan posyła mnie do kolegium — w czem niema przecież ani krztyny kłamstwa. Nie chcę, żeby pan myślał, że jestem tchórzem, ale chciałabym być jak inne dziewczęta, a cała różnica pomiędzy nami związana jest z tem straszmem miejscem, w którem spędziłam moje dzieciństwo i które tak okropnie na niem ciąży. Gdybym mogła wykreślić je z mojej pamięci i zerwać z niem raz na zawsze, myślę, że mogłabym być tak samo pożądaną, jak każda inna z moich rówieśnic. Nie zdaje mi się, ażeby zachodzić miała po za tem jakaś inna istotna, zasadnicza różnica. A jak pan sądzi?

Faktem jest, że Sallie McBride lub mnie!

Pańska na zawsze

Aga Abbot
(z domu Agata).

Sobota rano.

Przed chwilą przeczytałam jeszcze raz mój list i widzę, że brzmi on mocno niewesoło. Domyśla się pan chyba, że mam bardzo trudny referat na poniedziałek, powtórzenie z geometrii, i fatalny katar.

Niedziela.

Zapomniałam wysłać ten list wczoraj. Korzystam z tego, aby dodać pełen oburzenia dopisek. Mieliliśmy dzisiaj z rana wizytę biskupa. Jak się panu zdaje, co on powiedział?

— Najbardziej dobroczynna zapowiedź, jaką znajdujemy w Biblii, brzmi: „Biednych macie zawsze pod ręką. Stworzeni oni zostali po to, aby podtrzymywać w was ducha miłosierdzia”.

Pomyśl pan, czy to nie okropne? Biedni w roli pożytecznych zwierząt domowych?! Gdybym nie zdążyła już wyrobić się tutaj na skończoną damę, poszłabym do niego po nabożeństwie i powiedziałabym mu, co o tem myślę.

25 października.

Drogi Długonóżku-Pajączku.

Wygrałam mecz piłkowy! Szkoda, że nie może pan widzieć siniaka na mojem lewem ramieniu. Jest niebieski i czerwono-brunatny z pomarańczowemi pręgami. Julja Pendleton chciała wygrać, ale jej się nie udało. Hurra!

Widzi pan, jaka jestem małostkowa i próżna?

W kolegum coraz mi jest przyjemniej. Lubię dziewczęta, nauczycieli i lekcje, ćwiczenia gimnastyczne i lubię to, co nam dają tutaj do jedzenia. Mamy lody śmietankowe dwa razy tygodniowo i nigdy nie dostajemy żytnich klusek.

Chciał pan otrzymywać odemnie listy tylko raz na miesiąc, prawda? A ja zasypuję pana mojami epistolami co kilka dni. Taka jednak byłam podniecona wszystkimi temi przeżyciami, że musiałam wywnętrzyć się przed kimś, a pan jest jedyną osobą, którą znam. Proszę, niech mi pan wybaczy moje gadulstwo; zobaczy pan, że się prędko utemperuję. Jeśli moje listy nudzą pana, może pan rzucać je nieczytane do kosza. Przyrzekam, że nie napiszę już ani jednego do połowy listopada.

Pańska okrutnie gadatliwa

Aga Abbott.

Drogi Ojczulku-Pajączku — Długonóżku.

Proszę, niech pan posłucha, czego nauczyłam się dzisiaj:

„Boczna powierzchnia ściętego ostrosłupa jest połową iloczynu sumy obwodów jego podstaw przez wysokość któregośkolwiek z jego boków”.

To brzmi jak bajka, ale jest najzupełniejszą prawdą. Mogę tego dowieść.

Nigdy jeszcze nie pisałam panu o moich su-

kniach, prawda, Ojczulku? Mam ich sześć, wszystkie nowiutkie, wszystkie piękne i wszystko zrobione na moją miarę, dla mnie, a nie łaskawie ofiarowane mi po znoszeniu ich przez osobę wyższą i tęższą. Może pan nie zdaje sobie nawet sprawy, jaki to nadzwyczajny zwrot w całym życiu znajdy? Dostałam je od pana i jestem panu za nie bardzo, a bardzo wdzięczna. Piękna to rzecz otrzymywać wyższe wykształcenie, ale nic w porównaniu z upajającym uczuciem posiadania sześciu świeżutkich z igły sukien. Panna Pritchard, należąca do Komitetu Wizytatorek, wybrała je dla mnie, a nie pani Lippett. Bogu dzięki. Mam suknię wieczorową, różową tiulową na jedwabiu (jest mi w niej bardzo do twarzy), granatową wełnianą do kościoła, wizytową z pasowego wualu ze wschodniem przybraniem (wyglądam w niej jak cyganka) i jeszcze jedną z cielistego kreponu, popielaty kostjum na ulicę i mundur na wykłady. Może nie byłaby to zbyt bogata wyprawa dla Julji Rutledge Pendletonówny, ale dla Agaty Abbott!...

Pewnie pomyśli pan w tej chwili, jaka ze mnie próżna, płytką, głupia istota i jaki to wyrzucony grosz kształcić dziewczynę!

Ale, Ojczulku, gdyby pana ubierano przez całe życie w kraciasty perkalik i barchan, potrafiłby pan zrozumieć moje uczucia obecne. Jeszcze gorszy okres zaczął się dla mnie po wstąpieniu do naszej szkoły średniej.

Nie był to już wprawdzie ani kraciasty perkal, ani kraciasty barchan, ale straszliwa „skrzynia dla ubogich”.

○ Skrzynia dla ubogich...

Nie może pan sobie wyobrazić, jaki mnie ogarniał strach na myśl o ukazaniu się w szkole w wyszarzanych, znoszonych ubraniach z tej skrzyni. Byłam z góry pewna, że wypadnie mi siedzieć w klasie przy pierwotnej posiadaczce mojej sukni i że zaczną

Piątek.

się zaraz na ten temat szepty pomiędzy koleżankami i pokazywanie mnie sobie palcami. Gorycz donaszaną odrzuconych ubrań wrogów wżera się nazawsze w duszę. Gdyby mi nawet przeznaczone być miało nosić odtąd aż do śmierci jedwabne pończochy, nie zdaje mi się, abym zdołała zatrzeć kiedykolwiek to piętno.

Ostatni Biuletyn Wojenny.
Nowiny z placu boju.

O czwartej zmianie straży, w czwartek 13-go listopada, rozbił Hannibal przednie straże Rzymian i poprowadził wojska kartagińskie przez góry na płaszczyzny Casilinum. Kohorta lekko uzbrojonych Numidyjczyków zaatakowała piechotę Quintusa Fabjusza Maximusa. Dwie bitwy i lekkie utarczki. Rzymianie odparci z ciężkimi stratami.

Mam zaszczyt być
pańskim specjalnym korespondentem z frontu.
Aga Abbott.

P. S. Wiem, że nie mogę oczekiwać w odpowiedzi żadnego listu; ostrzeżono mnie też, abym nie naprzykrzała się panu żadnymi pytaniami, powiedz mi pan jednak, Ojczulku, ten raz jeden tylko, — czy pan jest strasznie stary, czy tylko trochę stary? I czy pan jest zupełnie łysy, jak kolano, czy tylko troszkę łysy? Bardzo trudno jest myśleć o panu abstrakcyjnie, jak o twierdzeniu geometrycznym.

Dany jest wysoki mężczyzna, nienawidzący dziewcząt, a mimo to wielce szczodry dla jednej bardzo zuchwałej dziewczyny. Jak on wygląda? Rozwiązać to zagadnienie.

19-y grudnia.

Drogi Ojczulku-Pajaku — Długonóżku!

Nie odpowiedziałeś, Ojczulku, na moje pytanie, a przecież było ono bardzo ważne.

Czy jesteś łysy?

Ułożyłam sobie bardzo dokładnie, jak pan wygląda, drogi nieznanany Opiekunie, i byłam bardzo zadowolona z mojego wyimaginowanego obrazu, dopóki nie dosięgłam czubka pańskiej głowy i tutaj... stałam bezradna. Nie mogę się zdecydować, czy dać panu siwe włosy, czarne czy szpakowate, czy może zupełnie pozbawić pana owłosienia.

Miałam gotowy pański portret, pozostaje wszakże nierozwiązane zagadnienie: czy przyozdobić pańską czaszkę włosami, czy nie?

Chciałby pan wiedzieć, jakiego koloru są pańskie oczy? Są szare, a brwi pańskie są nastroszone, jak strzecha na chałupie wiejskiej (w powieściach nazywają się — krzaczaste); usta pańskie stanowią wąską, prostą linijkę z tendencją opuszczania się kątów ku dołowi. Wiem już, wiem, poznałam pana. Ładny z pana raptus; staruszek z charakterkiem!...

(Dzwonek na nabożeństwo w kaplicy).

9.45 po południu.

Wyrobiłam sobie nową, niezłomną zasadę: nigdy, nigdy nie uczyć się w nocy, chociażby Bóg wie ile czekało mnie nazajutrz rano piśmiennych repetycji. Zamiast uczenia się, czytam książki. Zwykle, znane książki. Muszę to robić, bo mam przecież siedemnaście niewypełnionych lat za sobą. Nie uwierzyłby pan, jaką bezdenną przepaścią ignorancji jest mój mózg; teraz dopiero zaczynam sama zdawać sobie sprawę z jej głębi. Rzeczy, któremi większość dziewcząt, obdarzonych odpowiednio dobranym składem rodziny, domu i księgozbioru, nasiąkła od kolebki, są dla mnie zupełnie obce. Nigdy o nich nie słyszałam. Naprzykład:

Nie czytałam nigdy „Dawida Copperfielda”, ani „Ivanhoe”, ani „Kopciuszka”, ani „Robinsona Crusoe”, i ani jednego wiersza Rudyarda Kiplinga. Nie

wiedziałam, że ludzie byli małpami, i że Raj jest pięknym mytem. Nie wiedziałam, że R. L. S. znaczy Robert Louis Stevenson, ani że George Elliot był kobietą. Nie widziałam też nigdy kopji, ani odbitki obrazu „Mona Lisa” i (to najzupełniejsza prawda, ale pan temu nie uwierzy), nie słyszałam nigdy o Sherlocku Holmsie.

Teraz wiem już o tych wszystkich rzeczach i o wielu innych jeszcze, ale sam pan widzi, ile zostało mi jeszcze do zrobienia. I — ale to takie zabawne! Cały dzień czekam z utęsknieniem wieczora, a wtedy zawieszam na drzwiach kartę „zajęta”, rozbieram się, zarzucam na siebie mój śliczny pasowy płaszcz kąpielowy, nogi wsuwam w futrzane pantofle, wkładam sobie pod plecy na moją kanapkę stos poduszek, zapalam mosiężną lampę na małym stoliku i czytam, czytam, czytam bez końca. Jedna książka mi nie wystarcza; czytam cztery na raz. Teraz, na przykład, mam w czytaniu poematy Tennysona, „Takie sobie Bajeczki” i — ale niech się pan nie śmieje ze mnie — „Małe Kobiętki” Luizy Aleott. Przekonałam się, że jestem jedyną z dziewcząt w kolegium, która nie była wychowana na „Małych Kobiętkach”. Nie mówiłam o tem jednak nikomu (patrzonoby na mnie jak na raroga), ale poszłam i kupiłam tę książkę za ostatniego dolara z mojej zesłomiesięcznej pensji. Teraz, jak będzie mowa przy mnie o marynowanych ślimakach, będę wiedziała, co to znaczy.

(Dzwonek na dziesiątą. Strasznie przerywany ten list).

Sobota.

Szanowny Panie,

Mam zaszczyt zdać panu sprawę z nowych odkryć w dziedzinie geometrii. W zeszły piątek zakończyliśmy nasze poprzednie studia nad równoległob-

kami i zabrałyśmy się do ściętych graniastosłupów. Uważamy, że droga do wiedzy jest bardzo stroma i najeżona trudnościami.

Niedziela.

Wakacje Bożego Narodzenia rozpoczynają się w przyszłym tygodniu i kufry już poznoszone. Korytarze tak są niemi natłoczone, że trudno się przecisnąć. Wszyscy aż kipią z podniecenia, co odbija się bardzo ujemnie na nauce. Spędzę świetnie czas wakacyjny: mam tutaj koleżankę z pośród Nowicjuszek, która, jako że mieszka w Texas, nie jedzie do domu na wakacje; planujemy długie spacery i — o ile będzie lód — naukę ślizgania się na łyżwach. Prócz tego, mam jeszcze przed sobą całą bibliotekę do przeczytania i trzy wolne tygodnie do poświęcenia na to.

Żegnaj pana, Ojczulku, mam nadzieję, że czujesz się tak samo szczęśliwym, jak

Twoja na wieki

Aga.

P. S. Niech pan nie zapomni odpowiedzieć na moje pytanie. Jeśli pan nie chce tracić czasu na pisanie, może pan kazać swojemu sekretarzowi zatelegrafować. Niech zatelegrafuje:

Pan Smith jest zupełnie łyсы

albo

Pan Smith nie jest łyсы

albo

Pan Smith jest siwy.

A temi dwudziestoma pięcioma centami na depesze może pan obciążyć mój rachunek.

Do widzenia do stycznia i — wesółych świąt.

Ku końcowi wakacji Bożego Narodzenia

Dokładna data niewiadoma.

Drogi Ojczulku-Opiekunie.

Czy pada śnieg tam, gdzie pan jest? Cały świat, który oglądam z mojej wieży, spowity jest w biel i kulki wciąż padają wielkości ziarn grochu. Jest późne popołudnie — słońce zachodzi (zimno - żółtego koloru), za jeszcze zimniejszemi, fioletowemi pagórkami, a ja wdrapałam się na moje wysokie siedzenie przy oknie, aby skorzystać z ostatnich błysków światła do pisania.

Pańskie pięć monet złotych były nielada niespodzianką! Nie przywykłam do otrzymywania podarunków gwiazdkowych. Dał mi już pan takie mnóstwo rzeczy — wszystko, co posiadam, mam od pana — że nie zdaje mi się, jakobym zasięgiwała na dodatkowe dary. Mimo to sprawiają mi one wielką przyjemność. Chce pan wiedzieć, co kupiłam za te pieniądze?

I. Srebrny zegarek w skórzanej bransoletce na rękę, abym nie spaźniała się na wykłady.

II. Poematy Matthew Arnolda.

III. Termos do gorącej wody.

IV. Gruby pled na podłogę. (W mojej wieży porządnie jest zimno).

V. Pięćset arkuszy żółtawego papieru kancelaryjnego. (Zamierzam wkrótce zacząć być autorką).

VI. Słownik synonimów, (aby powiększyć autor-ski materiał operacyjny).

VII. (Trochę mi przykro przyznać się do tej ostatniej pozycji, ale się przyznam). Parę jedwabnych pończoch.

Ale teraz już, Ojczulku, nie będzie pan mógł nigdy zarzucić mi, że nie spowiadam się ze wszystkiego.

Jeśli chce pan wiedzieć, skłonił mnie do kupienia tych jedwabnych pończoch bardzo niski motyw.

Julja Pendleton przychodzi do mojego pokoju, aby odrabiać ze mną geometrję, siedzi z założonemi nogami na kanapce, i nosi co wieczór jedwabne pończochy. Ale teraz — niech no tylko wróci po ferjach; będę przychodziła do jej pokoju i będę siedziała na jej kanapce, zakładając nogę na nogę w jedwabnych pończochach. Widzi pan, Ojczulku, jaka ze mnie nędzna istota — ale przynajmniej jestem uczciwa; zresztą wiedział pan z mojego rejestru w Domu Wychowawczym, że nie byłam doskonałością — prawda?

Zatem, reasumując, (nasza nauczycielka angielskiego rozpoczyna od tego wyrazu co drugie zdanie), jestem bardzo, a bardzo wdzięczna za wszystkie te siedem prezentów. Udaję przed samą sobą, że przybyły w skrzyni, przysłane mi przez moją rodzinę z Kalifornji. Zegarek jest od ojca, pled od matki, termos od babki — która zawsze jest w strachu, abym się nie zaziębiła w tutejszym klimacie — a papier od mojego małego braciszka, Heniusia. Moja siostra, Izabela, podarowała mi jedwabne pończochy, a ciotka Zuzanna — poematy Matthew Arnolda; wuj Henryk (mały Heniusz nazwany jest po nim), dał mi słownik. Chciał przysłać mi czekoladki, ale prosiłam go o słownik.

Nie ma pan nic przeciwko temu, aby stanowić część licznej mojej rodziny?

A teraz, czy mam panu opowiedzieć o moich wakacjach, czy też interesuje pana tylko moje kształcenie się jako jakie? Mam nadzieję, że pan potrafi należycie ocenić subtelny odcień znaczenia dodatku, „jako takie”. To ostatnia moja zdobycz stylistyczna.

Mojej koleżance z Texas na imię Leonora Fenton, (prawie tak samo śmieszne, jak Agata, prawda?) Lubię ją, ale nie tak jak Sallie McBride; nikogo nigdy nie pokocham tak, jak Sallie — z wyjątkiem pana. Zawsze muszę pana kochać najbardziej ze wszystkich, bo jest pan całą moją rodziną, streszczoną w je-

dney osobie. Leonora, ja i dwie Drugokursistki odbywałyśmy codziennie, o ile tylko dopisywała pogoda, długie spacery po okolicy, w której spenetrowałyśmy każdy zakątek, ubrane w krótkie spódniczki i trykotowe swetry i czapeczki; w rękę miałyśmy zakrzywione wysokie laski do macania gruntu. Raz nawet zaszłyśmy do miasta oddalonego o cztery mile i zatrzymałyśmy się w restauracji, w której obiadają zazwyczaj słuchaczki kolegjum. Pieczony homar (35 centów), a na deser placuszki z mąki gryczanej z sokiem (15 centów). Pożywne i tanie.

Ale nadewszystko ile uciechy! Szczególniej dla mnie, bo takie to było inne, niż w Domu Wychowawczym! — Mam zawsze, ilekroć opuszczę mury szkoły, uczucie więźnia, który wyrwał się na wolność. Nie namyśliwszy się, co robię, chciałam wygadać się przed towarzyszkami z dotychczasowych moich przeżyć. Już, już pohać się miały pełną falą słowa wyznania, zdołałam jednak w pół słowa ugryźć się w język. Strasznie mi jest trudno nie wywnętrzać się ze wszystkiego, co wiem. Jestem z natury bardzo wylewna; gdybym nie miała pana, przed którym spowiadam się ze wszystkiego, rozsądziłoby mnie to chyba.

Robiłyśmy w zeszły piątek wieczorem ciągutki. Gospodyni kolegjum urządziła tę zabawę dla studentek wszystkich oddziałów, które nie wyjechały na wakacje, chcąc wynagrodzić biedaczkom przykreść pozostania podczas świąt w murach szkolnych. Było nas wszystkich razem dwadzieścia dwie — Nowicjuszek, Drugokursistek Junjorek i Senjorek. Kuchnia jest ogromna — najmniejszy z rondli przypomina rozmiarami miskę do mycia. Czterysta dziewcząt mieszka stale w kolegjum. Kucharz w białym fartuchu i w białej mycce z kutasikiem rozdał dwadzieścia dwie takie same mycki i dwadzieścia dwa takie fartuchy — nie mogę sobie wyobrazić, gdzie zdobył aż tyle — i wszystkie odrazu przedzierzgnęłyśmy się w kuchcików,

Bawiliśmy się świetnie, chociaż jadłam już w życiu lepsze ciagutki. Kiedy wszystko było już zupełnie skończone, a my same, kuchnia i kłamki od drzwi dostatecznie osmarowane i lepjące się, urządziłyśmy uroczysty pochód, wciąż jeszcze w naszych myckach i fartuchach; każda z nas uzbrojna w wielki widelec, warząchew, albo patelnię do smażenia. Maszerując tak gęsiego, obeszyliśmy puste korytarze i dotarliśmy aż do sali profesorskiej, gdzie pół tuzina wykładowców spokojnie spędzało wieczór. Urządziłyśmy im serenadę ze śpiewami i tańcami i poczęstowałyśmy ich karmelkami naszego wyrobu. Nie śmieli odmówić, chociaż widać było, że nie mają zbyt wielkiego zaufania do naszych talentów kulinarnych. Opuściwszy wreszcie salę, pozostawiłyśmy ich ze zlepiętymi ustami, nie mogącymi wymówić ani słowa.

Widzisz więc, Ojczulku, że moje wykształcenie robi postępy.

Wakacje skończą się za dwa dni; z przyjemnością myślę o zobaczeniu się znów z koleżankami. Moja komnata wieżowa jest ździebko samotna; kiedy dziewięć osób zajmuje dom zbudowany na czterysta, musi być w nim trochę pustawo.

Jedenaście stronic — biedny Ojczulku, jaki musisz być zmęczony! Zamierzałam napisać do pana krótki liścik z podziękowaniem — ale jak zaczynam, nie umiem skończyć; pióro samo leci po papierze.

Do widzenia i dzięki za pamięć o mnie. Czułabym się zupełnie szczęśliwą, gdyby nie jedna mała ciemna, groźna chmurka na horyzoncie — w lutym mamy egzaminy.

Pańska, kochająca pana,

Aga.

P. S. A może to nieprzyzwoicie pisać „kochająca”? Jeżeli naprawdę nieprzyzwoicie, proszę się na

mnie nie gniewać. Muszę przecież kochać kogoś, a mam do wyboru tylko pana i panią Lippett, — no, to już wolę pana, Ojczulku, bo jej ani weź nie mogę kochać.

W przededniu straszego dnia.

Drogi, kochany Ojczulku.

Szkoda, że nie może pan widzieć, jak się całe kolegium obkuwa! Zapomniałyśmy, że istniało kiedyś coś takiego, jak wakacje. W ciągu ostatnich czterech dni wpakowałam sobie do mózgowicy pięćdziesiąt siedem słówek nieregularnych — mam nadzieję, że utrzymam je w niej aż do egzaminów.

Niektóre z dziewcząt sprzedają swoje podręczniki po ukończeniu kursu, ale ja postanowiłam zachować moje. Potem, jak już zdobędę dyplom, będę miała całe moje wykształcenie, ustawione na jednej półce w biljotece i, ile razy będzie mi potrzebny jaki szczegół, będę wiedziała, gdzie go szukać i znajdę na pewniaka. Uważam, że to daleko łatwiejszy sposób, niż usiłowanie utrzymania wszystkiego w głowie.

Julja Pendleton wpadła do mnie dzisiaj wieczorem z małą wizytką ceremonialną i pozostała całą godzinę.

Weszła na temat rodziny i niepodobna było odciągnąć jej od niego. Chciała koniecznie wiedzieć, jak się nazywała moja matka z domu — jak się panu podoba ta impertynencja? pytać o rodowód matki istotę wychowaną w ochronie dla podrzutków?! Nie miałam odwagi powiedzieć, że nie wiem, bąknęłam więc pierwsze lepsze nazwisko, jakie przyszło mi do głowy. Było to akurat: Montgomery. Nie zadowolniło jej to jednak; chciała jeszcze wiedzieć, z jakich Montgomerych, czy z tych ze stanu Massachusetts, czy z Wirginji?

Jej matka była z domu Rutherfordówna. Rodzina

ta przybyła na naszą półkulę w arce i skuzynowania była przez małżeństwo z Henrykiem VIII. Ze strony ojca rodowód jej sięga dalej jeszcze niż do Adama. Na szczytowej gałęzi jej drzewa rodowego gnieździ się wyższy gatunek małp ze specjalnie jedwabistym włosem i szczególnie długimi ogonami.

Chciałam panu napisać dzisiaj miły, wesoły, zajmujący list, ale jestem zanadto śpiąca i za dużego mam pietra, to znaczy boja. Nie do pozadzroszczenia jest los Nowicjuszki.

Pańska, trzęsąca się ze strachu przed egzaminem,
Aga Abbott.

Niedziela.

Najdroższy Opiekunie-Ojczulku.

Mam straszną, okropną, fatalną dla pana nowinę, ale nie chcę od niej zaczynać; postaram się wprawić pana przedtem w dobry humor.

Agata Abbott zaczęła być autorką. Poemat pod tytułem: „Z mojej wieży” ukaże się w lutowym zeszycie naszego miesięcznika, na pierwszej stronie, co jest wielkim zaszczytem dla Nowicjuszki. Nasza profesorka angielskiego zatrzymała mnie w drodze do kaplicy wczoraj wieczorem i powiedziała, że to bardzo ładny utwór z wyjątkiem szóstego wiersza, który ma o jedną stopę za dużo. Przepiszę go dla pana na wypadek, gdyby pan miał ochotę przeczytać.

Zaraz, zaraz, pomyślmy, co mogłabym jeszcze powiedzieć panu przyjemnego... Mam. Uczę się jeździć na łyżwach i potrafię już ślizgać się wcale przyzwyczajenie i zupełnie sama. Nauczyłam się też spuszczenia po linie z dachu sali gimnastycznej i przeskakowania przez trapez wysokości trzech stóp i sześciu cali — mam nadzieję, że uda mi się wkrótce dociągnąć do czterech stóp.

Wysłuchałyśmy dzisiaj z rana wielce budującego

kazania, wygłoszonego przez biskupa z Alabamy. Tekstem jego było: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni”. Roztrząsał w niem konieczność przeoczenia cudzych win i nie zniechęcania bliźnich zbyt surowem ich sądzeniem. Pragnęłabym, żeby pan był go wysłuchał.

Mamy najśnieźniejsze, oślepiające, promienne zimowe popołudnie z sopłami lodu, zwisającemi z drzew iglastych, z puszystą, grubą oponą śnieżną, otulającą miękko cały świat; wszystko tonie w niej, z wyjątkiem mnie jednej. Ja jedna tonę w smutku, uginam się pod ciężarem przytłaczającej troski.

A teraz, Ago, zdobądź się na odwagę — musisz wyjawić straszną nowinę. Niema co zwlekać dłużej. Ale czy już napewno udało mi się wprawić pana w dobry humor?—Ścięłam się z matematyki i z prozy łacińskiej! Mam z obu tych przedmiotów poprawkę i przystąpię do następnego egzaminu za miesiąc. Bardzo mi przykro, że pan dozna rozczarowania; po za tem nic a nic mnie cała ta sprawa nie obchodzi, bo czuję, że nauczyła... się wielu rzeczy, nieobjętych wykazem. Przeczytałam siedemnaście powieści i całe korce poezji — naprawdę potrzebnych powieści, jak: „Targowica próżności” i „Alicja w Krainie Cudów”. Przeczytałam „Szkice” Emersona; Lockharta: „Życie Scotta”, pierwszy tom Gibbona: „Cesarstwo Rzymskie”, pół tomu biografji Benvenuto Cellini — prawda jaki zajmujący żywot? Wychodził na zwykłą przechadzkę i po drodze zdążał zabijać człowieka jeszcze przed śniadaniem.

Widzisz więc, Ojczulku, że więcej rozwinęłam się umysłowo i jestem inteligentniejsza, niż byłabym, gdybym wyłącznie kuła łacinę. Czy zechce mi pan wybaczyć ten jeden raz, jeśli przyrzeknę, że już nigdy się nie zetnę?

Pańska, w worku pokutnym i z głową posypaną popiołem skrychy,

Aga.

Drogi mój Opiekunie-Ojczulku.

Czuję się trochę osamotnioną dzisiaj i stąd ten dodatkowy list w środku miesiąca. Na dworze rozszalała się straszna burza, śnieg wali o szyby mojego okna i o mury mojej wieży. Wszystkie światła w całej osadzie naszego kolegium pogaszone, ja tylko po wypiciu czarnej kawy nie mogę zasnąć.

Urządziłam dzisiaj wieczorem proszoną kolację u siebie. Gośćmi moimi były: Sallie, Julja i Leonora Fenton; miałyśmy sardynki, przypiekane grzanki, marmoladę i kawę. Julja raczyła przyznać, że się dobrze bawiła, a Sallie została, aby pomódz mi pozmywać talerze i filiżanki.

Mogłabym z wielką dla siebie korzyścią poświęcić teraz trochę czasu łacinie — ale, niema co się łudzić, nie jestem zbyt zapaloną łacinniczką. Skończyłyśmy Liwjusza i De Senectute; teraz przechodzimy De Amicitia.

Czy nie miałby pan nic przeciwko udawaniu na pewien czas mojej babki? Sallie ma babkę, a Julja i Leonora mają nawet każda po dwie i dzisiaj wieczorem opowiadały każda o swojej i przeprowadzały porównania pomiędzy niemi. Niczego nie pragnęłabym tak bardzo, jak posiadania babki — to takie godne, szacowne pokrewieństwo. Jeżeli więc naprawdę nie ma pan nic przeciwko temu... Wczoraj, będąc w mieście, widziałam prześliczny czepeczek koronkowy, przybrany liljowemi wstążkami. Mam zamiar zrobić panu prezent z niego na pańską osiemdziesiątą trzecią rocznicę urodzin.

! ! ! ! ! ! ! ! !

To zegar wieżowy wybija dwunastą. Zdaje mi się, że zaczynam być trochę śpiąca.

Dobranoc, Babuniu,

Kocham cię bardzo,

Aga.

Ides (to znaczy 15-y dzień) marca.

Drogi O—O—P—D.

Uczę się prozy łacińskiej, uczyłam się jej, będę się jej uczyła, będę wciąż w trakcie uczenia się jej. Mój powtórny egzamin odbędzie się na siódmym wykładzie w przyszły wtorek. Muszę go zdać; jak nie—to pękne ze złości. Może się więc pan wkrótce spodziewać wiadomości o mnie: albo że jestem cała, nie-naruszona, szczęśliwa i wolna od warunkowych egzaminów, albo że pozostały tylko ze mnie szczątki.

Jak będzie już po wszystkim, napiszę do pana przyzwoity list. Dzisiaj wieczorem mam niedającą się odłożyć konferencję z Ablativus Absolutus.

Pańska — w wyraźnym pośpiechu

A. A.

26-y marca.

Wielmożny pan Pająk-Smith.

Szanowny Panie. Nie odpowiada pan nigdy na moje pytania; nie okazuje pan najłżejszego zainteresowania moją osobą, ani tem, co robię. Jest pan prawdopodobnie najpotworniejszym ze wszystkich potwornych Opiekunów i jedynym powodem pańskie-go zajmowania się mojem kształceniem nie jest bynajmniej dbanie o mnie, lecz wyłącznie poczucie obowiązku.

Nie wiem o panu absolutnie nic. Nie jest mi nawet wiadome pańskie nazwisko. Pisanie do Rzeczy wysusza najzupełniej źródło natchnienia. Jestem najmocniej przekonana, że pan rzuca moje listy do kosza, nie czytając ich wcale. Wobec tego będę pisała wyłącznie o wykładach.

Mój powtórny egzamin z łaciny i geometrii odbył się w zeszłym tygodniu. Zdałam oba i jestem wolna od wszelkich zawarunkowań.

Pańska oddana

Aga Abbott.

Najdroższy Ojczulku-Opiekunie.

Jestem potworem.

Proszę, niech pan zapomni o moim okropnym liście zeszlotygodniowym — czułam się owego wieczora strasznie opuszczoną, nieszczęśliwą i chorą na gardło. Nie wiedziałam o tem, ale, widocznie, tkwiło już we mnie zapalenie migdałów, influenza i lichowie ile jeszcze rozmaitych paskudstw. Leżę w infirmerji od sześciu dni; dzisiaj po raz pierwszy pozwolono mi usiąść na łóżku i wziąć do ręki pióro i papier. Dozorczyni pielęgniarek jest bardzo surowa.

Wciąż myślałam tylko o tym liście i nie uspokoję się, dopóki mi pan nie wybaczy.

Czy nie wzruszy pana myśl o mnie z owiązaną twarzą i sterczącymi nad głową końcami chustki? Zupełnie jak uszy królicze. I pomyśleć, że uczyłam się cały rok fizjologii, a nie miałam nawet pojęcia o istnieniu gruczołów ślinowych. Jakże znikomą jest cała nasza wiedza!

Nie mogę dłużej pisać; kręci mi się w głowie, jak tylko dłużej siedzę. Proszę pana, niech mi pan zechce wybaczyć moje zuchwalstwo i niewdzięczność. Złe mnie wychowano.

Pańska z głębi kochającego serca
Aga Abbott.

Infirmerja. 4-y kwietnia.

Najdroższy Opiekunie-Ojczyku-Pajączku-Długonóżku.

Wczoraj wieczorem, kiedy zaczęło się już ściemniać, siedziałam na łóżku, wpatrzona przez szyby okna na jednostajnie spływające po nich krople i czułam się śmiertelnie znużona życiem w tej wielkiej instytucji. Wtem weszła do pokoju pielęgniarzka z pułdem zaadresowanym do mnie, pełnem najcudniej-

szych różowych paczków róż i, co stokroć miłsze jeszcze, zawierającym bilecik z bardzo uprzejmem pezdrowieniem, napisanem zabawnem pochyłem piśmie (zdradza ono silny charakter). Dzięki Ci, Ojczulku, dzięki panu, Opiekunie drogi, tysiączne dzięki. Pańskie kwiaty są pierwszymi, jakimi obdarowano mnie w życiu. Choć się wstydzę, muszę napisać panu, jaki ze mnie jest dzieciuch. Po otworzeniu pudła i przeczytaniu liściku zaryłam się w poduszki i długo, długo płakałam z wielkiego szczęścia.

Teraz, kiedy wiem już, że pan czyta moje listy, postaram się uczynić je ciekawszemi, aby warto było chować je do tajemnej skrytki, zalakowane czerwona pieczęcią — tylko, proszę, niech pan wyjmie ten jeden okropny i niech go pan spali. Cierpiałabym na myśl, że mógłby pan kiedykolwiek jeszcze go odczytać.

Dziękuję panu za uszczęśliwienie chorej, znudzonej, czującej się nieszczęśliwą, Nowicjuszki. Jest pan zapewne otoczony liczną rodziną i przyjaciółmi i nie ma pan wcale pojęcia, co to znaczy czuć się samą na świecie. Ale ja mam pojęcie.

Do widzenia. Przyobiecuję panu nie być już nigdy potworną, bo wiem teraz, że pan jest prawdziwą, żyjącą istotą; przyrzekam też panu, że nie będę nigdy więcej nudziła go pytaniami.

Czy pan wciąż jeszcze nienawidzi dziewcząt?

Pańska na wieki

Aga.

8-a godzina, poniedziałek.

Drogi Pajaku-Długonogi.

Mam nadzieję, że to nie pan jest owym Opiekunem, który usiadł na ropusze? Pękła — jak mi mówiono — z wielkim hukiem, musiał to więc być który z grubszych Opiekunów.

Czy pan pamięta owe małe wykopane miejsca zasłonięte kratami, przy oknach pralni naszego Domu Wychowawczego? Na wiosnę, kiedy rozpoczęła się pora żab, zbierałyśmy kolekcję ich i chowałyśmy je w tych otworach. Od czasu do czasu przedostawały się one do pralni, wywołując niemałe zamieszanie wśród zajętych tam praczek. Surowo karano nas za podobne wykroczenia, pomimo wszelkich jednak zniechęcań nas do tego sportu, ropuchy gromadziły się niewiadomo w jaki sposób.

Pewnego dnia — nie będę nudziła pana szczegółami — jedna z najtłuszcjszych, największych, najso czystszych sztuk dostała się w tajemniczy jakiś sposób na siedzenie wielkiego skórzanego fotela poręczowego w sali Opiekunów i po południu tego dnia na zgromadzeniu plenarnem.... Przymiślam jednak, że pan był obecny i wie, co nastąpiło...

Dzisiaj, po upływie kilku lat, sięgając pamięcią wstecz i rozważając tę sprawę bezstronnie, przyznaję, że kara była zasłużona i — o ile mnie wspomnienia moje nie zawiodą — przystosowana do okoliczności.

Nie wiem, co przypomniało mi całą ową aferę. Może wiosna i ukazanie się wraz z nią ropuch budzi we mnie dawne moje instynkty kolekcjonerskie. Jedynym powodem, powstrzymującym mnie teraz od robienia takich kolekcji, jest fakt, że nie istnieją przepisy przeciwko nim.

Po nabożeństwie, czwartek.

Jaka, sądzi pan, jest ulubiona moja książka? To znaczy, w tej chwili; zmieniam co trzy dni moje upodobania. — „Zawrotne Wyżyny”. — Emilja Bronte była zupełnie młoda, pisząc tę książkę i nigdy nie wyszła po za obręb cmentarza swojej wioski. Nie stykała się nigdy w życiu swoim z mężczyznami;

w jaki więc sposób mogła stworzyć postać mężczyzny takiego jak Heathcliff?

Nie potrafiłabym tego zrobić, a przecież jestem tak samo młoda i, tak samo, jak Emilja Bronte, nie wychylałam nosa po za obręb Domu Wychowawczego imienia Johna Griera? — miałam więc wszelkie potrzebne kwalifikacje. Czasem straszny ogarnia mnie lęk, że może jednak nie jestem genjuszem. Czy bardzo będzie pan rozczarowany, Ojczulku, jeśli okaże się, że nie jestem wielką pisarką? Na wiosnę, kiedy wszystko jest tak piękne, zielone i pączkujące, czuję niepowstrzymaną chęć rzucenia całej nauki, aby mózgi harcować swobodnie po polach i łąkach. Tyle jest na nich przygód najprzeróżniejszych. Daleko bardziej zajmuje przeżywanie książek, niż pisanie ich.

Auu! ! ! ! ! !

To był krzyk, który sprowadził Sallie i Julję i (na jedną okropną chwilę) Senjorkę z sąsiedniej hali. Wywołała go stonoga. W chwili, kiedy kończyłam ostatnie zdanie i myślałam, o czym dalej pisać — pac! — spadła z sufitu i klapła tuż przy arkusiku, na którym pi-szę ten list. Mój odskok gwałtowny strącił dwie filiżanki ze stolika. Sallie rozgniotła ją odwrotną stroną mojej szczotki od włosów — już nigdy więcej nie będę miała odwagi używać jej — i oderwała przedni koniec, ale tylne pięćdziesiąt nóg uciekło pod biurko i znikło.

Baszta nasza wskutek starożytności swojej i pokrytych bluszczem murów pełna jest stonóg. To okropne stworzenia. Wolałabym już znaleźć tygrysa pod mojem łóżkiem.

Piątek, 9.30 wieczorem.

Tyle niepowodzeń i zmartwień na raz! Nie sly-szałam szdronka na wstawanie dzisiaj rano; urwało mi się sznurowadło od bucika przy pośpiesznem ubieraniu się; spinka od kołnierzyka wpadła mi pod sta-

nik; spóźniłam się na śniadanie i na pierwszy wykład; zapomniałam zabrać ze sobą bibułę, a moje pióro wieczne przecieka; na trygonometrii posprzeczałam się z profesorem w sprawie logarytmów — zbadawszy jednak rzecz bliżej, przekonałam się, że słuszność była po jego stronie; na obiad miałyśmy baraninę z grochem — niecierpię baraniny i nienawidzę grochu — przypominają mi naszą Ochronę; poczta nie przyniosła mi nic prócz rachunków (co prawda, nigdy nie dostaje nic innego, moja rodzina nie należy do piszących); na wykładzie języka angielskiego miałyśmy niespodziewaną klasówkę. Tekst brzmiał, jak następuje:

„Nic nie żądałam innego,
„Prób innych nie odrzucono,
„Dawałam za to Istnienie.
„Wielki uśmiechnął się kupiec.
„Brazylja? Szarpnął za guzik
„I w moją nie spojrział stronę:
„O, pani, czy nic innego
„Pokazać dziś nie możemy?”

Ma to być poemat. Nie mam pojęcia, ani kto go napisał, ani też, co ma oznaczać. Wypisany był na tablicy przed naszym przyjściem do audytorjum i kazano nam napisać komentarz do niego. Po przeczytaniu pierwszej strofki zdawało mi się, że jestem na tropie. Wielkim kupcem ma być bóstwo, rozdające błogosławieństwa w zamian za dobre uczynki; kiedy jednak dotarłam do drugiej strofki, wydało mi się podobne przypuszczenie świętokradztwem, czempredziej też porzuciłam tę myśl. Reszta koleżanek była w tem samem położeniu; przesiedziałyśmy trzy kwadransy nad pustymi kartkami zeszytu, natężając niemniej puste, wyjałowione z myśli mózgi, aby z nich cośkolwiek chociaż wycisnąć — ale nadaremnie. Kształcenie się jest bardzo nużącym procesem.

Nie na tem jednak koniec utrapień tego dnia. Dal-
szy ciąg był jeszcze gorszy.

Deszcz lał, jak z cebra, nie mogliśmy grać w golfa i zamiast tego musiałyśmy iść na gimnastykę; koleżanka, stojąca obok mnie, trzasnęła mnie rekiem w łokieć; po powrocie do domu przymierzyłam moją nową granatową suknię wiosenną; spódnica okazała się tak ciasną, że nie mogę w niej usiąść; piątek jest dniem porządkowania i służąca porobiła mi groch z kapustą w moich papierach na biurku; na deser dano nam trzęsionkę (mleko z żelatyną i zapachem waniljowym); przetrzymano nas w kaplicy o dwadzieścia minut dłużej, niż zazwyczaj dla wysłuchania kazania o kobiecych kobietach. I wreszcie, kiedy z westchnieniem dobrze zasłużonej ulgi zabrałam się do czytania „Portretu Damy”, jedna z dziewcząt, nazwiskiem Ackerly, o bezmyślnej, gąbczastej twarzy z beznadziejnie tępym wyrazem, bezgranicznie głupia, siedząca obok mnie na ławie, ponieważ jej nazwisko zaczyna się na A (jaka szkoda, że pani Lippett nie nazwała mnie Zubrzycką!) zapukała, aby zapytać, czy lekcja poniedziałkowa zaczyna się od 69 czy od 70 §— i została CAŁĄ GODZINĘ. Tylko co odeszła.

Może pan sobie wyobrazić równie przytłaczający szereg niepowodzeń? Wielkie próby życiowe nie wymagają wyjątkowej mocy charakteru. Byle kto potrafi zachować się mężnie wobec tragicznego momentu, ale znosić z pogardą drobne przykrości codzienne — na to, doprawdy, wielkiej potrzeba tężyzny ducha.

Taki rodzaj odporności zamierzam właśnie wyrobić w sobie. Wmówię w siebie, że całe życie jest grą, którą muszę rozegrać tak umiejętnie i uczciwie, jak tylko potrafię. Jeśli okaże się, że wyjdę z niej pobita, przyjmę przegraną z uśmiechem i wzruszeniem ramion; tak samo zachowam się wobec wygranej.

Nauczę się w każdym razie odporności. Nigdy nie usłyszy pan więcej z ust moich skargi na to, że Julja nosi jedwabne pończochy, albo że stonogi spadają ze ścian.

Pańska niezmiennie

Agą

Proszę o rychłą odpowiedź.

27-y maja.

Wielmożny Pan Długonogi Pająk.

Szanowny Panie. Otrzymałam list od pani Lippett. Ma nadzieję, że robię postępy w nauce i że sprawuję się wzorowo. Wobec tego, że nie będę miała prawdopodobnie gdzie się podziać tego lata, wyraża zgodę na pobyt mój w ciągu letnich miesięcy w Domu Wychowawczym, gdzie będę mogła zarobić sobie na utrzymanie aż do początku roku szkolnego w kolegium.

Nienawidzę Domu Wychowawczego imienia Johna Griera.

Wolałabym umrzeć, aniżeli powrócić tam.

Pańska bardzo szczerą

Agata Abbott.

Cher Ojczulku — Jambes-Longues.

Vous êtes une słodycz!

Je suis très heureuse z powodu folwarku parceque je n'ai jamais été na folwarku dans ma vie i wstrętem przejmuję mnie myśl o retourner chez John Grier i zmywać statki tout l'été. Mogłoby zająć quelque chose affreuse, dlatego que j'ai perdue ma humilité d'autre fois et j'ai peur, aby nie wybuchnąć quelque jour i nie porozbijać wszystkiego dans la maison.

Pardon brevété i kiepski papier. Je ne peux pas pisać więcej szczegółów, parceque je suis sur wykla-

dzie francuskiego *et j'ai peur que Monsieur le professeur* wywoła mnie *tout de suite*.

Wywołał.
Au revoir.

Je vous aime beaucoup

Aga.

30 maja.

Drogi Pająku-Ojczulku.

Widział Pan kiedy naszą osadę? (To tylko zwrot retoryczny — może go pan pominąć milczeniem). Istny raj na ziemi w maju. Wszystkie drzewa i krzewy okryte kwiatem; liście barwy świeżej, młodej zieleni; nawet stare jodły i sosny przybrały odświętną szatę. Trawniki upstrzone są mnóstwem brodawników i dziewcząt w białych, błękitnych i różowych sukienkach. Wszyscy weseli są i beztroscy, bowiem zbliżają się wakacje i nad niczyją głową nie wisi groźba egzaminów.

Czy może być szczęśliwsza pora? A ja, Ojczulku, jestem najszczęśliwsza ze wszystkich, bo nie mieszkam już w Ochronie i nie jestem piastunką niczych dzieci, ani maszynistką, ani buchalterką (jednym z tych musiałabym być, gdyby nie pan, Ojczulku).

Żałuję teraz wszystkich dawnych moich niegodziwości.

Żałuję, że bywałam zuchwałą względem pani Lippett.

Żałuję, że zdarzyło mi się nasypać soli do cukierniczki.

Żałuję, że nieraz trzepnęłam Fredka Perkinsa.

Żałuję, że za plecami Opiekunów wysadzałam na nich język i stroiłam miny.

Teraz postanawiam już być dobrą, łagodną i uprzejmą dla każdego, dlatego że taka jestem szczęśliwa. Tego lata będę pisała, pisała i pisała bez koń-

ca i zaczęła stawać się wielką autorką. Nie można powiedzieć, abym nie miała wysokich aspiracji. Czuję, że przedzierzgam się stopniowo w chodzącą doskonałość! Nadweręża się ona nieco pod wpływem chłodu i słoty, szybko się, natomiast, rozwija w promieniach słońca.

Jest to stałe zjawisko. Nie uznaję teorii, głoszącej, jakoby siła moralna rozwijała się najbujniej na podłożu przeciwności życia, trosk i rozczarowań. Tylko szczęśliwi ludzie promieniają ze siebie dobroć. Nie mam zaufania do mizantropów. (Piękny wyraz! Niedawno go poznałam). Pan nie jest chyba mizantropem, Ojczulku? Zaczęłam pisać panu o naszej osadzie. Chciałabym, żeby pan zawitał do nas na krótko chociażby i pozwolił oprowadzić się po niej.

— To biblioteka. A to gazownia. Tamta gotycka budowla na lewo — to hala gimnastyczna, a romańska tuż obok niej — to nowa infirmerja.

O, umiem doskonale oprowadzać gości. Robiłam to przez całe życie w Ochronie i robiłam to samo przez cały dzień tutaj. Naprawdę.

A w dodatku oprowadzałam... Mężczyznę! Daję słowo!

Nadzwyczajny wypadek. Nigdy dotychczas nie rozmawiałam z mężczyzną, z wyjątkiem, rozumie się, Opiekunów naszych w Domu Wychowawczym i paru profesorów w kolegium — ale ci się przecież nie liczą. Przepraszam pana, Ojczulku; nie miałam wcale zamiaru obrażania pana, wyrażając się w ten sposób o Opiekunach. Nie może mi się zupełnie pomieścić w głowie, aby pan miał być naprawdę jednym z nich. Napewno dostał się pan do Zarządu przypadkiem. Opiekun musi być gruby, uroczyście i łaskawy. Gładzi wychowanki po głowie i nosi gruby, złoty łańcuch od zegarka.

Otóż, wracając do mojego oprowadzania po kolegium, chodziłam, rozmawiałam i piłam herbatę

z mężczyzną. I w dodatku, z niebyle jakim mężczyzną — z panem Jervisem Pendletonem, z rodziny Julji, mówiąc krótko, (właściwie długo, bo jest taki długi, jak pan), z jej wujem. Będąc w naszym miasteczku, w jakiejś sprawie wybrał się do kolegjum, aby odwiedzić siostrzenicę. Jest najmłodszym bratem jej matki, mimo to Julja wcale nie zna go zbyt blisko. Podobno, rzucił na nią okiem, kiedy była mała i zdecydował, że mu się nie podoba; od tego czasu nie zwracał na nią nigdy uwagi.

— Bądź co bądź jednak przyjechał i został wprowadzony do saloniku, gdzie usiadł na fotelu, umieściwszy tradycyjnie kapelusz i rękawiczki obok na dywanie. Trzebaż wypadku, że dnia tego Julja i Sallie miały siedem godzin wykładów, z których nie mogły w żaden sposób zwiąć. Wpadła więc Julja do mojego pokoju, abym oprowadziła za nią wuja po uszkiej osadzie, a potem oddała go w jej ręce po ukończeniu siódmej godziny. Zgodziłam się, nie mogąc odmówić koleżance; bez wielkiego entuzjazmu jednak, bo nie lubię Pendletonów.

Okazało się wszelako, że ten Pendleton — to niewinne jagniątko. Jest normalnym, zwyczajnym człowiekiem, a nie Pendletonem. Świetnie spędziliśmy czas; odtąd tęsknię za posiadaniem wuja. Czy miałby pan coś przeciwko wzięciu na siebie roli mojego wuja? Zdaje mi się, że wuj jest czemś jeszcze lepszym, niż babka.

Pan Pendleton przypomina mi trochę pana, Ojczulku, oczywiście, jakim pan był przed dwudziestu laty. Widzi pan, że doskonale znam pana, pomimo, że nigdy pana nie widziałam.

Jest wysoki i szczupły ze smagłą twarzą, na pozór surową, roświetloną wszakże przez zabawny, ukryty uśmiech, który, choć nigdy nie przebija się całkiem nazewnątrz, czai się jednak w kącikach ust. Ma też dziwny sposób przemawiania do człowieka, tak, że

ma się uczucie, jak gdyby znało się już go oddawna. Jest bardzo towarzyski.

Obeszliśmy całą osadę, zaczawszy od głównego gmachu i skończywszy na boisku. Potem zaproponował mi pójście do naszej stołowni, położonej za laskiem sosnowym. Zwróciłam mu uwagę, że powinniśmy wrócić po Julję i Sallie, powiedział jednak, że nie lubi, aby siostrzenica jego opijała się herbata; wpływa to źle na stan jej nerwów. Poszliśmy wobec tego i piliśmy, sanni przy małym, ślicznie nakrytym stoliku na werendzie, herbatę, do której podano nam pączki, marmoladę, bitą śmietankę i ciastka. Stołownia była odpowiednio pusta ze względu na koniec miesiąca i opróżnione kieszenie.

Bawiliśmy się cudownie. Musiał jednak pędzić na pociąg, zaledwie więc miał czas przywitać się z Julją. Była wściekła na mnie za zabranie jej wuja; zdaje się, że musi być niezwykle bogaty i tem samem bardzo upragniony, jako wujaszek. Ulżyła mi wiadomość, że jest taki bogaty; herbata dużo kosztowała; za każdy dodatek do niej liczą po sześć centów od sztuki.

Dzisiaj (poniedziałek) nadeszły ranną pocztą trzy pudełka czekoladek: dla Julji, dla Sallie i dla mnie. I cóż pan na to? Dostać cukierki od mężczyzny?!...

Zaczynam czuć się normalną młodą dziewczyną, a nie podrzutkiem.

Chciałabym, żeby pan przyjechał kiedyś także na herbatę, abym mogła się przekonać, czy mi się pan podoba. Jakie to byłoby jednak straszne, gdyby mi się pan nie podobał.

Bien! Je vous fais mes compliments.

„Jamais je ne t'oublierai“

Aga.

P. S. Przejrzawszy się dzisiaj w lustrze, zauważyłam nowy zupełnie dołeczek, którego nigdy dotychczas nie widziałam. To ciekawe. Jak pan myśli, skąd on się mógł wziąć?

9-y czerwca.

Drogi Pająku-Tatuńciu,

Szczęśliwy dzień! Zdałam przed chwilą ostatni egzamin: filozofję. A teraz —

Trzy miesiące na folwarku!

Nie wiem właściwie, co to takiego folwark. Nigdy w całym mojem życiu nie byłam na folwarku. Nie widziałam nawet nigdy wsi, chyba z okien wagonu, ale wiem, że ją pokocham i że pokocham wiejską swobodę.

Jeszcze teraz nie mogę oswoić się z myślą, że jestem po za murami Domu Wychowawczego. Ilekroć przypomnę sobie o tem, przebiega mi po plecach dreszcz niepokoju. Mam wrażenie, że muszę uciekać szybko, oglądając się wciąż po za siebie, aby się upewnić, że nie goni mnie pani Lippett z ręką wyciągniętą, gotową do sprowadzenia mnie z powrotem.

Tego lata nie będę musiała liczyć się z nikim. Czy to możliwe?

Pański nominalny autorytet nie ciąży mi ani trochę; jest pan za daleko, abym mogła odczuwać z tego powodu jakąkolwiek przykrość. Pani Lippett umarła dla mnie na amen, a Sempłowie nie będą się chyba troszczyli o moją moralność. Nie, jestem pewna, że nie. Jestem już zupełnie dorosła. Hurr!...

Zegnam pana teraz, aby zapakować kufer i zapełnić trzy skrzynie czajnikami, talerzami, poduszkami i książkami.

Pańska na zawsze

Aga.

P. S. Załączam treść pytań egzaminacyjnych z filozofji, na jakie musiałam odpowiedzieć. Jak się panu zdaje, mógłby pan zdać taki egzamin?

Folwark „Wierzbinki”.

Sobota, wieczorem.

Najdroższy Ojczulku-Tatuńciu-Pajączku!

Dopiero co przyjechałam, nie wypakowałam jeszcze rzeczy, nie chcę jednak zwlekać ani chwili z powiedzeniem ci, jak bardzo ubóstwiam wieś. „Wierzbinki” są rajskim zakątkiem. Dom jest czworoboczny, stary, stoi sto lat już, albo coś około tego. Ma z boku werendę i śliczny, słodki ganeczek od frontu. Dokoła pełno klonów, a po obu stronach drogi stoją dwoma szeregami sosny. Dom położony jest na szczycie pagórka, dzięki czemu mamy z okien rozległy widok na zielone łąki aż do szczytu następnego pagórka.

Caly Stan Connecticut przedstawia rzędy linii falistych, a nasze „Wierzbinki” usadowiły się na grzbiecie jednej z takich fal. Stodoły stały dawniej z drugiej strony gościńca i w ten sposób tarasowały widok; na szczęście, dobroczynny piorun spadł z nieba i spalił je doszczętnie.

Jedynymi mieszkańcami domu są oboje państwo Sempłowie, dziewczyna do posług i dwaj parobcy. Parobcy i dziewczyna jadają w kuchni, a państwo Sempłowie i Aga — w jadalni. Na kolację mieliśmy pasztet, marynowane pikle, ser i herbatę — i ożywną rozmowę. Nigdy w życiu jeszcze nie bawiła tak moja rozmowa nikogo; wszystko, co mówię, wydaje się tutaj bardzo zabawnem. Prawdopodobnie dlatego, że dotychczas nie znałam wcale wsi i pytania moje dyktuje wszechobejmująca ignorancja.

Posyłam panu fotografię domku; okna oza

krzyżykiem, nie oznaczają, jak w powieściach kryminalnych, miejsca popełnienia zbrodni, ale po prostu okna mojego pokoju. Jest on duży, kwadratowy i puisty, ginie w nim bowiem kilka prześlicznych antycznych sztuk, stanowiących całe umeblowanie. Okna otwierać można tylko przez podpieranie ich drągami; od słońca chronią zabawne zielone żaluzje ze złoceniemi brzeżkami; żaluzje te same opadają, jak się ich tylko dotknąć. W środku pokoju stoi wielki kwadratowy stół — mam zamiar spędzić przy nim lato na pisaniu powieści.

Ach, Ojczulku, taka jestem zachwycona. Nie mogę doczekać się rana, aby obejrzeć wszystko. W tej chwili jest 8.30; zgaszę zaraz świecę i postaram się usnąć. Wstajemy o 5-ej. Słyszał pan kiedy o czemś równie zabawnem? Nie mogę uwierzyć, abym tutaj była naprawdę ja, Aga. Ty, Ojczulku, i dobry Bóg, dajecie mi więcej, niż na to zasługuję. Muszę starać się być bardzo, bardzo, ale to bardzo, a bardzo dobrą, aby się wam za to wywdziękzyć. Będę nią. Przeko-
na się pan.

Dobranoc.

Aga.

P. S. Jaka szkoda, że pan nie może słyszeć rechotania żab i krząkania małych prosiaczków — i że pan nie może widzieć księżycy na nowiu! Widzę go nad mojem prawem ramieniem.

Wierzbinki, 12 czerwca.

Drogi Pająku-Ojczulku.

Skąd sekretarz pański dowiedział się o istnieniu Wierzbinek? (To nie frazes retoryczny. Strasznie chciałabym się dowiedzieć!). Bo niech pan tylko posłucha: folwark ten należał poprzednio do pana Jervis'a Pendletona, który darował go pani Semplowej za to, że go kiedyś wyniańczyła. Jak się panu podo-

ba taki niepojęty zbieg okoliczności? Pani Semplowa nazywa go wciąż jeszcze „paniczem Jerry” i nie przestaje opowiadać, jakim był słodkim maleństwem. Schowała nawet pukiel pierwszych obciętych jego włosów — jest rudy, a przynajmniej rudawy!

) Od czasu kiedy dowiedziała się, że go znam osobiście, urosłam ogromnie w jej opinii. Fakt, że się ma zaszczyt znać jednego z członków rodu Pendletonów, najlepszym jest listem polecającym, otwierającym na oścież wrota Wierzbinek i serca ich mieszkańców. A śmietanką, co mówię? — kożuszkiem całego rodu jest „panicz Jerry”. Przyjemnie mi było dowiedzieć się, że Julja należy do bocznej, niższej gałęzi.

Życie na folwarku staje się coraz bardziej zajmującym. Wczoraj jechałam na wozie z sianem, Mamy trzy duże świnię i dziewięcioro prosiątek. Gdyby pan mógł widzieć, jak one śmiesznie jedzą. Będą niezadługo dużymi świniami! Mamy też mnóstwo malusieńkich kurczątek, kaczuszek, indyczątek i gąsiątek. Trzeba doprawdy być warjatem, żeby mieszkać w mieście, jeżeli się może mieszkać na wsi.

Mojem codziennym zajęciem jest podbieranie i wyszukiwanie jajek. Wczoraj spadłam z belki u pułapu stodoły, na który wlałam, aby dostać się do gniazda, ukradzionego przez wielką czarną kure. A kiedy podniosłam się z rozdrapanem do krwi kolaniem, pani Semplowa opatrzyła mi je świeżymi liśćmi orzechowemi, powtarzając wciąż: — Boże mój, Boże! To jakby wczoraj dopiero panicz Jerry spadł z tej samej belki i tak samiuteńko zupełnie rozdrapał sobie kolano!...

Okolice tutejsza jest przepiękna. Mamy dolinkę, rzekę i cały szereg porośniętych lasem pagórków; w oddali bieleje wstęga gościńca, a po za nim sinieją zarysy wysokiej góry, którą chciałoby się polknąć po prostu, taka jest słodka.

Doimy krowy dwa razy dziennie i przechowujemy mleko w chłodni, urządzonej z wielkiego kamienia, pod którym przepływa strumyk. Niektórzy farmerzy tutejsi mają centryfugi. Nie brać nas na takie nowomodne wymysły. Może trudniej jest zbierać śmietankę wprost z wiader, ale lepiej się opłaca. Mamy siedmioro cieląt i ja sama wybrałam imiona dla wszystkich:

1. Sylwja, jako że urodziła się w lesie.
2. Lesbja — na cześć Lesbji Katulla.
3. Sallie.
4. Julja — pstre, niesamowite stworzenie.
5. Aga — na moją cześć.
6. Ojczulek-Pajak. Nie ma pan nic przeciwko temu, prawda, Ojczulku? Jest czystej rasy holenderskiej i odznacza się niezwykłą łagodnością. Ma śmiesznie wysokie, cienkie, patykowate nogi, widzi pan więc, że słusznie należy mu się ta nazwa.

Nie miałam jeszcze czasu zabrać się do mojej nieśmiertelnej powieści; za bardzo pochłania mnie życie na folwarku.

Pańska niezmiennie

Aga.

P. S. Nauczyłam się piec pierniki.

P. S. (2) Gdyby pan miał zamiar hodować kury, polecam panu Orpingtony. Nie mają wcale sypu!

P. S. (3) Żałuję, że nie mogę posłać panu oselki złotkiego świeżego masła, które ubiłam wczoraj. Awansowałam już na doskonałą dziewczkę folwarczną.

P. S. (4) Chciałabym, żeby pan mógł zobaczyć pannę Agę Abbott, słuchaczkę kolegum, przyszlą sławną autorkę, zaganiającą krowy z pola do obory!

Drogi Pajaku-Długonózku.

Czy to nie zabawne? Zabrałam się do listu do pana wczoraj popołudniu, zdążyłam jednak napisać tylko nagłówek: „Drogi Pajaku-Długonózku“, gdy wtem przypomniałam sobie, że przyobiecałam zebrać koszyk czarnych jagód na kolację, pobiegłam więc, pozostawiwszy arkusik papieru z rozpoczętym listem na stole. Teraz, przyszedłszy, aby pisać w dalszym ciągu, znalazłam... niech pan zgadnie, co? Prawdziwego, żywego pajaka, który usadowił się na samym środku stronicy. Ma go pan! Zdjęłam go delikatnie za jedną nóżkę i wyrzuciłam przez okno. Za nic na świecie nie chciałyby ukrzywdzić żadnego pajaka. Zaprzęgliśmy dzisiaj konia do bryczki na resorach i pojechaliśmy do kościoła.

Słiczny to biały wiejski kościółek z wieżyczką i trzema doryckimi kolumnami na frontonie (a może jońskimi? — zawsze mi się mieszają).

Przyjemne, senne kazanie, przy którym wszyscy ukołysani niem słuchacze sennie poruszają w takt wachlarzami z liści palmowych, a jedynym dźwiękiem, wtórującym głosowi kaznodziei, jest ćwierkanie ptaków na drzewach otaczających kościół. Zbudziłam się z nawpółdrzemiącego stanu dopiero znalazłszy się na nogach przy śpiewaniu hymnu i wtedy strasznie mi się żal zrobiło, że nie słuchałam kazania. Chciałabym poznać bliżej psychologję człowieka, który mógł wybrać podobny hymn. Brzmiał on, jak następuje:

„Porzuć zabawy i rozkosze ziemi,
 „I złącz się ze mną w niebiańskim zachwycie,
 „Zaś gdy nie zechcesz pożegnać się z niemi,
 „W otchłani piekieł utoniesz niebycie“.

Uważam, że niebezpiecznie jest dyskutować z Semplami w sprawach religji. Bóg ich, odziedziczony bez żadnych zmian po dalekich ich purytańskich

przodkach, jest ciasną, nierozumującą, niesprawiedliwą, drobiazgową, mściwą, a mimo to uwielbianą lstopatą. Jakże to szczęście, że ja mojego Boga nie odziedziczyłam po nikim! Nikt mi Go nie narzucił i mogłam urobić Go sobie takim, jakim chciałam Go mieć. Jest dobry, współczujący, wybaczący i umiejący wchodzić w moje intencje, a nadewszystko ma poczucie humoru.

Ogromnie lubię Semplów; ich czyny są o tyle wyższe od ich teorii. Są lepsi od własnego ich Boga. Powiedziałam im to i straszliwie ich tem zgorszyłam. Uważali słowa moje za bluźnierstwo, a, mojem zdaniem, oni właśnie bluźnią! Wyrzuciliśmy teologję z naszych rozmów.

Mamy niedzielne popołudnie.

Andrzej (parobek) w pasowym krawacie i jasno-żółtych jelonkowych rękawiczkach, z lśniącą i czerwona pod świeżem, mocnem ogoleniu twarzą, pojechał przed chwilą z Karusią (dziewką folwarczną), ustrojona w olbrzymi, wielkości koła, kapelusz przybrany pasowemi różami, w niebieską muslinową suknię i zafrizowane gorącym żelazkiem papiloty. Andrzej całe przedpołudnie szorował karjolkę, a Karusia nie poszła do kościoła i pozostała w domu pod pretekstem gotowania obiadu, naprawdę jednak spędziła cały ronek na prasowaniu swojej muslinowej sukni.

Za dwie minuty, to znaczy z chwilą skończenia tego listu, zabiorę się do czytania książki, którą znalazłam na strychu. Tytuł jej: „Na Szlaku”, a na ukos pierwszej stronicy nagryzmołone jest zabawnem dziecinnem pismem imię i nazwisko: „Jervis Pendleton”. A pod tem przestroga:

Gdy się ta książka gdzieś zawieruszy,
Zwrócić ją zaraz. Jak nie — za uszy!

Właściciel książki spędził tutaj jedno lato po przebyciu choroby, kiedy miał jedenaście lat i pozostawił „Na Szlaku”, jako pamiątkę po sobie. Książka

musiała być czytana dużo razy — świadczą o tem liczne ślady, nie zawsze, jak widać, czystych palców właściciela. Na tym samym strychu leży też jeszcze stara polewaczka, wiatrak, łuk i kilka strzał. Pani Sempłowa tak ciągle opowiada o nim, że zaczynam naprawdę wierzyć w jego istnienie — ale nie jako dorosłego mężczyzny w cylindrze na głowie i z laską w rękę, tylko jako małego umorusańca ze zwichrzoną czupryną, wpadającego po schodach z ogłuszającym hałasem i zostawiającego wszystkie drzwi szeroko otworem i wciąż wężącego po kuchni i spiżarni, co możnaby złasować (i napewno zawsze coś znajdujacego, o ile znam panią Sempłową!). Musiał być odważnym i przedsiębiorczym malcem, zawsze szczerym i prawdomównym. Szkoda tylko, że to Pendleton; napewno stworzony był do czegoś lepszego.

Zaczynamy jutro młóckę owsa; ma nadejść parowa młóckarnia, którą obsługiwać będzie trzech donajętych ludzi.

Przykro mi zdradzić panu, że Graniasta (łaciata krowa z jednym rogiem, matka Lesbji) shańbiła się czynem niedozwolonym. Dostała się w piątek wieczorem do sadu i tak obzarła się jabłkami, które spadły z drzew, że aż uderzyło jej to do głowy. Przez dwa dni była kompletnie jak pijana. Nic a nic nie przesadzam. Słyszał pan kiedy o czemś podobnem?

Szanowny panie,

Pozostając oddaną panu sierotą,

Aga Abbott.

P. S. Indjanie w pierwszym rozdziale i rozbójnicy w drugim. Czytam z zapartym oddechem. Co może być w trzecim? „Czerwony Sokół podskoczył na dwadzieścia stóp w górę i zarył się w piasek”. Taki jest nagłówek. Ile uciechy dla Agi i panicza Jerry?

15-y września.

Drogi, kochany Papuńciu.

Ważylałam się wczoraj na wadze do mąki w głównym śpichrzu. Przybyło mi dziewięć funtów! Polecam panu Wierzbinki jako źródło zdrowodajne.

Pańska na wieki

Aga.

25-y września.

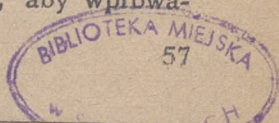
Drogi Tatuńciu-Pajaku.

Mam zaszczyt przedstawić się panu: Drugokur-sistka. Przyjechałam w zeszły piątek, rozstawszy się ze smutkiem z folwarkiem, rada jednak, że wracam do kolegjum. Bezwzględnie miłe to uczucie powracać do czegoś bliskiego. Zaczynam się czuć w kole-gjum, jak u siebie, dorosłą do sytuacji; mogę nawet powiedzieć, że zaczynam czuć się na świecie, jak u sie-bie, jak gdybym naprawdę do niego należała, a nie wślizgnęła się jedynie fuksem.

Nie sądzę, aby pan choć w części był w stanie zrozumieć, co próbuję powiedzieć. Osoba tak ważna że aż może być Opiekunem, nie jest w stanie ocenić uczuć osoby tak małoważnej, jak podrzutek.

A teraz, Tatuńciu, nastaw uszu. Jak ci się zdaje, z kim mieszkam? Ni mniej, ni więcej, tylko z Sallie McBride i... z Julją Rutledge Pendletonówną!... Sło-wo honoru, nie kłamie. Mamy wspólny gabinet i trzy małe sypialki.

Sallie i ja postanowiłyśmy na wiosnę, że chciały-byśmy mieszkać razem; Julja znów powiedziała so-bie, że nie rozstanie się z Sallie. — Dlaczego? — nie wiem, bo nie są ani trochę do siebie podobne. Ale Pendletonowie zbyt wiele mają w sobie wrodzonego konserwatyizmu i wrogości dla wszelkiego nowator-stwa (piękne wyrażenie — prawda?), aby wprowa-



dzać jakieś zmiany. Bądź co bądź, mieszkamy wszystkie trzy razem. Pomyśl pan tylko: Agata Abbott, wychowanka Ochrony dla podrzutków imienia Johna Griera, mieszkająca razem z Pendletonówną! Stany Zjednoczone są naprawdę demokratycznym krajem.

Sallie kandyduje na stanowisko przewodniczącej kursu i, o ile nie mylą wszystkie oznaki, zostanie wybrana. Atmosfera kolegjum roi się od intryg — szkoda, że nie może pan przekonać się na własne oczy, jak jesteśmy rozpolitykowane. O, zapewniam pana, Ojczulku, że jak my, kobiety, zdobędziemy wszystkie prawa, będziecie się musieli dobrze pilnować wy, mężczyźni, aby nie utracić waszych. Wybory odbędą się w przyszłą sobotę, poczem nastąpi wieczorem pochód uroczysty z pochodniami, bez względu na to, kto okaże się górą.

Zaczynam chemję, najniezwyklejszy pod słońcem przedmiot. Nie widziałam jeszcze nigdy nic podobnego. Materjałem, którym się operuje, są molekuly i atomy, ale dopiero w przyszłym miesiącu będę mogła powiedzieć o nich coś bliższego.

Przechodzić będę także wnioskowanie i logikę.

Także historję całego świata.

I sztuki Williama Shakespeare'a.

I język francuski.

Jeżeli to potrwa jeszcze kilka lat, stanę się zupełnie inteligentną.

Wolałabym raczej wybrać nauki ekonomiczne niż francuski, bałam się jednak, że, o ile nie będę chodziła w dalszym ciągu na francuski, nauczycielka gotowa mnie ściąć — i tak zaledwie prześlignęłam się przez egzamin czerwcowy. Muszę jednak zaznaczyć na moje usprawiedliwienie, że moje przygotowanie do wyższych studjów nie było bardzo odpowiednie.

Mamy tu jedną z koleżanek na kursie, która trzepie po francusku tak prędko jak rodowitym językiem. Wyjechała, jako dziecko, zagranicę z rodzicami, i spę-

dziła trzy lata w szkole klasztornej we Francji. Może pan sobie wyobrazić, o ile wyprzedza nas wszystkie na tym punkcie — czasowniki nieregularne są dla niej zabawką. Szkoda, że moi rodzice nie podrzucili mnie do klasztoru francuskiego, kiedy byłam małym dzieckiem, zamiast do Ochrony dla znaj. Ale nie, nie szkoda! Dobrze, że tego nie zrobili, bo może w takim razie nie poznałabym pana, Ojczulku. Wolę już znać pana, niż język francuski.

Bądź zdrów, Tatuńciu. Muszę pójść teraz do Henryki Martin, aby podczas omawiania spraw chemii rzucić przygodnie kilka myśli w sprawie nowej naszej prezydentki.

Pańska rozpolitykowana

A. Abbott.

17-y października.

Drogi Tatuńciu-Pajaku.

Przypuśćmy, że basen do pływania będzie napełniony syropem cytrynowym. Czy mogłaby osoba, chcąc w nim pływać, utrzymać się na powierzchni, czy też poszłaby na dno?

Podano nam właśnie galaretę cytrynową i wskutek tego powstała taka kwestja. Dyskutowaliśmy nad nią gorąco przez pół godziny i nie rozstrzygnęliśmy jej ostatecznie. Sallie sądzi, że mogłaby się utrzymać, ja, przeciwnie, pewna jestem, że najlepszy na świecie pływak poszedłby na dno. Prawda, jakie to byłoby śmieszne, utopić się w galarecie?

Dwa inne jeszcze zagadnienia poruszyły żywo nasz stół.

1-e. Jakiego kształtu są pokoje w ośmiokątnym budynku? Niektóre z dziewcząt utrzymują, że są czworoboczne; ja jednak sądzę, że muszą być kształtu pieroga. Jakiego jest pan zdania o tem?

2-e. Wyobraźmy sobie, że mamy wielką pustą kulę, zrbioną z tafli lustrzanej i że ktoś siedzi wewnątrz niej. W jakim momencie przestałaby ona odbijać jego twarz i zaczęłaby odbijać jego plecy? Im więcej się myśli o tem zagadnieniu, tem trudniejszym staje się ono do rozwiązania.

Widzi pan, jakimi głęboko filozoficznemi rozważaniami zapelniamy wolne nasze chwile!

Czy pisałam już panu o przebiegu wyborów? Odbyły się one przed trzema tygodniami, żyjemy jednak tak szybko, że czas z przed trzech tygodni jest już historją starożytną. Sallie została wybrana. Urządziliśmy pochód uroczysty z pochodniami i transparentami, na których wypisane było: „Niech żyje McBridówna!” oraz z orkiestrą, składającą się z czternastu instrumentów (trzech harmonijek usnych i jedenastu grzebieni).

Jesteśmy teraz bardzo ważnemi osobistościami na naszym kursie. Oczywiście Julja i ja korzystamy z odbicia glorii Sallie. Mieszkać razem z prezydentką, to nielada zadanie społeczne.

Bonne nuit, cher Ojczulku.

*Acceptez mes compliments très respectueux
Je suis Votre Aga.*

12 listopada.

Drogi Pająku-Tatuńciu.

Pobiłyśmy wczoraj Nowicjuszki w koszykówce. Bardzo jesteśmy z tego zadowolone, rozumie się — ale gdyby tak móc pobić Junjorki! Zgodziłabym się już być cała posiniaczona i przeleżeć cały tydzień w łóżku z kompresami z liści leszczynowych.

Sallie, zaprosiła mnie, abym spędziła u niej święta Boże Narodzenia. Mieszka w Worcester, w stanie Massachusetts. Prawda, jak to było uprzejmie z jej

strony? Bardzo chętnie pojechałabym do niej. Nie byłam nigdy w życiu w prywatnym domu, z wyjątkiem Wierzbinek, ale państwo Sempłowie są dorośli i starzy i dlatego się nie liczą. Państwo McBridowie mają mnóstwo dzieci (co najmniej dwoje czy troje); poza tem jest tam ojciec, matka, babka i kot angorski. Co się nazywa, najkompletniejsza rodzina! Zapakowanie kufra i wyjazd miłsze jest oczywiście, niż pozostanie. Ogromnie podnieca mnie sama ta myśl.

Siódmy wykład. Muszę biec do auli. Mam brać udział w przedstawieniu teatralnem. Książę w wieży w aksamitnym płaszczu i ze złotemi lokami! Cudowny pomysł.

Pańska

A. A.

Chce pan wiedzieć, jak wyglądam? Posyłam panu fotografię nas wszystkich trzech; zdjęcie to zrobiła Leonora Fenton.

Jasnowłosa, śmiejąca się — to Sallie; wysoka, z noskiem zadartym do góry — to Julja, a mała, z włosami opadającemi jej na twarz — to Aga. W rzeczywistości jest ładniejsza, niż na tej podobiznie, słońce świeciło jej wprost w oczy.

„Kamienne Wrota“
Worcester, Massachusetts.

31 grudnia.

Najdroższy Tatuńciu-Ojczulku.

Chciałam napisać do pana wcześniej i podziękować panu za pański dar gwiazdkowy, ale życie w domu państwa McBridów jest tak absorbujące, że nie byłam w stanie znaleźć dwóch z rzędu minut wolnych, które mogłabym poświęcić na list.

Kupiłam sobie nową suknię — nie dlatego, żeby mi była potrzebna, ale, że mi się podobała. Mój dar

gwiazdkowy tegoroczny pochodzi od Ojczulka Pajaka. Rodzina moja zadowolniła się tym razem przesłaniem życzeń tylko.

Spędziłam w domu Sallie najcudowniejsze wakacje. Mieszka ona w dużym staroświeckim domu z czerwonych i białych cegieł, oddalonym nieco od ulicy — taki właśnie rodzaj domu, jakiemu zwykła byłam przyglądać się z wielkiem zaciekawieniem z okien naszej Ochrony, przemyślając, jak też tam może wyglądać wewnątrz. Nigdy nie miałam nadziei oglądania tego na własne oczy — a teraz jestem tutaj. Wszystko dokoła mnie jest takie wygodne, przytulne i zadomowione; chodzę z pokoju do pokoju i wchłaniam w siebie całe środowisko i każdy mebel z osobna.

Jest to najcudowniejszy dom do wychowywania w nim dzieci; z ciemnymi zakamarkami do gry w chowanego, z kominkami do pieczenia kasztanów i strychem do wdrapywania się nań w deszczowe dni, z śliskimi poręczami z wygodną, płaską gałką na samym dole i wielką, pełną słońca kuchnią z pocziwą, zażywną, okrągłą, jak pączek, wesołą kucharką, która jest już w rodzinie trzynaście lat i zawsze zostawia kawał surowego ciasta dla dzieci do zabawy. Sam widok takiego domu budzi pragnienie cofnięcia się znów do lat dziecięcych.

A cóż dopiero cała rodzina! Nie wyobrażałam sobie nigdy, żeby mogła być taka słodka i taka kochana. Sallie ma matkę, ojca, babkę, najmilszą w świecie trzyletnią siostrzyczkę, całą w jasnych lokach, wyrostka brata, który stale zapomina wycierać nogi i dużego, przystojnego brata imieniem Jimmie, studenta drugiego kursu w Princeton.

Świetnie bawimy się przy stole — wszyscy śmieją się, dowcipkują i rozmawiają naraz i nikt nikogo nie zmusza do odmawiania modlitwy przed jedzeniem. Co to za ulga nie mieć potrzeby dziękowania komuś za każdą niesioną do ust łyżkę stawy (wiem, że bluź-

nię, ale pan nie byłby napewno lepszy, gdyby pan miał do składania tyle modłów dziękczynnych, ile ja).

Ile nawyrabialiśmy się? — niepodobna opowiedzieć wszystko. Pan McBride jest właścicielem fabryki i w Wigilję urządził choinkę dla dzieci wszystkich oficjalistów i robotników. Użyto na ten cel wielkiej pakarni, którą udekorowano jemiolą i kolorowymi bibułkami. Jimmie McBride przebrał się za ś-go Mikołaja, a Sallie i ja pomagałyśmy mu przy rozdawaniu prezentów.

Ojczuleczku drogi, jakie to było przezabawne uczucie! Czułam się pełną łaskawości — niczem najgrubszy z Opiekunów naszej Ochrony. Ucałowałam jednego, ślicznego, umorusanego malca — zdaje mi się jednak, że nie zdobyłam się na pogłaskanie żadnego po głowie!

A w dwa dni po Bożem Narodzeniu wydali państwo McBridowie wieczór tańczący u siebie na MOJĄ cześć.

Był to mój pierwszy prawdziwy bal — bo przecież nie można liczyć tańców w kolegjum, na których kręcimy się tylko same ze sobą, bez kawalerów. Miałam nową białą suknię wieczorową (pański dar gwiazdkowy — tysiączne dzięki), długie białe rękawiczki i białe pantofelki. Jedyną ciemną plamą na jasnym niebie mojego szczęścia była okoliczność, że pani Lippett nie mogła widzieć mnie w pierwszej parze kotyljona z Jimmiem McBridem.

Proszę, niech pan jej opowie o tem za najbliższą swoją bytnością w D. W. J. G.

Pańska na zawsze

Aga Abbott.

P. S. Czy byłby pan strasznie zagniewany, Ojczulku, gdyby okazać się miało mimo wszystko, że nie jestem wielką autorką, tylko taką sobie zwykłą, przeciętną dziewczyną?

Drogi Tatuńciu.

Wybrałyśmy się dzisiaj na pieszą wycieczkę do miasta, ale, niestety! lunęło, jak z cebra. Podług mnie, zima musi być zimą z śniegiem, a nie z deszczem.

Pożądaný wujek Julji odwiedził nas dzisiaj po południu i przywiózł 5-funtowe pudło cukrów. Stano-wczo dobrze jest mieszkać z Pendletonówną!

Nasza niewinna paplanina zdawał się bawić go, bo przeczekał jeden pociąg, aby zostać u nas na pod-wieczorku. Niełatwo było dostać pozwolenie na to. Trudno zdobyć je na przyjmowanie ojców i dziadków; z wujami jest jeszcze o stopień trudniej, a już co do braci i kuzynów — można się z nadzieją ugoszczenia ich pożegnać prawie na amen.

Julja musiała zaprzysiąc uroczyście przed no-tarjuszem, że to rodzony jej wuj, i wtedy dopiero stwierdził prawdziwość jej słów urzędnik komunalny, który wydał, opatrzony odpowiednimi pieczęciami dokument. (Widzi pan, jak się znam na prawie pań-stwowem!) A nawet i po dopełnieniu tych wszystkich formalności wątpię, czy pozwolono-by nam przyjąć na-szego gościa, gdyby Rektor zobaczył przypadkiem, ja-ki wuj Jervis jest młody i przystojny.

Na szczęście wszakże, udało nam się. Miałyśmy na podwieczorek: jaja, czarny chleb z masłem i serem szwajcarskim i herbatę. Gość nasz pomógł nam sma-rować kromki i zjadł sam cztery. Powiedziała-m mu, że spędziłam letnie ferje w Wierzbinkach. Wpadłszy na ten temat, nie mogliśmy dość nagadać się o państwu Semplach, o koniach, o krowach i kurczętach. Wszyst-kie konie, jakie znał ze swoich jeszcze czasów, powy-zdychały, oprócz jednego tylko bułanka, który był wtedy maluchnem źrebięciem, a teraz, biedny staro-wina, zaledwie sztykuta po pastwisku.

Wypytywał się o wszystko; chciał wszystko wie-dzieć: czy wciąż jeszcze przechowuje się tam suche

ciastka w złotym blaszanym pudle z niebieską pokrywką na najwyższej półce spiżarni? — owszem, przechowuj! Czy istnieje jeszcze gniazdo bobaków w wydrążeniu skalnym na nocnym pastwisku? — tak, istnieje. Andrzej schwytał jednego dużego, tłustego, szarego tego lata; pewnie to dwudziesty piąty prapra-pra-pra-pra... wnuk tego samego, którego „panicz Jerry” złapał, jak był małym chłopcem.

Nazywałam go bez ceremonji „paniczem Jerry” i wcale się o to nie obrażał. Julja mówi, że nie widziała go nigdy takim rozgadany; podobno bywa zwykle grubo nieprzystępny. Ale Julja nie ma ani trochę taktu, a z mężczyznami trzeba umieć się obchodzić. Pomrukują z zadowolenia, jeśli się ich gładzi w dół sierści, a otrząsają się, jeśli to robić pod włos (może to niebardzo eleganckie porównanie. Mówię, oczywiście, w przenośni).

Czytamy teraz dziennik Marji Baszkircewej. Czy to nie potworne? Niech pan posłucha: „Wczoraj wieczorem ogarnęła mnie czarna rozpacz, której dałam wyraz w jękach bólu i która doprowadziła mnie w końcu do takiej pasji, że chwyciłam zegar z jadalni i cisnęłam go w morze”.

Wie pan, już wolę nie być genialną. Niełatwo chyba wytrzymać z genjuszami — tacy są niebezpieczni dla sprzętów domowych!

Boże! wciąż leje i leje bez przestanku. Popłyniemy chyba dzisiaj wieczorem do kaplicy.

Pańska niezmiennie

Aga.

20-go stycznia.

Drogi Tatuńciu-Pajaczk.

Miałeś kiedyś milusią, maluchną córeczkę, którą wykradziono ci z kołyski, kiedy była jeszcze niemowlęciem?

A może ja nią jestem? Gdybyśmy byli bohaterami powieści, czy możnaby wymyśleć lepsze rozwiązanie?

Bardzo to dziwne nie wiedzieć, kim się właściwie jest — bardzo jednak romantyczne. Tyle jest najprzeróżniejszych możliwości. Może nie jestem Amerykanką? mnóstwo ludzi nie jest. Mogę pochodzić w prostej linii od starożytnych Rzymian, albo może jestem córką starego Wikinga, albo dzieckiem rosyjskiego wygnańca i należę z prawa do którego z syberyjskich więźniów i powinnabym konać z głodu i zimna w tajdze syberyjskiej? Albo może jestem cyganką?—myślę, że to najprędzej. Stąd pewnie mój duch niespokojny wciąż błakający się i moja żyłka koczownicza, której zresztą niewiele miałam dotychczas okazji rozwinąć.

Ale, ale, czy słyszał pan o najciemniejszej plamie mojego życia? o mojej ucieczce z Ochrony z powodu kary, otrzymanej za kradzież ciastek? Wszystko to zapisane jest w księdze zakładowej, aby każdy Opiekun mógł przeczytać. Ale przyznaj pan sam, Ojczulku, czy można było spodziewać się czego innego? Niech pan sobie wyobrazi, że pan jest głodną dziewięcioletnią dziewczynką i że zasadzono pana do czyszczenia noży w śpizarni, gdzie tuż pod nosem pańskim stoi półmisek z świeżo upieczonymi i kusząco pachnącymi ciasteczkami, że wszyscy wychodzą i zostawiają pana, t. j. dziewczynkę, samą jedną, a potem nagle wpadają do śpizarni... Czy podobna dziwić się, że znajdują okrucy na jej fartuszku? — A potem, kiedy szarpia ją, szturchają, targają za włosy i wymierzają jej kilka tęgich policzków i jeszcze w dodatku każą jej przy obiedzie odejść od stołu w chwili podania leguminy, nazywając ją przy wszystkich dzieciach złodziejką, — powiedz pan sam, czy można się dziwić, że mała uciekła z Ochrony?

Uciekłam tylko o cztery mile angielskie. Dogoniono mnie, ściągnięto z powrotem i potem codziennie

w ciągu całego tygodnia przywiązywano, jak małego pieska, który coś zbroił, do żerdzi w płocie podwórzowym i kazano stać tak przez cały czas, kiedy wszystkie inne dzieci wesoło bawiły się w rozmaite gry.

Ach, jaka szkoda! Dzwonek. Musimy iść do kaplicy, a potem mamy zebranie komitetu.

Bardzo żałuję. Chciałam napisać panu tym razem prawdziwie zajmujący list.

Auf Wiedersehen

Cher Ojczulku.

Pax tibi!

Aga.

P. S. Jednej tylko rzeczy jestem najzupełniej pewną: Nie jestem Chinką!

4-y lutego.

Drogi Ojczulku-Długonóżku-Pajaku.

Jimie McBride przysłał mi sztandar Princetonu, wielki, jak cała ściana. Bardzo mu jestem wdzięczna za pamięć o mnie, ale nie mam doprawdy pojęcia, co zrobić z tym fantem. Sallie i Julja nie pozwalają rozwiesić go w pokoju; nasz wspólny gabinet urządzony jest w tym roku na czerwono, może więc pan wyobrazić sobie, jak wyglądałaby na jego tle taka ogromna pomarańczowo-czarna płachta. Ale to taki miły, miękki, ciepły materiał, że grzech byłby zmarnować go. Czy bardzo raziłoby, gdybym zrobiła sobie z niego płaszcz kąpielowy? Mój stary bardzo się skurczył w praniu.

Dawno już nie pisałam panu nic o mojej nauce. Jednakże, chociaż trudno wyobrazić to sobie, sądząc z moich listów, poświęcam wszystkie godziny dnia wyłącznie studjom. O, niełatwa to sprawa kształcić się w pięciu naraz dziedzinach.

— „Dowodem prawdziwego umiłowania wiedzy” — mówi profesor chemji — „jest niestrudzenie drobiazgowa analiza szczegółów”.

— „Pamiętajcie, panie, abyście nie gubili się zbyt w szczegółach” — ostrzega profesorka historii. — „Główną rzeczą jest objęcie całokształtu z perspektywy dziejowej”.

I cóż pan na to? Jak sobie z tem poradzić? Jak wybrnąć z tych przeciwieństw między chemją a historją? Mnie osobiście lepiej przypada do gustu metoda historyczna. Jeżeli powiem np., że Wilhelm Zdobywca wylądował w 1494, a Kolumb odkrył Amerykę w 1066 czy 1100, czy kiedy to tam było, będzie to drobny szczegół, nie mający znaczenia podług naszej profesorki. Daje to uczucie pewności i swobody przy opowiadaniu z historii, czego brak najzupełniej przy egzaminie z chemji.

Dzwonek na szósty wykład — muszę iść do laboratorium i coś tam porobić z kwasami, solami i alkalijskami. Wypaliłam kwasem solnym dziurę wielkości talerza na samym przódzie mojego fartucha laboratoryjnego. Zgodnie z teorią, powinnabym móc zneutralizować tę dziurę mocnym amonjakiem — czy nie tak?

W przyszłym tygodniu mamy egzamin, ale kto ich się tam boi?...

Oddana panu na wieki

Aga.¹

5-y marca.

Drogi Tatuńciu-Pajaku.

Dmie wichur marcowy i niebo pokryte jest czar-nymi, ciężko sunącymi chmurami. Wrony na sosnach wciąż odbywają hałaśliwe wiece. Słychać nieustannie donośne ich krakanie. Upajające, wesołe, nie dające spokoju krakanie! Chciałoby się rzucić do diabła

wszystkie książki i biec daleko w pole w zawody z wiatrem.

Urządziliśmy w zeszłą sobotę łowy z rzucaniem papierków na pięciowiorstowej przestrzeni rozmiętego gruntu, wśród łąk i pagórków. Lis (którego uosabiała grupa, złożona z trzech dziewcząt i z jakiegoś korca confetti) wyruszył na pół godziny przed dwudziestoma siedmioma łowczyniami. Ja byłam jedną z tych dwudziestu siedmiu; osiem pozostało w tyle na drodze, tak, że skończyłyśmy zaledwie w dziewiętnaście. Ślad prowadził przez pagórek, potem przez pole zbożowe, wreszcie przez moczary i bagna, w których musiałyśmy przeskakiwać lekko z występu na występ, z kamienia na kamień. Rozumie się, że dobra połowa nas unurzała się w błocie po kostki. Ślad nikł nam wciąż z oczu; zmarnowałyśmy z dwadzieścia pięć minut na przebrnięcie przez moczary; potem pędzić wypadło na stromy pagórek, przedzierać się przez gąszcz leśny, aż wreszcie ślad zaginał wyraźnie przy oknie stodoły! Wrota do niej były zawarte, a okno małeńkie i wysoko osadzone. Powiedz pan sam, czy to uczciwie? Prawda, że nie?

Nie próbowałyśmy wcale przedostać się do wnętrza; okrążyłyśmy stodołę i odnalazłyśmy nieco dalej ślad, prowadzący po niskim dachu szopy aż na wierzchołek żerdzi w płocie. Lis myślał, że złapie nas w ten sposób w sidła, nie dałyśmy mu się jednak. Przesadziliśmy najspokojniej płot i dalej przeszło dwie mile angielskie po łąkach, na których zrzadka rozsiane były papierki.. Według zasad gry, rzucając one być winny co najwyżej w odległości sześciu stóp między jednym a drugim; były to jednak najdłuższe stopy, jakie istniały kiedykolwiek.

Wreszcie, po dwóch godzinach nieustannego kłusowania, dopędziłyśmy lisa po śladzie w kuchni Kryształowego Zdroju (jest to stały cel naszych zimowych wycieczek saneczkami i letnich — na wozie z sianem,

na pieczone kurczęta i wafle). Znalazłyśmy tam nasze trzy lisy, zapijające najspokojniej mleko i przegryzające je biszkoptami. Ani przypuszczały, że zapędzimy się tak daleko; były przekonane, że utkniemy przy oknie stodoły.

Obie strony dowodzą, że wygrały. Ja jestem zdania, że my; a pan jak myśli? Bo przecież schwytałyśmy lisy, zanim powróciły do domu. Tak, czy owak, wszystkie dziewiętnaście opadłyśmy kuchnię, jak szarańcza, domagając się miodu. Nie było go dość, aby obdzielić wszystkich, ale pani Kryształowo-Zdrojowa (tak ją przezwaliśmy; na prawdę nazywa się pani Johnson), przyniosła stół świeżo usmażonej galarety truskawkowej, dzban syropu klonowego i trzy bochny czarnego chleba.

Wróciłyśmy do kolegjum dopiero o pół do siódmej — spóźnione o pół godziny na obiad — i wpadłyśmy wprost do jadalni, nie przebierając się, z niezrównanemi apetytami. Oczywiście, wobec wyglądu naszego obuwia, stanowiącego aż nadto wystarczającą wymówkę, udało nam się wykręcić od wieczornej kaplicy.

Ale, ale, nic panu nie pisałam o egzaminach. Zdałam wszystkie śpiewając. Znam już teraz sekret i nigdy się już nie zetnę. Nie dostanę jednak *cum eximia* z powodu tej przeklętej łaciny i geometrii na pierwszym kursie. Kpię sobie z tego. Mniejsza o wszystko, byleby było zadowolenie. (To cytata. Czytam teraz klasyków).

A propos klasyków, przypomina mi się coś. Czy wpadł panu kiedy w ręce „Hamlet”? Jeśli nie, niech go pan przeczyta koniecznie. Mówię panu — pierwsza klasa! Przez całe życie słyszałam o Szekspirze, ale nie miałam pojęcia, że naprawdę tak dobrze pisał. Podejrzewałam zawsze, że dużo jest przesady w tem, co o nim mówią.

Mam świetną zabawę, którą wymyśliłam sobie dawno już, odkąd wzięłam się porządnie do czytania.

Wieczorem, po położeniu się do łóżka, wyobrażam sobie, że jestem główną bohaterką, albo głównym bohaterem książki, którą mam w danej chwili w czytaniu.

Obecnie jestem Ofelją — ale jaką rozsądną Ofelją! Staram się zabawić Hamleta, pieszczę go, łamię i każę mu owiazywać szyję, jak ma katar. Zupełnie wyleczyłam go z melancholji. Król i królowa pomarli oboje — wypadek na morzu, zaoszczędza to kłopotu z pogrzebem — więc ja i Hamlet rządząmy Danją bez żadnych przeszkód. Wszystko idzie nam, jak z płatka. On zajmuje się rządzeniem, a ja filantropją. Założyłam właśnie kilka pierwszorzędných sierocińców. Gdyby pan lub który z Opiekunów mieli ochotę zwiedzić je, chętnie panów oprowadzę. Myślę, że znajdziecie niejedną pożyteczną wskazówkę i gotowy wzór do naśladowania.

Pańska niezmiennie łaskawa

Ofelja,

Królowa duńska

24 marca.

Drogi Ojczulku, Tatuńciu, Pajaku, Długonóżku,
co pan tylko chce!

Nie wierzę, abym mogła dostać się po śmierci do raju; taki mam raj tutaj na ziemi, że nie należy mi się już chyba nic na tamtym świecie. Niech pan posłucha, co mnie spotkało:

Agata Abbott wzięła premjum (25 dolarów!) za krótkie opowiadanie. Nagrodę tę wyznacza corocznie redakcja naszego „Miesięcznika”. Ja — Drugokursistka! Współzawodniczkami mojemu były wyłącznie Senjorki. Zobaczywszy wywieszone na tablicy moje nazwisko, nie wierzyłam własnym oczom. A może naprawdę stanę się autorką! Szkoda, że pani Lippett da-

ła mi takie niemądre nazwisko, będę musiała chyba wymyślić sobie jakiś pseudonim.

Ale nie na tem koniec. Dostałam też rolę w „Jak wam się podoba”, które mamy wystawić na wiosnę. Będę Celją, kuzynką Rozalindy.

I jeszcze jedno: Julja, Sallie i ja jedziemy w piątek do New-Yorku po sprawunki i zostaniemy na noc, aby pójść nazajutrz do teatru z „paniczem Jerry”. Zaprosił nas. Julja przenocuje u swoich rodziców, a ja i Sally w hotelu. Czy może pan sobie wyobrazić coś podobnego? Nigdy w życiu jeszcze nie byłam ani w hotelu, ani w teatrze. Raz tylko urządzono na plebanji jasełka i zaproszono wszystkie dzieci z naszej Ochrony; ale to nie był przecież prawdziwy teatr i wcale się nie liczy.

I jak się panu zdaje, na co mamy pójść? — Na „Hamleta”. Pomyśl pan tylko! Przechodziłyśmy Hamleta przez cztery bite tygodnie na wykładach o Szekspirze i umiemy prawie całego na pamięć. Ale zobaczyć go na scenie, na prawdziwej scenie!...

Taka jestem tem wszystkiem przejęta, że prawie wcale nie sypiam.

Dobranoc, Ojczulku!

Jaki cudownie ciekawy jest świat!

Pańska na wieki

Aga.

P. S. Spojrzałam w tej chwili na kalendarz. Jest 28-y.

P. S. Nr. 2. Widziałam dzisiaj konduktora tramwajowego, który miał jedno oko piwne, a drugie niebieskie. Nie uważa pan, że nadawałby się doskonale na czarny charakter do powieści detektywnej?

7-y kwietnia.

Drogi, kochany Ojczulku-Pajaku.

O, Boże! Jaki ten New-York ogromny! Worcester — to dziura w porównaniu. Czy naprawdę może pan mieszkać wśród tego przeraźliwego rozgardjaszu? Miesiące chyba jeszcze upłyną, zanim przyjdę do siebie po oszałamiających dwóch dniach mojego pobytu w tym odnieście. Nie zdążyłabym nigdy opowiedzieć panu o wszystkich nadzwyczajnościach, które widziałam. Zresztą, zna pan je pewnie, mieszkając tam od tak dawna.

Prawda, jakie ciekawe są ulice? A ludzie? A sklepy? Nie widziałam nigdy takich cudownych rzeczy, jakie wystawiane są tam w każdym oknie sklepowem. Aż przychodzi ochota poświęcić całe życie swoje strojom.

Sallie, Julja i ja wybrałyśmy się razem za sprawunkami w sobotę rano. Julja weszła do jakiegoś najwspanialszego pałacu, jaki można sobie tylko wymarzyć. Białe i złoczone ściany, błękitne dywany, błękitne jedwabne portjery i pełno złoczonych foteli. Jakaś prześliczna dama z żółtymi włosami, cała w jedwabkach i atlasach wyszła nam naprzeciw z najczarowniejszym uśmiechem. Myślałam, że przychodzimy z wizytą, wyciągnęłam więc do niej na powitanie rękę, tymczasem okazało się, że przyszłyśmy kupić kapelusze. Julja przynajmniej. Usiadła przed lustrem i przymierzyła ich z tuzin conajmniej, jeden piękniejszy od drugiego. W końcu wybrała dwa najpiękniejsze.

Nie wyobrażam sobie większej w życiu rozkoszy niż siedzieć przed lustrem i móc kupować każdy kapelusz, jaki się podoba, zupełnie nie licząc się z tem, ile kosztuje! Niema co, Ojczulku: New-York prędko zmieniłby cały piękny stoicyzm, wyrabiany we mnie z taką wytrzymałością w Domu Wychowawczym.

Po załatwieniu wszystkich sprawunków, spotka-

łyśmy się z „paniczem Jerry” w restauracji Grand Hotelu. Przypuszczam, że był tam pan już kiedyś. Proszę więc zestawić jego salę jadalną, błyszczącą od sreber, luster, świateł, kwiatów, cudownych tualet, bieli obrusów, pachnącą, jak ogród najczarowniej-szy — z jadalnią Ochrony, z jej okrytymi ceratą sto-lami, z fajansowymi talerzami, tak grubemi, że niepo-dobna ich stłuc, z blaszanymi łyżkami i oprawnymi w czarne drzewo nożami i widelcami — i wyobrazić sobie, co się ze mną dziać musiał!

Zaczęłam jeść rybę niewłaściwym widelcem, ale lokaj podał mi zaraz drugi, tak że nikt tego nie zau-ważył.

Po obiedzie poszliśmy wszyscy do teatru. Było to coś olśniewającego, nieprawdopodobnie pięknego — istne czary — śni mi się ten teatr każdziutką noc.

Powiedz pan sam, czy Shakespear nie jest nad-zwyczajny?

O ile piękniej wychodzi Hamlet na scenie, niż w czytaniu i analizowaniu go na wykładzie! Zachwy-całam się nim przedtem, ale teraz!... nie, nie potrafię wcale wypowiedzieć...

Wie pan? może, jeśli nie sprawi to panu przy-krości, będę lepiej wielką artystką dramatyczną, a nie pisarką? Jak pan myśli — możeby odrazu rzucić ko-legjum i wstąpić do szkoły dramatycznej? A potem, jak już będę wielką artystką, przyślę panu łożę na wszystkie moje występy i będę uśmiechała się do pa-na ze sceny. Ale pan nie zapomni wpiąć czerwonej ró-ży do klapy surduta, abym była pewna, że uśmiecham się do właściwej osoby. Straszne byłoby przecież, gdy-bym miała się pomylić i natrafiła na kogoś zupełnie innego.

Powróciliśmy w sobotę wieczorem i jadłyśmy obiad w wagonie restauracyjnym przy małych stolicz-kach z różowemi lampkami i murzynami do obsługi. Nie słyszałam nigdy w życiu, aby można było jeść

normalny obiad w wagonie i nieopatrzenie zwierzyłam się z tem.

— Gdzieś ty się wychowywała? — zapytała Julia.

— Na wsi — odpowiedziałam wykrętnie.

— I nigdy nie podróżowałaś? — badała dalej.

— Aż do wyjazdu do kolegum nigdy. Ale wtedy podróż trwała tylko kilka godzin i nie jadło się nic w drodze.

Julja zaczyna się poważnie mną interesować; utrzymuje, że mówię takie zabawne rzeczy. Staram się usilnie nie czynić tego, ale zawsze wyrwie mi się nieopatrzone jakieś słówko, szczególnie, kiedy jestem czemś zdziwiona. Jakże się nie dziwić, kiedy wciąż natrafia się na nadzwyczajne rzeczy? Ojczulku drogi, wierz mi, że to coś oszałamiającego po siedemnastu latach, spędzonych w Domu Wychowawczym, wydośćać się odrazu na ŚWIAT.

Ale zaczynam się z tem zżywać. Nie robię już takich okropnych głupstw i pomyłek, jak z początku i nie czuję się już zakłopotaną w towarzystwie koleżanek. Dawniej nie wiedziałam, gdzie mam się podziąć z zażenowania, ilekroć ktoś spojrzeł na mnie. Zdawało mi się, że po przez nowe eleganckie suknie, w które mnie przebrano, widzieć każdy musi dawne moje kraciaste barchany i perkałe. Teraz nie myślę już o barchanach i perkalach. Nie chcę się niemi więcej dręczyć. Dość mi nadokuczyły aż do wczoraj.

Zapomniałam opowiedzieć panu o naszych kwiatkach. „Panicz Jerry” oifarował każdej z nas sporą wiązanek fiołków i konwalji. Prawda, jak to było uprzejmie z jego strony? Nigdy dawniej nie obchodzili mnie mężczyźni; przyznam się panu nawet, że — sądząc po Opiekunach — mało miałam dla nich sympatji, ale teraz zmieniałam swój pogląd na nich.

Boże, jedenaście stron! A to ci list! Ale niech się pan uspokoi. Kończę.

Pańska, zawsze oddana,

Aga.

10-y kwietnia.

Szanowny Panie Bogaczu.

Zwracam panu pański czek na pięćdziesiąt dolarów. Dziękuję bardzo za tyle dobroci, czuję jednak, że nie mam prawa z niej korzystać. Pensja miesięczna, jaką mi pan wyznaczył, aż nadto wystarcza na kupowanie wszelkich kapeluszy, jakie mogą mi być potrzebne. Bardzo mi przykro, że powypisywałam wszystkie te głupstwa o wspaniałym magazynie mód. O! po prostu, nigdy nic podobnego nie widziałam i dlatego taka byłam olśniona.

Ani mi na myśl przyszło prosić pana o dodatkową jałmużnę. Wolałabym, szczerze mówię, nie być zmuszoną w dalszym ciągu do przyjmowania jej. Niestety, muszę.

Z całego serca wdzięczna panu,

Aga.

11-y kwietnia.

Najdroższy Ojczulku.

Proszę, z całego serca proszę, wybac mi pan niemądry mój list, napisany wczoraj. Natychmiast po wrzuceniu go do skrzynki żałowałam mojego nieopatrznego kroku i chciałam wycofać list, ale niegodziwy urzędnik nie zgodził się.

Jest teraz po północy; nie śpię już od paru godzin, rozmyślając, jakim nędznym jestem robakiem, jaką ohydną stonogą — a to już najgorsze, co mogę wymyśleć. Cichutko przymknęłam drzwi od gabinetu, aby nie obudzić Julji i Sally, i siedząc na łóżku, piszę do pana na ćwiartce, wydartej z zeszytu do notatek z historii.

Chcę i muszę powiedzieć panu, że żałuję tego, co zrobiłam, żałuję, że postąpiłam tak niegrzecznie w sprawie pańskiego czeku. Wiem, że pan miał najserdeczniejsze względem mnie zamairy, myślę też,

że pan musi być kochanym, dobrym staruszkciem, zająca, pocziwą duszą, skoro pan przejmuję się do tego stopnia podobnem głupstwem, jak sprawa mego kapelusza. Powinna byłam też zwrócić panu czek w sposób o wiele uprzejmiejszy.

W każdym jednak razie musiałam go zwrócić. Jestem przecież w innem położeniu, niż reszta dziewcząt. Mogą one przyjmować prezenty od ludzi, zupełnie się tem nie krępując. Mają ojców, braci, wujów i ciotki, ja zaś, nie mam żadnych krewnych, ani jednego człowieka, do którego mogłabym z prawa należeć, nikogo, z kim mogłyby mnie łączyć naturalne stosunki. Przyjemność sprawia mi wmawianie sobie, że pan jest kimś bardzo mi bliskim; lubuję się tą myślą, wiem jednak rozumie się, że tak nie jest. Jestem sama na świecie, sama jedna stoję do walki o istnienie i dech mi trochę zapiera, kiedy pomyślę o tem. Prędko też odrzucam precz takie myśli i w dalszym ciągu usiłuję oszukiwać samą siebie.

Ale widzi pan sam. Ojczulku drogi, że nie mogę przyjmować od pana więcej pieniędzy po nad to, co muszę z konieczności, bo przecież przyjdzie dzień, kiedy będę chciała zwrócić panu wszystko, co pan na mnie wyłożył, a chociażbym nawet stała się największą autorką, jaką zamierzam się stać, nie będę w stanie spłacić tak olbrzymiego długu.

Chciałabym mieć piękne kapelusze i suknie, nie mogę jednak hipotekować dla nich mojej przyszłości.

Wybaczy mi pan moją niegrzeczność, prawda, Ojczulku? Fatalny mam zwyczaj pisania pod wpływem pierwszego porywu, w tym samym momencie kiedy przyjdzie mi coś do głowy i wrzucania listu do skrzynki bez możności wyjęcia go z powrotem. Chociaż jednak wydać się panu mogę czasem bezmyślną i niewdzięczną, proszę mi wierzyć, że to tylko pozór. W głębi serca żywię dla pana zawsze gorącą wdzię-

czność za życie wolne i niezależne, jakie zyskałam dzięki panu. Moje dzieciństwo było nieprzerwanem, długiem, ponurem pasmem buntu, a teraz odczuwam o każdej porze dnia i nocy taką pełnię szczęścia, że nie mogę wprost uwierzyć, aby to nie był złudny sen jedynie. Czasem zdaje mi się, że jestem przebraną księżniczką w bajce czarnoksiężkiej.

Już kwadrans po drugiej. Zejdę na palcach na dół i wrzucę ten list do skrzynki pocztowej! Otrzyma go pan następnym zaraz pociągiem po tamtym, tak, że nie będzie pan miał dużo czasu źle myśleć o mnie.

Dobranoc Ojczulku
Kocham pana zawsze,
Aga.

4-y maja.

Drogi Pajaku-Długonóżku.

W sobotę urządziliśmy obchód Majowy. Uroczystość wypadła imponująco. Nasamprzód był pochód ogólny wszystkich kursów; studentki wystąpiły gremjalnie w bieli; Senjorki — z rozpiętymi niebieskimi i złotonemi parasolkami japońskimi; Junjorki — z biało-brązowymi sztandarami. Nasz kurs miał pasowe balony — bardzo lotne, bo ciągle się zrywały i ulatywały w powietrze. Wreszcie Nowicjuszki nosiły zielone bibułkowe kapelusze z długimi, powiewającymi wstęgami. Wynajęliśmy orkiestrę miejską w niebieskich uniformach, a także około tuzina jegościów przebranych za błaznów cyrkowych; zadaniem ich było bawienie publiczności w przerwach między popisami.

Julja przebrała się za opasłego wieśniaka w płóciennym kitlu, z wąsami i potężnym parasolem w kształcie worka. Patrycja Morjarty (słyszał pan kiedy o podobnem imieniu? chyba już i pani Lippett

nie potrafiłaby wymyśleć lepszego), najwyższa i najszczuplejsza z dziewcząt, była żoną Julji i miała na głowie śmieszny, zielony, przekrzywiony na bakier, czeppek. Niepowstrzymywane wybuchy śmiechu towarzyszyły im na całej drodze. Julja odegrała wybornie swoją rolę. Nie mogłabym sobie wyobrazić, aby córa rodu Pendletonów była w stanie zdobyć się na tyle szczerego humoru. Niech mi wybaczy „panicz Jerry”; nie uważam go zresztą za prawdziwego Pendletona, zupełnie tak samo, jak nie mogę uważać pana, Ojczulku, za prawdziwego Opiekuna.

Sally i ja nie należałyśmy do pochodu, ponieważ brałyśmy udział w popisach. No i cóż? jak się panu zdaje? — Obie wzięłyśmy nagrody! W paru numerach przynajmniej. Probowaliśmy wziąć szerokie przeszkody, ale nie udało nam się, ale za to Sallie wzięła nagrodę za skok przez trapez (siedem stóp i trzy cale) a ja — za bieg na odległość (pięćdziesiąt jardów w osiem sekund).

Porządnie się zmachałam, ale za to uciechy było coniemniara. Cały nasz kurs powiewał balonami, oklaskiwał i wrzeszczał:

- Jak tam Aga?
- Doskonale.
- Kto doskonale?
- Aga Abbott!

Tak wygląda prawdziwa sława, Ojczulku! Po wyścigu pokłusowałam do namiotu, gdzie mocno nartarto mi całe ciało, a zwłaszcza nogi, spirytusem i dało mi pół cytryny do wyssania. Widzi pan więc, że jesteśmy skończonymi zawodowniczniami. Piękna to rzecz wziąć nagrodę w wyścigu w charakterze przedstawicielki całego kursu, bo kurs, który wygrywa w największej liczbie popisów, otrzymuje puchar zwycięstwa na dany rok.

W tym roku dostał się Senjorkom, których przedstawicielki wzięły nagrody aż w siedmiu popisach.

Związek lekko-atletyczny wydał galowy obiad na boisku dla wszystkich nagrodzonych. Dano nam smażone kraby i mrożony krem czekoladowy w kształcie piłek footballowych.

Przesiedziałam dzisiaj pół nocy na czytaniu „Jane Eyre”. Czy jesteś już dostatecznie stary, Ojczulku, aby pamiętać, jak to było sześćdziesiąt lat temu? A jeśli pamiętasz, powiedz mi, czy naprawdę ludzie mówili wtedy w ten sposób?

Wyniosła lady Blanka mówi do służącego: „Zamilknij, pacholku, i czyń, co ci rozkazuję!” Pan Rochester nazywa niebo „stropem niebieskim”. A owa oszalała niewiasta „dziko śmiejąca się jak hjena, podpalająca kotarę łóżka, drąca welon ślubny i kasająca” — to przecież najczystszy melodramat, a mimo to niepodobna oderwać się od tej książki. Trudno pojąć, jak mogła napisać ją młoda dziewczyna, wychowana na plebanji. Jest w siostrach Bronte coś, co mnie czaruje. W ich książkach, w ich życiu, w kierunku ich umysłów. Skąd się to do nich wzięło? Czytając o przejściach małej Jane w szkółce filantropijnej, tak się zirytowałam, że musiałam wybiec na daleki spacer. Doskonale rozumiałam, co musiało odczuwać to biedactwo. Znając panią Lippett, mogłam żywo uzmysłwić sobie pana Brockhursta.

Niech to pana nie obraża, Ojczulku. Nie chcę przez to powiedzieć, aby Dom Wychowawczy imienia Johna Griera miał być zupełnie podobny do Instytutu Lowood. My poddostatkiem mieliśmy jedzenia i byliśmy cało ubrani, nie brakło nam też nigdy wody do mycia; Ochrona nasza posiada nawet ogrzewanie centralne. Jedno tylko zachodzi między nami tragiczne podobieństwo: życie nasze i życie tamtych sierot upływało tak samo, zabójczo jednostajnie, bez żadnych urozmaiceń. Nie zdarzało się w niem nigdy nic przyjemnego z wyjątkiem kremu mrożonego co niedzielę, a i ten nawet związał się z potworną regu-

larnością. W ciągu całych spędzonych tam przezemnie siedemnastu lat jedną jedyną tylko przeżyłam przygodę — pożar drwalni. Zbudzono nas wśród nocy i kazano ubrać się pośpiesznie, abyśmy były gotowe w razie zajęcia się domu. Nie zajął się, niestety, i musialiśmy powrócić do naszych łóżek.

Każdy człowiek lubi drobne chociażby niespodzianki; jest to zupełnie naturalna, ludzka potrzeba. Ja zaś nigdy nie miałam żadnej, aż do dnia, w którym pani Lippett wezwała mnie do biura, aby mi oznajmić, że pan John Smith postanowił posłać mnie do kolegium. A i wówczas tak stopniowo i w takich drobnych dawkach udzieliła mi tej nowiny, że nie wywarła ona na mnie zbyt wielkiego wrażenia.

Wie pan, Ojczulku, zdaje mi się, że najniezbędniejszą cechą każdego człowieka powinna być wyobraźnia. Czyni ona ludzi zdolnymi do stawiania samych siebie w położeniu innych, a tem samem dobrymi, współczującymi i rozumiejącymi. Dla tego też pobudzać ją należy i rozwijać w dzieciach. W Ochronie naszej natomiast, tłumiono najdrobniejszy jej przejaw, najslabszą jej iskierkę. Jedyną zaletą, do jakiej zachęcano i jaką starano się rozbudzać, była obowiązkowość. Podług mnie dzieci nie powinnyby nawet rozumieć znaczenia tego wyrazu; jest ohydny, wstrętny. Powinnyby czynić wszystko z miłości, a nie z obowiązku.

Zobaczy pan, jak będzie wyglądał Dom Wychowawczy, na którego czele ja stanę! To najmilszy temat moich marzeń wieczorem, zanim zasnę. Obmyślałam cały plan aż do najdrobniejszych szczegółów: co? kiedy? i jak dzieci mają jeść? jak mają być ubrane? czego się uczyć? jakie mieć rozrywki? na czym mają polegać kary? — bo nawet i moim idealnym wychowawcom zdarzy się czasem zgrzeszyć.

Przedewszystkiem jednak będą szczęśliwe. Myślę, że każdy człowiek, bez względu na przejścia, ja-

kie czekać go mogą, gdy dorośnie, musi mieć szczęśliwe dzieciństwo, do którego mógłby powracać myślą z przyjemnością. I jeśli kiedykolwiek będę miała własne dzieci, chociażbym nie wiem jak była nieszczęśliwa, nie dam im zaznać, co to troska, dopóki nie dorosną.

(Oho! dzwonek na modlitwę w kaplicy! muszę przecież skończyć ten list).

Czwartek.

Powróciwszy dzisiaj z rana z laboratorium, zastałam wiewiórkę, siedzącą na stole i wyjadającą migdały z koszyczka. Ptaki, wiewiórki i stonogi są teraz, od czasu jak się ociepliło i okna są otwarte, częstymi naszymi gośćmi.

Sobota z rana.

Może się panu zdaje, że ponieważ wczoraj był piątek, a dzisiaj niema lekcji, — dano mi spędzić spokojny, miły wieczór na czytaniu całego cyklu Stevensona, który kupiłam za własne pieniądze, otrzymane jako premjum?

Jeżeli pan tak myśli, to znaczy, Ojczulku drogi, że pan nigdy nie był studentem żeńskiego kolegium. Sześć koleżanek wpadło do mnie łać razem wosk. Jedna z nich upuściła płynny jeszcze na sam środek naszego najlepszego dywana. Nigdy chyba nie doczyścimy się go.

Oddawna już nie wspominałam nic o wykładach, zapewniam pana jednak, że miewamy je wciąż jeszcze, codziennie. Lubię tylko ulżyć sobie trochę, odrywając się od nich, aby podyskutować nieco o szerszym życiu. Co prawda, te nasze dyskusje są jednostronne raczej, ale to już wyłącznie pańska wina.

Pisałam ten list, dopadkami, przez całe trzy dni,
obawiam się też, że *vous êtes bien* znudzony!

Do widzenia, miły Panie Mężczyzno,
Aga.

Wielmożny Pan Pająk Smith.

Szanowny Panie. Po ukończeniu nauki argumen-
tacji i podziału tezy na nagłówki postanowiłam,
w zastosowaniu do stylu epistolarnego, przyjąć for-
mę poniższą. Polega ona, jak się pan zaraz przekona,
na wymienianiu wszystkich potrzebnych faktów bez
niepotrzebnego gadulstwa.

I. Mialiśmy w tym tygodniu piśmienne egza-
miny z:

A. Chemji.

B. Historji.

II. Wybudowano nowy pawilon na sypialnie.

A. Materiał zużyty na jego budowę skła-
da się z:

(a) czerwonej cegły,

(b) szarego kamienia.

B. Znajdzie w nim pomieszczenie:

(a) jedna nadzorczyńi, pięć instruktorek,

(b) dwieście studentek,

(c) jedna gospodyni, trzy kucharki,
dwadzieścia pokojówek, dwadzieścia
kelnerek.

III. Urządziłyśmy dzisiaj piknik.

IV. Piszę specjalną rozprawę o źródłach do ko-
medji i dramatów Shakespeara.

V. Lou McMaton pośliznęła się i upadła dzisiaj
popołudniu podczas gry w piłkę i:

A. Wykręciła sobie ramię,

B. Stłukła kolano.

- VI. Mam nowy kapelusz przybrany:
A. Niebieską aksamitką,
B. Parą niebieskich skrzydeł,
C. Trzema paśowemi pomponami.
VII. Jest w pół do dziewiątej.
VIII. Dobranoc.

Aga.

2-i czerwca.

Drogi Papuńciu-Pajęczku — Długonóżku.
Nigdy pan nie zgadnie, jaka mnie spotkała miła niespodzianka.

Państwo McBridowie zaprosili mnie, abym spędziła z nimi lato w ich wiejskiej siedzibie w Adirondack. Należą do rodzaju klubu, urządzonego wśród lasów nad małym, ślicznym jeziorkiem. Każdy z członków klubu zajmuje własny domek z kłoców ustawiony pomiędzy drzewami; wszyscy odbywają wspólne przejażdżki łodzią po jeziorku, odbywają dalekie spacery do innych letnisk, a raz na tydzień urządzają tańce w domu klubowym, Jimmie McBride ma gościć u siebie przez część lata jednego ze swoich kolegów z kolegum, nie zbraknie więc nam kawalerów do tańca.

Prawda, jak to było uprzejmie ze strony pani McBridowej, że mnie zaprosiła? Okazuje się, że polubiła mnie podczas mojej wizyty u nich na Boże Narodzenie.

Proszę, niech mi pan wybaczy lakoniczność tego listu. Właściwie, to wcale nie list, chciałam tylko, żeby pan wiedział, że już rozporządzono mną na lato.

Pańska

W jaknajlepszym usposobieniu

Aga.

5-y czerwca.

Drogi Panie Smith.

Dostałam przed chwilą list od pańskiego sekretarza, który mi oznajmia, że pan nie życzy sobie abym przyjmowała zaproszenie pani McBridowej i woli, abym to lato spędziła, podobnie jak poprzednie, w Wierzbinkach.

Dla czego, Ojczulku? dla czego? dla czego?

Nie zdaje pan sobie dokładnie sprawy z całej rzeczy. Pani McBridowa naprawdę chce mnie mieć, szczerze i serdecznie. Ani trochę nie przeszkodzę im. Żadnego nie sprawię kłopotu. Przeciwnie, będę pomocna. Nie zabierają z sobą licznej służby, a Sally i ja umiemy robić mnóstwo pożytecznych rzeczy. Świetna to dla mnie okazja wyuczenia się gospodarstwa. Każda kobieta powinna znać się na domowym gospodarstwie, a ja znam się tylko na ochroniar-skim.

Niema na letniku dziewcząt w naszym wieku, Pani McBridowa chciałaby więc mieć mnie jako towarzyszkę dla Sallie. Projektujemy czytać wspólnie mnóstwo książek. Przeczytamy wszystkie dzieła potrzebne w przyszłym roku do nauki angielskiego i socjologii. Profesorka powiedziała, że przydałoby się nam przeczytanie tego wszystkiego w lecie, a o ileż łatwiej jest zapamiętać, jeśli czytało się to i rozpatrywało wspólnie!

Samo już przebywanie pod jednym dachem z matką Sallie jest kształcące. To najbardziej zajmująca, najciekawsza, najbardziej towarzyska i czarująca kobieta na świecie. Wie i umie wszystko.

Niech pan pomyśli, ile letnich ferji spędziłam w towarzystwie pani Lippett i jak bardzo potrafię ocenić ten kontrast. Niema powodu do obawy, że zajmę im niepotrzebnie miejsce, bo dom ich jest zrobiony z gumy, taki rozciągliwy. Jak mają dużo gości,

rozstawiają po prostu namioty w lesie i umieszczają w nich chłopców na noc.

Tyle będziemy używali miłych, zdrowych rozrywek na świeżem powietrzu! Jimmie McBride nauczy mnie jeździć konno, wiosłować, strzelać... mnóstwa rzeczy, które powinien umieć. Będzie to mile, rozkoszne, beztroskie spędzenie czasu, jakiego nigdy nie zaznałam, a przecież każda młoda dziewczyna powinna chociaż raz w życiu zaznać go. Powiedz pan sam, czy nie?

Rozumie się, że zastosuję się ściśle do pańskich życzeń, ale proszę, bardzo pana proszę, Ojczulku, pozwól mi przyjąć zaproszenie.

To nie Aga Abbott, wielka autorka in spe, prosi pana.

To tylko Aga, pańska mała Aga.

9-y czerwca.

Wielmożny Pan John Smith.

Szanowny Panie.

Otrzymałam list z 7-go tego miesiąca. Zgodnie z wskazówkami, podanemi przez pańskiego sekretarza, wyjeżdżam stąd w przyszły piątek, aby spędzić lato w Wierzbinkach.

Pozostaję zawsze oddana
Aga Abbott.

Wierzbinki, 3-go sierpnia.

Drogi Ojczulku-Pajączku.

Już prawie od dwóch miesięcy nie pisałam do pana. Wiem, że to wcale nieładnie z mojej strony, ale... niebardzo lubiłam pana tego lata — jestem szczerą, jak pan widzi.

Nie może pan sobie wyobrazić, ile mnie kosztowała konieczność wyrzeczenia się wyjazdu na wakacje do państwa McBridów. Wiem naturalnie, że pan jest moim Opiekunem i że muszę stosować się pod każdym względem do pańskiej woli, nie mogłam jednak i nie mogę zrozumieć, jaki był powód tego zarządzenia pańskiego. Spędzenie lata u państwa McBridów było przecież bezsprzecznie najlepszą rzeczą, jaka mogła mnie spotkać. Gdybym ja była Ojczulkiem, a pan Agą, byłabym powiedziała: „Jedź z Bogiem, moje dziecko, jedź i baw się dobrze; poznaj nowych ludzi i naucz się mnóstwa nowych rzeczy; przebywaj na świeżem powietrzu, zyskaj dużo zdrowia i sił, abyś mogła, świeża i wypoczęta, zabrać się do ciężkiej pracy całorocznej”.

Ale panu ani to przyszło do głowy. Kilka słów od pańskiego sekretarza, nakazujących mi wyjazd do Wierzbinek.

Ta właśnie bezosobowość pańskich nakazów razi mnie najboleśniej. Gdyby pan miał dla mnie najdrobniejszą choć kruszynę uczucia, jakie ja mam dla pana, przysłałby mi pan od czasu parę słów napisanych własną pańską ręką, zamiast tych ohydnych kartek pisanych na maszynie przez pańskiego sekretarza. Gdyby zawierały one najlżejszy bodaj ślad przywiązania pańskiego do mnie, zrobiłabym wszystko na świecie, aby pana zadowolnić.

Wiem, że miałam pisywać do pana uprzejme, długie, szczegółowe listy, nie oczekując nigdy odpowiedzi na nie. Dotrzymuje pan ze swojej strony warunków układu: kształcę się. Zapewnie też uważa pan, że ja nie dotrzymuję moich.

Ale, Ojczulku, jakie są one ciężkie! Naprawdę. Czuję się tak okrutnie samotną. Pan jest jedyną osobą, którą mam do kochania, ale jest pan jedynie cieniem nieuchwytnym, tworem mojej wyobraźni.

Prawdziwy obraz pański nie jest prawdopodo-

bnie ani trochę podobny do wizerunku, jaki wyimaginowałam sobie. Raz jeden tylko, kiedy leżałam w infirmerji, chora na anginę, dał mi pan bezpośredni znak życia i teraz jeszcze, ilekroć czuję się bezgranicznie osamotnioną i zapomnianą, wyjmuję pańską kartę i odczytuję ją.

Zdaje mi się jednak, że odbiegłam bardzo od przedmiotu i nie piszę panu wcale o tem, o czem chciałam pisać, a mianowicie:

Jakkolwiek zranił pan głęboko moje uczucia i rana ta boli mnie jeszcze, bowiem wielce upakrzającym jest zostać wyrwaną ze zwykłych warunków i kierowaną przez arbitralną, nieubłaganą, nierozumującą logicznie, wszechwładną, niewidzialną Opatrzność; jednakże kiedy ktoś był taki dobry, taki szlachetny i taki dbały o mnie, jakim pan był dotychczas, myślę, że ten ktoś ma prawo — skoro mu się tak podoba — być arbitralną, nieubłaganą, nierozumującą logicznie, niewidzialną Opatrznością. I dla tego wybaczam panu i przestaję się trapić! Nie mogę jednak jeszcze przemódz się o tyle, aby czytać z przyjemnością listy Sallie, opisującej, jak świetnie spędza czas na letnisku.

Mniejsza o to jednak — spuśćmy na cały ten fakt zasłonę i bądźmy znów jak dawniej.

Dużo pisałam tego lata. Skończyłam cztery krótkie opowiadania i porzysyłałam je do czterech różnych miesięczników. Widzi więc pan, że robię, co mogę, aby stać się autorką. Urządziłam sobie pracownię w jednym kącie poddasza, gdzie „panicz Jerry” lubił bawić się w dni deszczowe. Jest to przewiewny, zaciszny kącik z dwoma dynnikami, ocieniony dużym jaworem, w którego dziupli uwiła sobie gniazdo cała rodzina czerwonych wiewiórek.

Za kilka dni napiszę miłszy list i podzielę się z panem wszystkimi rowinami folwarcznemi.

Pańska, jak zawsze,

Aga.

10-y sierpnia.

Wielmożny Pan Pająk-Smith.

Szanowny Panie.

Piszę do pana z drugiego rozwidlenia wierzby przy stawie na łące. Pode mną rechocą żaby, nade mną wywodzi trele skowronek, a dwa małe rude djabłatka nie przestają śmigać po pniu w dół i na górę. Siedzę tutaj od godziny—znalazłam jak stworzone do siedzenia miejsce przy zbiegu dwóch gałęzi i urządziłam sobie świetny fotel za pomocą dwóch ściągniętych z kanapki poduszek.

Wdrapałam się na górę z teczką i piórem, mając nadzieję splodzenia nieśmiertelnego arcydzieła, ani rusz jednak nie mogłam poradzić sobie z moją bohaterką — nie mogę skłonić jej do zachowania się tak, jak chcę, aby się zachowywała — dałam jej też na razie spokój i piszę do pana (z deszczu pod rymne, bo i pana nie mogę zmusić do postępowania tak, jak chcę, aby pan postępował).

Jeśli pan jest w swoim przerażającym New-Yorku, chciałabym móżdż posłać panu w tym liście kawałek ślicznego, orzeźwiającego, słonecznego widoku ztąd. Wieś jest rajem po tygodniu deszczu.

Kiedy mowa o raju — czy pamięta pan księdza Kellogga, o którym pisałam panu zeszłego lata? — wikarego małego, białego kościółka wiejskiego? Biedny, pocziwy starowina umarł tej zimy na zapalenie płuc. Bywałam kilkakrotnie na jego kazaniach i zapoznałam się dokładnie z jego teologią. Wierzył do ostatka w to wszystko, w co wierzył od początku. Wydaje mi się, że człowiek, który mógł nie zmienić ani jednego ze swych poglądów w ciągu czterdziestu siedmiu lat, powinien być pokazywany w muzeum osobliwości. Mam nadzieję, że dostał w niebie harfę i złotą koronę; był taki pewien, że je tam znajdzie.

Mamy teraz na jego miejsce nowego, bardzo postępowego młodego księdza. Parafia ma jednak duże co do niego wątpliwości, zwłaszcza część jej, pozostająca pod wpływem księdza Cummingsa. Zapowiada się poważny rozłam wśród wiernych. Nie jesteśmy w naszej okolicy zwolennikami postępu w sprawach religij.

Cały tydzień deszczowy przesiedziałam na poddaszu, oddając się orgji czytania — przeważnie Stevensona. On sam daleko bardziej jest interesujący, niż którykolwiek z bohaterów jego książek. Uważam, że urobił samego siebie na coś w rodzaju bohatera, który wydalby się dobrze w powieści. Jak cudownym np. jest jego gest poświęcenia całych, pozostawionych mu przez ojca, dziesięciu tysięcy dolarów na kupno yachtu, na którym popłynął na Południowe Morza. Potrafił uczynić zadość potrzebom awanturniczego swojego ducha i urzeczywistnić dążenia swoje w tym kierunku.

Gdyby mój ojciec pozostawił mi dziesięć tysięcy dolarów, zrobiłabym to samo. Myśl o Vailimie nie daje mi spokoju. Muszę widzieć krainy podzwrotnikowe. Muszę zwiedzić cały świat. Stanowczo puszczać się w daleką podróż — napewno zrobię to, Ojczulku, jak tylko stanę się wielką autorką, albo wielką artystką dramatyczną, albo wielką pisarką sceniczną — czy jakąkolwiek inną wielkością, jaką okażę się w przyszłości. Mam niepohamowany głód podróżowania; sam widok mapy budzi we mnie potrzebę włożenia kapelusza, wzięcia parasola i ruszenia w drogę.

„Zanim umrę, zobaczę palmy i świątynie Południa“.

Czwartek wieczorem, o zmierzchu,
siedząc na progu.

Trudno o nowiny w tym liście! Aga stała się ostatnio taką filozofką, że woli dyskutować szeroko na ogólne tematy zamiast zniżania się do pospolitych szczegółów codziennego życia. Jeśli jednak chce pan k o n i e c z n i e mieć nowiny, oto one:

Nr. 1. Nasze dziewięcioro małych prosiątek przeszło w zeszły wtorek w bród strumyk i uciekło, a potem wróciło tylko ośmioro. Nie chcemy niesprawiedliwie obwiniać nikogo, mamy jednak pewne podejrzenia, że pani Dowdy ma o jedno prosiątko więcej, niż powinnyby mieć.

Nr. 2. Pan Weaver pomalował swoją stodołę i dwa chlewy na jaskrawo żółty, bardzo brzydki kolor; utrzymując, że będzie bardzo trwały.

Nr. 3. Państwo Brewer mają gości w tym tygodniu: siostrę pana Brewera i dwie siostrzenice z Ohio.

Nr. 4. Jedna z naszych czerwonek z Rhode Island wysiedziała z piętnastu jajek tylko trzy kurczątką. Ja osobiście uważam czerwunki z Rhode Island za małowartościową rasę. Wolę Orpingtony.

Nr. 5. Nowy subjekt ze sklepu na poczcie w Bonnyrigg wypił calutki, jaki był na składzie, zapas nalewki imбирowej (za pełne siedem dolarów) zanim się spostrzeżono.

Nr. 6. Stary Ira Hafet ma reumatyzm i nie może pracować. Nigdy nie oszczędzał i nie odkładał pieniędzy, nawet kiedy ich zarabiał dużo, tak, że teraz musi żyć na koszt parafji.

Nr. 7. W sobotę wieczorem ma być w szkole mrożony krem dla zebranych gości. Członkowie parafji proszeni są o przybycie z rodzinami.

Nr. 8. Mam nowy kapelusz, kupiony za dwadzieścia pięć centów w Bonnyrigg.

Oto wszystkie nowiny. Już za ciemno, aby móżd dalej pisać. Zresztą wysypałam już wszystko, co wiedziałam.

Dobranoc.

Aga.

Piątek.

Dzień dobry! Jest nowina! Niech pan zgadnie, jaka? Nigdy, nigdy nie zgadnie pan, kto przyjeżdża do Wierzbinek.

List do pani Sempłowej od pana Pendletona!!!!...

Objedźdża samochodem swoim Berkshires, jest zmęczony i chciałby odpocząć na jakiejś miłej, spokojnej wsi, pyta więc, czy, jeśli zapuka któregoś wieczora do jej drzwi, znajdzie się dla niego wolny pokój? Może zabawi tydzień, może dwa, a może nawet trzy. Chce przekonać się, czy to naprawdę odpowiednie miejsce do wypoczynku.

Nie ma pan pojęcia, co się u nas dzieje, w jakim żyjemy rozgardjaszu! Szoruje się, czyści i skrobie cały dom od dołu do góry, wszystkie firanki świeżo poprane; dzisiaj rano jadę do miasta po linoleum do sieni i po dwie puszki zaprawy do podłóg; mamy pomalować schody kuchenne i sień. Pani Dowdy zamówiona jest na jutro do mycia okien (wobec powagi sytuacji zawieszamy na razie nasze podejrzenia co do prosiątka). Mógłby pan przypuścić, sądząc z tego sprawozdania z naszych czynności, że dom nie był dotychczas nieskazitelnie czysty; zapewniam pana jednak, że był.

Pani Sempłowa może nie być doskonałością w różnych kierunkach, ale jest GOSPODYNIĄ.

Przyznaj pan jednak sam, Ojczulku, czy to nie prawdziwie po męsku? Nie daje nam przybliżonej chociażby wskazówki, czy wyląduje na progu naszego domu dzisiaj, jutro, czy za dwa tygodnie. Będziemy

żyli w ciągłym niepokoju i rozgorączkowaniu, dopóki nie przyjedzie, a jeżeli nie pośpieszy się, gotowa pani Sempłowa zacząć na nowo szorowanie od początku.

Andrzej czeka już na dole z wózkiem. Powożę sama, ale gdyby pan widział starego bułanka, byłby pan najzupełniej spokojny o całość mojej osoby.

Trzymając dłoń na sercu, żegnaj pana.

Aga.

P. S. Prawda, jakie to ładne zakończenie? Ściągnęłam je z listu Stevensona.

Sobota.

Jeszcze jedno dzień dobry! Nie zdążyłam z a k o p e r t o w a ć (mój wynalazek!) tego listu wczoraj przed przyjściem listonosza, dodam więc jeszcze kilka słów. Mamy raz dziennie pocztę w południe. Wiejska poczta jest błogosławieństwem dla ludności folwarcznej. Nasz listonosz nietylko roznosi listy, ale załatwia dla nas w mieście drobne sprawunki po pięć centów od sztuki. Wczoraj przyniósł mi sznurowadło, słoik maści (spaliłam sobie skórę na nosie, zanim zdążyłam kupić nowy kapelusz), niebieską krawatkę na szyję i buteleczkę czernidła. Za wszystko razem wziął tylko dziesięć centów. Zrobiłam doskonały interes dzięki tak licznyim zamówieniom naraz.

Opowiada nam też, co się dzieje na wielkim świecie. Kilku farmerów prenumeruje gazety, odczytuje je więc nasz listonosz podczas drogi, a potem opowiada zawarte w nich nowiny tym, którzy nie otrzymują pism. Wobec tego, w razie gdyby wybuchła wojna pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Ameryką, albo gdyby prezydent został zamordowany, albo gdyby pan Rockefeller zapisał milion dolarów na Dom Wychowawczy imienia Johna Griera, — nie ma pan potrzeby zawiadamiania mnie o tem. Dowiem się na pewno od listonosza.

Wciąż jeszcze nie widać „panicza Jerry”. Gdyby pan mógł zobaczyć, jak lśni się czystością cały nasz dom i jak długo i jak gorliwie wycieramy nogi, zanim odważymy się przestąpić próg!

Mam nadzieję, że wkrótce przyjedzie. Tęsknię za kimś, z kim możnaby porozmawiać. Pani Semplowa, jeśli mam wyznać prawdę, staje się nużącą jednostajną. Nie pozwala nigdy na zatamowanie nieprzerwanego potoku swojej wymowy dopływem świeżej myśli.

Dziwni są tutaj ludzie. Światem ich jest ten jeden mały szczyt pagórka. Nie są ani trochę wszechświatowi, jeśli pan rozumie, co chcę przez to powiedzieć. Powtarza się tutaj identycznie stan rzeczy w Ochronie imienia Johna Griera. Nasze myśli zagrodzone tam były czterema ścianami żelaznych sztachet, z tą różnicą, że mniej mnie to wówczas obchodziło, bo byłam młodsza i tak strasznie zaharowana. Zanim zdążyłam pozaścielać wszystkie łóżka i poszorować wszystkie umorusane buziaki moich maleństw, pójść do szkoły, wrócić z niej, pomyć dzieciom buzie po raz drugi, zacerować ich pończoszki, załatać spodnie Fredka Perkinsa (rozdierał je codziennie, przez całe swoje życie) i wyuczyć się w międzyczasie zadanych mi lekcji — była już pora na spanie, nie mogłam więc nawet zauważyć braku stosunków ze światem. Ale po dwóch latach, spędzonych wśród rozmownych studentek kolegjum, brak mi tego. Będę też rada spotkać człowieka mówiącego moim językiem.

No, nareszcie. Zdaje mi się, że naprawdę skończyłam już teraz, Ojczulku. Nic nowego nie przychodzi mi w tej chwili do głowy.

Postaram się napisać następnym razem ciekawszy list.

Pańska niezmiennie

Aga.

P. S. Głowiasta sałata zupełnie się nie udała w tym roku. Wczesna wiosna była zanadto sucha.

25-y sierpnia.

Hurra, Ojczulku, „panicz Jerry” przyjechał! Świetnie spędzamy czas. Ja przynajmniej; myślę jednak, że i on także. Jest już tutaj dziesięć dni i wcale nie wygląda na to, ażeby miał myśleć o wyjeździe. Pani Semplowa skacze koło niego w sposób skandaliczny. Jeżeli tak samo pieściła go i dogadzała mu, jak był małym berbeciem, nie rozumiem doprawdy, jakim cudem wyrósł na wcale porządne homo.

On i ja jadamy przy małym stoliczku, nakrytym na bocznym ganku, albo czasem pod drzewami, albo też — o ile jest zimno czy deszcz pada — w saloniku. Wskazuje zawsze miejsce, gdzie chce jeść, a Karusia, dziewczyna folwarczna, idzie za nim ze stolikiem. A jeśli zdarza się, że dużo miała z tem kłopotu i musiała nosić półmiski bardzo daleko, znajduje potem pod cukierniczką dolara.

Niesłychanie towarzyski z niego osobnik, jakkolwiek trudnoby posądzić go o to z pierwszego wejrzenia. Wygląda jak prawdziwy Pendleton, choć nie jest nim ani trochę. Jest tak prosty, naturalny i miły, jak tylko można być.

Ten sposób opisywania człowieka wydać się może śmiesznym, ale zapewniam pana, że jest zgodny z rzeczywistością.

•Obcowanie jego ze wszystkimi tutaj cechuje nadzwyczajna uprzejmość; zachowuje się, wobec każdego jak równy wobec równego, czem rozbiera odrazu. Z początku patrzono na niego z pewną nieufnością. Raził jego sposób ubierania się, choć mnie wydaje się on właśnie prześlicznym. Nosi krótkie spodnie i plisowane bluzy sportowe, białe flanelowe kostjумы, albo strój do konnej jazdy z bufiastymi spodniami. Ile razy zejdzie na dół w czemś nowem, pani Semplowa, promieniejąc dumą, obchodzi go dokoła, ogląda ze wszystkich stron i upomina, żeby tylko uważał, na czem siada, tak się boi, żeby nie zakurzył ubrania.

Strasznie go to drażni. Zawsze też opędza się przed nią, powtarzając:

— Idź, idź, Lizko, do twojej roboty. Już mnie nie upilnujesz. Wyrośłem z tego.

Ógromnie śmiesznie jest pomyśleć, że ten wielki, wysoki, długonogi dryblas (ma prawie takie długie nogi, jak pan, Ojczulku) siedział kiedyś na kolanach pani Sempłowej, która myła go, szorowała i szczotkowała. Szczególnie śmiesznie, kiedy się patrzy na nią teraz. Ma podwójne łono i trzy podbródki. On jednak zapewnia, że była kiedyś szczupła, wysmukła i zwinna i, że umiała biegać prędzej, niż on.

Tyle przytrafia nam się najrozmaitszych przygód! Spenetrowaliśmy całą okolicę w promieniu kilkumilowym. Nauczyłam się łowić ryby na przynętę ze śmiesznych małych muszek, sporządzanych z piór. Także strzelać z floweru. I jeździć konno — okazuje się, że stary bułanek zachował jeszcze zdumiewającą żywotność. Karmiliśmy go przez trzy dni samym owsem i na widok cielęcia omal nie poniósł i nie opędził w dal, mając mnie na grzbiecie.

Środa.

W poniedziałek wieczorem wdrapaliśmy się na szczyt Niebosięzny. Tak się nazywa góra tuż w pobliżu nas, zresztą nie taka bardzo wysoka; niema śnieżnego wierzchołka, ale zawsze zadyszcy się człowiek porządnie, zanim wlezie na jej szczyt. Dolna część jej porośnięta jest lasem, ale szczyt tworzą same tylko nagie spiętrzone skały oraz otwarta polana. Zatrzymaliśmy się na niej i, czekając na zachód słońca, roznieciliśmy ognisko, aby sporządzić wiecezrę. „Panicz Jerry” zajął się gotowaniem, utrzymując, że na pewno zrobi to o wiele lepiej odemnie i naprawdę zrobił bardzo dobrze — przyzwyczajony jest do życia obozowego.

Na dół zesłiliśmy już przy świetle księżycy, a kiedy dostaliśmy się do lasu, gdzie było już zupełnie ciemno, przyświecaliśmy sobie lampką elektryczną, którą mój towarzysz miał w kieszeni. Tak było wesoło! Śmiał się i żartował całą drogę i opowiadał o ciekawych rzeczach. Przeczytał wszystkie książki, jakie kiedykolwiek czytałam i mnóstwo innych jeszcze po za tem. Zdziwiająca jest, ile przeróżnych rzeczy wie i umie.

Poszliśmy na długą włóczęgę dzisiaj rano i po drodze złapała nas burza. Ubrania nasze przemokły do nitki, zanim zdążyliśmy dostać się do domu, ale humory ani trochę nam nie zwilgotniały. Trzeba było panu widzieć twarz pani SEMPLowej, kiedy, ociekając wodą, zjawiliśmy się na progu kuchni.

— „Panicz Jerry! panna Aga! na miłosierdzie boskie! Przemoknięci do szpiku kości! Co tu robić? Co robić?! Nowe śliczne ubranie panicza zupełnie na nic!”

Była ogromnie zabawna; doprawdy, jak gdybyśmy mieli po dziesięć lat, a ona była naszą, doprowadzoną do rozpaczki, matką. Przez chwilę bałam się, że za karę nie dostaniemy konfitur do herbaty.

Sobota.

Zaczęłam pisać ten list przed wiekiem, ale nie miałam ani chwili czasu, aby go dokończyć.

Pamięta pan śliczną myśl Stevensona:

„Bezmiary cudów na tym pięknym świecie
Królewskim szczęściem darzą każde dziecko”.

Bardzo słuszna myśl, prawda? Świat pełen jest szczęścia; wykwita ono wszędzie; cały sekret w tem, aby umieć wykorzystywać to, co się ma pod ręką. Na wsi zwłaszcza tyle jest ciekawych, zajmujących rzeczy! Mogę chodzić po wszystkich polach i łąkach

bez względu na to, czyją są one własnością, napawać się wszystkimi widokami, pluskać się w każdym strumyku i cieszyć się tem wszystkim tak samo zupełnie, jak gdyby należało wyłącznie do mnie, i.. nie potrzebuję płacić za to żadnych podatków!

Niedziela wieczorem, około jedenastej; mam zażywać snu dla piękności cery, ale piłam na obiad czarną kawę i niema dla mnie snu piękności.

Dzisiaj zrana oświadczyła pani Sempłowa panu Pendletonowi tonem bardzo stanowczym:

— Musimy wyjechać o kwadrans po dziesiątej, żeby zdążyć do kościoła na jedenastą.

— Dobrze, Lizko — zgodził się „panicz Jerry”. — Niech tylko konie będą gotowe, a gdybym nie był gotów, jedźcie sami, nie czekając na mnie.

— Będziemy czekali — rzekła.

— Jak chcesz — odparł — nie zatrzymujcie tylko za długo koni.

A potem podczas kiedy pani Sempłowa robiła niedzielną toaletę, kazał Karusi zapakować koszyk z lunchem, a mnie polecił ubrać się prędiutko jak na pieszą wycieczkę, poczem wykradliśmy się cichaczem tylnem wyjściem i poszliśmy łowić ryby.

Sprawiło to straszny zamęt w gospodarstwie, obalając cały porządek domu. W niedzielę jada się w Wierzbinkach o drugiej. Ale „panicz Jerry”, nie licząc się z tem, zamówił obiad na siódmą; zawsze przerzuca godziny posiłków zależnie od swoich zachceń; zupełnie, jak gdyby to była restauracja. Ani Karusia, ani Andrzej nie mogli z tego powodu pojechać do kościoła. Zapewnił ich jednak, że to bardzo dobrze, bo nie uchodzi dla nich obojga jeździć bez przyzwoitki. W rzeczywistości wszakże potrzebne mu były konie, bo chciał przejechać się ze mną. Jak się

panu podoba cała ta historia? Prawda, jakie to wszystko zabawne?

A biedna pani Semplowa pewna jest, że ludzie, którzy łowią ryby w niedzielę, będą za to smażyli się w piekle. Okrutnie się martwi, że nie wychowała go lepiej, kiedy był mały, ulegał jej i nie mógł się jej przeciwstawiać. Zresztą, zależało jej na tem, aby pokazać się z nim w kościele.

Mimo wszystko, udał się nam połów; mieliśmy w siatce cztery płotki, które usmażyliśmy na śniadanie na specjalnie roznieconem w tym celu ognisku. Wciąż jednak spadały z ustawionych na ogniu widełek, wskutek czego miały trochę posmak popiołu; zjedliśmy je wszelako z apetytem. Wróciliśmy do domu o 4-ej; potem pojechaliśmy bryczką na spacer, zjedliśmy obiad o siódmej, o dziesiątej posłano mnie do łóżka — i oto leżę i piszę do pana.

Trochę zaczyna mi się chcieć spać.

Dobranoc.

Rafy na kursie, kapitanie Pajaku!

Ściągaj liny! Na lewo burty ster! Ró-ó-wno!
Luziej! Stój!... Dosyć!... Yo hahol!... Butelka rumu!...

Niech pan zgodnie, co czytam? Wszystkie nasze rozmowy w ciągu ostatnich paru dni były żeglarsko-korsarskie. Prawda, jaka to wspaniała rzecz ten „Skarb na wyspie?” Czy pan czytał tę powieść? A może nie była jeszcze napisana, kiedy pan był małym chłopcem? I pomyśleć, że Stevenson dostał tylko trzydzieści funtów za prawo drukowania jej w kolejnych zeszytach miesięcznika! Uważam, że nie opłaci się być wielką autorką. Może lepiej zostać nauczycielką w szkole? Jak pan myśli?

Niech mi pan wybaczy zapełnianie listów Stevensonem. Głowę mam wciąż nim zajęta. Wypełnia on dla mnie całą bibliotekę wierzbińska.

Piszę ten list już od dwóch tygodni — chyba wystarczająco długo. Nie może mi pan jednak zarzucić, że skąpię szczegółów. Szkoda, że niema tu pana z nami, Ojczulku drogi! Świetnie byłoby nam wszystkim razem. Chciałabym, żeby wszyscy moi przyjaciele znali się wzajem. Pragnęłam zapytać pana Pendletona, czy zapoznał się z panem w New-Yorku—przypuszczam, że to możliwe; musicie obracać się w tem samem wyższem towarzystwie; obu was interesują reformy i różne takie mądre rzeczy... Ale cóż z tego? Nie mogłam się zapytać, bo nie znam przecież pańskiego prawdziwego nazwiska...

Najniedorzeczniejsze to chyba ze wszystkiego, co było kiedykolwiek na świecie, że nie wiem, jak się pan nazywa. Pani Lippett uprzedziła mnie, że wielki z pana dziwak. Miała słuszność! O, tak!

Zawsze oddana panu Aga.

• P. S. Przeczytałam list mój jeszcze raz i widzę, że niecały jest o Stevensonie. Są w nim dwie, czy trzy wzmianki o „paniczu Jerrym”.

10-y września.

Drogi Ojczulku!

Odjechał i brak nam go! Przyzwyczajenie się do ludzi, do miejsc, a nawet do takiego, a nie innego sposobu życia, a potem oderwanie się od nich pozostawia dojmującą, okrutną pustkę, dziwnie dokuczliwy rodzaj uczucia. Rozmowa z panią Semplową wydaje mi się teraz jeszcze bardziej mdłym pokarmem duchowym.

Wykłady w kolegjum rozpoczynają się za dwa tygodnie. Bardzo się cieszę, że znów zacznę się uczyć. Chociaż przyznać muszę, że sporo pracowałam tego lata — spłodziłam sześć krótkich nowelek

i siedem poematów. Te, które porzysyłałam do rozmaitych miesięczników, powróciły wszystkie bez wyjątku z pośpiechem iście dworskim. Ale mniejsza o to. „Panicz Jerry” czytał je — przywiózł pocztę, nie mogłam więc ukryć przed nim całej sprawy — i powiedział, że są o k r o p n e. Świadcza, że nie mam zielonego pojęcia o tem, co piszę („panicz Jerry” nie ma zwyczaju owijania w bawełnę i poświęcania prawdy dla względów grzeczności). Za to ostatnią nowelkę — właściwie krótki szkic, którego scenerją jest kolegjum — znalazł wcale niezłą; kazał ją przepisać na maszynie i posłał do redakcji jednego z miesięczników. Trzymają już ją tam dwa tygodnie; może namyślają się, czy odesłać.

Szkoda, że pan nie może widzieć w tej chwili nieba. Całe skapane jest w niesamowitem pomarańczowym świetle.

Nadciąga burza.

Przed chwilą zerwała się. Padają ciężkie, wielkie jak groch krople, dudniąc po okiennicach. Pobiegłam pozamykać okna, a Karusia popędziła na poddasze, obładowana szkopkami od mleka, aby poustawiać je wszędzie, gdzie dach przecieka. W tej samej chwili, kiedy chciałam zabrać się znów do przerwanego listu, przypomniałam sobie, że zostawiłam pod drzewem w ogrodzie owocowym pled, poduszkę, kapelusz i poezje Matthew Arnolda. Pośpieszyłam, aby je uratować, ale wszystko przemokło do nitki. Czerwony kolor okładki przeciekł wewnątrz książki. Różowe fale będą oblewały odtąd „Wybrzeże Duwru”.

Burza jest wielce kłopotliwa na wsi. Trzeba myśleć o tylu najrozmaitszych rzeczach zostawionych na dworze i mogących zmoknąć.

Czwartek.

Ojczulku! Tatuńciu! Jak pan myśli, co listonosz przyniósł mi przed chwilą?

Dwa listy.

1-szy. Moja nowela przyjęta! 50 dolarów!

Alors. Jestem AUTORKA!!!

2-gi list od sekretarza kolegjum. Mam otrzymywać w ciągu dwóch lat stypendjum, które pokryje koszt utrzymania mojego i nauki. Ufundowała je jedna z dawnych słuchaczek dla „studentek, wykazujących wybitne postępy w języku angielskim oraz ogólne uzdolnienie w innych dziedzinach”.

I właśnie ja uzyskałam je.

Zgłosiłam moją kandydaturę przed wyjazdem, nie przypuszczałam jednak, że zostanę wybrana, chociażby ze względu na owo pamiętne ścięcie się z łaciny i matematyki na pierwszym semestrze. Okazuje się jednak, że zupełnie się zrehabilitowałam. Jestem ogromnie zadowolona, Ojczulku drogi, bo już przestanę być panu takim ciężarem. Potrzebna mi będzie jedynie miesięczna pensja, może jednak uda mi się zarobić i na to pisaniem, korepetycjami albo czemkolwiek.

Szalenie się cieszę, że wracam do kolegjum i że znów zacznę pracować.

Pańska niezmiennie

Agata Abbott,

Autorka noweli: „Jak Junjorki wygrały mecz?”

Nabyć można we wszystkich kioskach z pismami.

Cena — dziesięć centów.

26-y września.

Najdroższy Ojczulku-Pajączku.

Jestem znów w kolegjum i na trzecim kursiel
Nasz gabinet do pracy wygląda piękniej, niż oba do-

tychczasowe; ma dwa okna południowe i wspaniale jest umeblowany. Julja, posiadająca nieograniczone środki, przyjechała o dwa dni wcześniej i wpadła wprost w szal zdobienia naszego wspólnego mieszkania.

Mamy nowe obicia, wschodnie dywany i prawdziwie mahoniowe fotele, a nie malowane na mahoń, jakie w zupełności wystarczały nam w zeszłym roku, ale, prawdziwe, najautentyczniej prawdziwe. Wszystko to bardzo jest wspaniałe, jednak czuję się wśród tych przepychów dziwnie jakoś nie na miejscu; boję się wciąż, żeby nie usadzić na czem niewłaściwym kleksa z atramentu... jest mi głupio i nieswojo.

A nadto, Ojczulku drogi, zastałam pański — przepraszam, pańskiego sekretarza list, czekający na mnie.

Czy nie chciałby pan wyjaśnić mi, w sposób dla mnie zrozumiały powodu żądania pańskiego, abym nie przyjmowała stypendjum? Zupełnie nie pojmuję pańskiego sprzeciwu. Zresztą, na nic się panu nie przyda opór, bo już przyjąłam i ani myślę cofać się! Brzmi to może trochę impertynencko, ale, doprawdy, nie miałam wcale zamiaru być impertynentką.

Przypuszczam, że skoro pan zaczął mnie kształcić, chciałby pan dokończyć dzieła i doprowadzić je do godnego uwieńczenia w postaci dyplomu.

Ale, proszę, zechciej pan rozważyć przez chwilę rzecz tę z mojego stanowiska. Będę zupełnie w tym samym stopniu zawdzięczała panu całe moje wykształcenie, jak gdyby pan łożył na nie do końca, a jednak dług, jaki zaciągnęłam u pana, nie będzie tak wielki. Wiem, że pan nie żąda zwrotu wyłożonych na mnie pieniędzy, rozumie pan jednak, że całem mojem dążeniem będzie zwrócenie ich, o ile tylko będzie to w mojej mocy. Zyskanie stypendjum ułatwi mi to zadanie. Myślałam, że całe życie poświęcę na

spłacanie długów, a teraz, dzięki stypendjum, poświęca na to tylko pół życia.

Mam nadzieję, że pan wejdzie w moje położenie i nie będzie się na mnie gniewał. Pensję miesięczną będę przyjmowała nadal z największą wdzięcznością. Niemal potrzebna, aby dopasować się do Julji i jej umeblowania. Żałuję, że nie wyrobiono w niej, kiedy była dzieckiem, skromniejszych gustów, albo też, skoro nie stało się tak, że jest ona moją współlokatorką.

Niebardzo to wszystko wygląda na list; miałam szczerzy zamiar napisania wielu mądrych i zajmujących rzeczy, ale obrębiłam cztery sztory i trzy firanki (dobrze, że pan nie może widzieć długości moich ściegów) wypolerowałam mosiężną tabliczkę proszkiem do zębów (bardzo niewdzięczna robota!), powymowałam ze ścian gwoźdźki do obrazków (nożyczkami do manikurowania!), wypakowałam cztery skrzynie książek, porozwieszałam w szafach suknie, bluzki i okrycia z dwóch kufrów (nie wydaje się prawdopodobnem, aby Agata Abbott mogła posiadać dwa kufry pełne garderoby, a jednak tak jest naprawdę!) i witałam się w międzyczasie z pięćdziesięcioma miami koleżankami.

Nema co, dzień otwarcia kolegum jest dniem pełnym wrażeń!

Dobranoc, drogi Ojczulku; nie gniewaj się, że twoje pisklątko chce próbować siły własnych skrzydełek... Zaczyna dorastać i przeobrażać się w energiczną małą kwoczkę, umiejącą gdakać wielce stanowczo i posiadającą piękne, bogate upierzenie, (wszystko to dzięki panu, Ojczulku!)

Aga.

Drogi Ojczulku.

Długo jeszcze zamierza pan piłować mnie tem stypendjum? Nie spotkałam nigdy człowieka tak zaciętego, upartego, nielogicznego, nieprzystępnego, nie umiejącego postawić się w cudzem położeniu, niezdolnego zrozumieć innego światopoglądu po za swoim własnym.

Woli pan, abym nie przyjmowała dobrodziejstw od obcych.

Obcych? A kim pan jest? Czy istnieje na świecie ktoś, kogo znalazłabym mniej? Gdybym otarła się o pana na ulicy, nie wiedziałabym nawet, że to pan.

Otóż widzi pan, gdyby pan był normalnym, rozsądnym człowiekiem, gdyby pan pisał miłe, pocieszające, ojcowskie listy do pańskiej małej Agi, odwiedzał ją od czasu do czasu, głaskał ją po głowie, mówiąc, jak bardzo pan się cieszy, że jest taką dobrą dziewczynką — nie ośmieliłaby się może żartować z pana na pańskie stare lata, ale posłuszna byłaby panu na skinienie, co przystało znającej swój obowiązek córce, jaką słusznie spodziewał się pan, że pańska pupilka się stanie.

Od obcych! Rzeczywiście! Mieszka pan w szklanym domu, panie Smith!

A zresztą, wcale to nie żadne dobrodziejstwo, to nagroda. Zasłużyłam na nią usilną pracą. Gdyby żadna ze studentek nie okazała szczególnych postępów w angielskim, nie przyznałby Komitet stypendjum nikomu. Nie przyznawał go w ciągu kilku ostatnich lat. Nadto — ale na co się zdało dyskutować z mężczyzną? Należy pan, panie Smith, do płci pozbawionej zmysłu logiki. Przemówić do mężczyzny można dwoma tylko sposobami: pochlebstwem albo grubiaństwem. Wstręt mam do zyskania czegokolwiek od mężczyzny pochlebstwem, ergo — muszę być grubiańska.

Odmawiam, szanowny panie, wyrzeczenia się stypendjum, a jeśli pan nie przestanie się awanturować, przestanę przyjmować miesięczną pensję, steram do reszty siły i stargam na strzępy nerwy dawaniami korepetycji idjotycznym Nowicjuszkom.

To moje ultimatum!

I — jeszcze jedno. Ponieważ pan się tak obawia, że, przyjmując stypendjum, pozbawiam inną młodą dziewczynę możności kształcenia się, znalazłam sposób wyjścia. Ma pan przecież możność użycia tych samych pieniędzy, które wydałby pan na mnie, na kształcenie innej sierotki z Domu Wychowawczego imienia Johna Griera. Powiedz pan sam, czy nie jest to śliczna myśl? Tylko, Ojczulku, *kształć ją, ile chcesz, ale nie kochaj jej więcej, niż mnie — dobrze?*

Mam nadzieję, że pański sekretarz nie będzie się czuł dotkniętym, iż tak mało liczę się z życzeniami wyrażonemi w jego liście. Trudno jednak. Nic na to nie poradzę. Stanowczo, zepsuty z niego dzieciak, Ojczulku. Byłam dotychczas bardzo ustępliwa i ulegałam wszystkim jego kaprysom, ale tym razem zamierzam być STANOWCZA.

Pańska, nieodwołalnie i do końca świata
stanowcza
Agata Abbott

9-y listopada.

Drogi Pajaku-Ojczulku.

Wybrałam się dzisiaj do miasta po sprawunki. Miałam kupić: czernidło do bucików, materiał na bluzkę, kilka kołnierzyków, słoik kremu fijołkowego i kawałek kastylskiego mydła — wszystko to rzeczy niezbędne. Nie mogłabym ani o jeden dzień dłużej obejść się bez nich. Tymczasem, kiedy chciałam zapłacić za bilet jazdy, spostrzegłam, że zostawiłam

portmonetkę w kieszeni innego pałta. Musiałam wy-
siaść, powrócić do domu i pojechać innym pociągiem,
tak, że spóźniłam się na boisko.

Straszna rzecz nie mieć pamięci i mieć dwa pałta!
Julja Pendletonówna zaprosiła mnie do siebie na
wakacje Bożego Narodzenia. No, i cóż pan na to, pa-
nie Smith? Pomyśl pan tylko: Agata Abbott, podrzu-
tek z Domu Wychowawczego imienia Johna Griera,
siedząca przy jednym stole z magnatami! Nie wiem,
z jakiej racji Julja zaprosiła mnie — zdaje się mieć
jakaś słabość do mnie ostatnio. Jeśli mam wyznać
prawdę, wołałabym pojechać do Sallie, ale Julja za-
prosiła mnie pierwsza, o ile więc wogóle pojedę do-
kądkolwiek, muszę pojechać do New-Yorku, a nie do
Worcester.

Trochę jestem speszona, (czy wolno użyć takie-
go wyrażenia w liście?) na myśl o zetknięciu się
z Pendletonami en masse, musiałabym też sprawić
sobie moc nowych sukien; jeżeli więc, napisze mi
pan, że pan woli, abym pozostała spokojnie w kole-
gium, ulegnę pańskim życzeniom ze zwykłą mi sło-
dyczą i uległością.

W wolnych chwilach zajęta jestem czytaniem
„Życia i listów Tomasza Huxley'a“ — przyjemna,
lekka lektura w międzyczasie pomiędzy poważnemi
studjami. Czy pan wie, co to archeopteryx? To ptak.
A stereognatus? Sama nie jestem zupełnie pewna,
ale zdaje mi się, że to brakujące ogniwo, coś w rodza-
ju ptaka z rękami lub jaszczurki ze skrzydłami... Nie,
ani jedno, ani drugie. Zajrzałam do encyklopedji. To
mezozoiczny ssak. Rozumie pan? Bo ja ani krzty.

Stereognatus ma dziób jak żmija, uszy jak pies,
nogi jak krowa, ogon jak jaszczurka, skrzydła jak ła-
będź i jest pokryty miękkim, ślicznem futerkiem,
jak rozkoszne małe kociątko.

Teraz już pan wie, jak wygląda stereognatus?

Wybrałam na ten rok ekonomję polityczną —

wielce kształcący przedmiot. Po przesłuchaniu jej mam zamiar chodzić na wykłady o Filantropji i Reformach, a wtedy, panie Opiekunie, będę wiedziała, jak powinna być prowadzona Ochrona dla sierot. Prawda, że byłabym świetną wyborczynią, gdybym miała prawo głosu?

(Powiedz pan sam, czy nasz kraj nie jest przerażliwie marnotrawny? Żeby też dobrowolnie pozbawiać się takiej uczciwej, wykształconej, sumiennej obywatelki, jaką mogłaby być.

Pańska zawsze.

Aga.

7-y grudnia.

Drogi Opiekunie-Pajaku — Ojczulku.

Dziękuję panu za pozwolenie odwiedzenia Julji — uważam milczenie za znak zgody.

Boże, co za kołowrót towarzyski! W zeszłym tygodniu bal Fundatorek — po raz pierwszy w tym roku wolno nam już było, jako słuchaczkom wyższego kursu, brać w nim udział.

Zaprosiłam Jimma McBrida, a Sallie — jego koleżę i współtowarzysza pokoju z Princeton, tego, który był u nich na letnisku w tym roku; bardzo miły chłopak z rudemi włosami. Julja wysłała list z zaproszeniem do jakiegoś pana z New-Yorku, nieszczerze mówiąc, ale towarzysko nieskazitelny. Ffl... Skoligacony jest z samymi De la Mater Chichesterami. Może panu to coś mówi? Mnie nic, a nic.

Ale mniejsza o to. Nasi goście przyjechali w piątek po południu, w sam czas na herbatę u Senjorek, a potem pospieszyli do hotelu na obiad. Hotel tak był przepelniony, że spali rzędami na stołach bilardowych — tak przynajmniej mówią. Jimm McBride twierdzi, że następnym razem, jak otrzyma zapro-

zenie na bal w naszym kolegium, przywiezie z sobą namiot i rozstawi go na polu.

O wpół do ósmej powrócili na przyjęcie u Przewodniczącej i na bal. Nasze zabawy zaczynają się wcześniej! Miałyśmy karty panów przygotowane na przód i po każdym tańcu ustawiałyśmy ich grupami pod pierwszemi literami ich nazwisk, ażeby partnerki w następnym tańcu mogły ich łatwo odszukać. Tak np. Jimm McBride wyczekiwał cierpliwie w grupie M., dopóki nie zostanie wezwany. Miał przynajmniej wyczekiwać cierpliwie, ale ustawicznie kręcił się i mieszał z R-ami, S-ami i rozmaitemi innymi literami. Przekonałam się wogóle, że bardzo kłopotliwy z niego gość; był nadąsany, bo tylko trzy razy tańczył ze mną. Utrzymywał, że nie śmie tańczyć z pannami, których nie zna!

Nazajutrz urządziłyśmy humorystyczny koncert klubowy. Jak panu się zdaje, czyjego autorstwa jest zabawna nowa piosenka, specjalnie ułożona na tę okazję? Naprawdę, jej. Jej samej. Nie kłamie. O, powiadam panu, Ojczulku, że pańska mała znajдка, jest na dobre na drodze stania się wybitną osobistością!

Nasze dwa wesołe dni były stanowczo uwieńczone wielkiem powodzeniem, i zdaje mi się, że i mężczyźni doskonale się bawili. Niektórych z nich bardzo peszyła z początku myśl, że znajdą się wobec tysiąca dziewcząt; bardzo prędko jednak oswoili się z tem. Nasi obaj panowie z Princeton świetnie spędzili czas, jak przynajmniej zapewniali uprzejmie, zapraszając nas zarazem na swój własny bal, który ma się odbyć na wiosnę. Przyjęłyśmy zaproszenie, proszę więc, niech pan nie stawia opozycji, Ojczulku.

Julja, Sallie i ja miałyśmy nowe suknie. Każda inną. Chce pan, żebym je opisała? Suknia Julji była kremowa atlasowa, haftowana złotem; do tego purpurowe storczyki. Powiadam panu, marzenie —

nie suknia. Sprowadzona wprost z Paryża. Musiała kosztować jaki miljon dolarów.

Sallie miała suknię blado-niebieską z perskimi haftami, doskonale dopasowaną do jej rudych włosów. Kosztowała może mniej, niż miljon, ale była niemniej świetna, niż Julji.

Moja była blado-różowa krepdeszynowa, przybrana kremowymi koronkami i różowym atłasem. Do tego miałam pasowe róże, przysłane mi przez J. McB. (Sallie podszeptała mi, jaki ma wybrać kolor). Wszystkie trzy miałyśmy atlasowe pantofelki, jedwabne pończoszki i zarzutki gazowe koloru sukni.

Wszystkie te szczegóły modniarskie wywrzeć musiały na panu głębokie wrażenie — prawda?

Trudno oprzeć się myśli, że biedni mężczyźni, dla których gaza, koronki weneckie i ręczne hafty pustemi są jeno dźwiękami, zmuszeni są pędzić szary, bezbarwny żywot. Kobieta, natomiast, bez względu na to, czy poświęca się specjalnie dzieciom, mikrobom, poezji, kuchni, służącym, równoległobokom, ogrodnictwu, Platonowi czy brydżowi — zasadniczo i nadewszystko poświęca się sukniom.

Jest to jedyny rys natury, który spokrewnia z sobą cały świat. (Myśl nie moja; zapożyczyłam ją z jednej ze sztuk Shakespeara).

Powróćmy jednak do naszych spraw. Czy mam powierzyć panu, Ojczulku drogi, pewien sekret, niedawno przeze mnie odkryty? A przyrzeknie mi pan, że nie będzie mnie pan uważał za próżną? W takim razie proszę posłuchać:

Jestem przystojna.

Naprawdę. Byłabym straszną idjotką, gdybym nie wiedziała o tem, mając trzy lustra w pokoju.

Przyjaciółka.

P. S. Niech to będzie taki niegodziwy anonimowy list, o jakim czyta się w powieściach.

20-y grudnia.

Drogi, Kochany Ojczulku-Tatuńciu-Pajączku
— Długonóżku.

Mam tylko chwilę czasu, bo muszę wysłuchać dwóch wykładów, zapakować kufer i walizkę i zdążyć na pociąg o czwartej po południu — ale nie mogę wyjechać, nie napisawszy do pana i nie powiedziawszy mu, jak bardzo jestem zachwycona moją przesyłką gwiazdkową.

Zachwycona jestem futrem, naszyjnikami, zarczutką z liberty, rękawiczkami, chusteczkami, książkami, torebką — ale nade wszystko zachwycona jestem panem. Ale dlaczego psujesz mnie tak, Ojczulku? Jestem tylko człowiekiem i, w dodatku, młodą dziewczyną. Czy podobna, abym z należytem skupieniem i niewzruszonym spokojem kierowała umysł mój na drogę wiedzy, jeśli własny mój Opiekun odwodzi mnie od niej błyskotkami i marnościami światowemi?

Zaczynam mieć grube podejrzenia co do tego, który z Opiekunów Domu Wychowawczego imienia Johna Griera był ofiarodawcą dorocznej choinki na Boże Narodzenie i kremu mrożonego co niedzielę! Zasługuje pan, aby być szczęśliwym za wszystko dobro, które pan czyni.

Żegnam pana i życzę wesołych świąt,
oddana panu całym sercem,

Aga.

P. S. Posyłam panu mały zadatek przyjaźni. Jak pan sądzi, mógłby ją pan polubić, gdyby ją pan poznał?

11-y stycznia.

Ojczulku drogi.

Chciałam napisać do pana z New-Yorku, ale w tem oszałamiającem mieście nie ma się chwili na nic absolutnie.

Spędziłam czas bardzo interesująco — i bardzo pouczająco — ale.... jakże jestem rada, że nie jestem członkiem podobnej rodziny! Już doprawdy wołałabym wybrać za tło mojego istnienia Ochronę. Bez względu na wszystkie ujemne strony mojego wychowania, nie było w niem przynajmniej gonienia za pretensjonalnymi pozorami. Wiem teraz, co znaczy francuskie wyrażenie: *esclavage des choses* — niewola rzeczy.

Materjalna atmosfera rodzinnego domu Julji jest przytłaczająca; po raz pierwszy odetchnęłam swobodniej, znalazłszy się w pociągu na drodze powrotnej. Całe umeblowanie rzeźbione, wyściełane, wspaniałe. Ludzie, z którymi się stykałam, wszyscy pięknie postrojeni, mówiący przyciszonym głosem i doskonale wychowani, ale, wierz mi, Ojczulku, od chwili przybycia, do chwili odjazdu nie słyszałam ani jednego, rozumnego zdania. Mam wrażenie, że nigdy myśl żadna nie przestąpiła frontowego progu ich domu.

Pani Pendletonowa ma głowę wyłącznie zaprzęgniętą klejnotami, krawcami, szwaczkami, modniarkami i obowiązkami towarzyskimi. Wydaje się zupełnie odmiennym niż pani McBridowa rodzajem matki. Jeżeli kiedykolwiek wyjdę za mąż i będę miała dzieci, postaram się możliwie urobić je na wzór i podobieństwo McBridowych. Za żadne skarby świata nie pozwoliłabym żadnemu z dzieci moich stać się Pendletonem. A może to niegrzecznie krytykować ludzi, z których gościnności się korzystało? Jeżeli tak jest, proszę mi wybaczyć. Mówię to wszystko przecież panu wyłącznie, w zaufaniu.

Raz jeden tylko widziałam „panicza Jerry”, kiedy przyszedł z poobiednią wizytą; nie miałam jednak wtedy okazji pomówienia z nim sam na sam. Po miłych kilku tygodniach, jakie spędziliśmy razem ubiegłego lata, było to dla mnie pewnem rozczarowaniem. Coś mi się wydaje, że niebardzo lubi swoich

krewnych; faktem jest, że odpłacają mu oni tem samem. Matka Julji twierdzi, że jest niezrównoważony. Jest socjalistą, ale, na szczęście, nie zapuszcza długich włosów i nie nosi czerwonych krawatów. Pani Pendletonowa nie może pojąć, zkad się do niego wzięły jego dziwaczne idee. Cała rodzina jest już od szeregu pokoleń taka bogobojna! On, natomiast, wyrzuca pieniądze na najrozmaitsze cudackie pomysły reform, zamiast wydawać je na rozsądne rzeczy, jak yachty, samochody i konie wyścigowe. Kupuje jednak cukierki. Przesłał każdej z nas, Julji i mnie, duże pudło na gwiazdkę.

Wie pan, myślę, że i ja także zostanę socjalistką. Czy miałby pan coś przeciw temu, Ojczulku? Socjaliści to zupełnie co innego, niż anarchiści; nie trudnią się wysadzaniem ludzi w powietrze. Właściwie jestem z przyrodzenia socjalistką — jako dziecko proletariatu. Nie jestem jednak jeszcze zdecydowana, do jakiej partji się zapiszę. Rozpatrzę się w tej sprawie przez niedzielę i wyluszczę panu moje zasady w następnym liście.

Zwiedziłam mnóstwo teatrów, hoteli i pięknych domów. W głowie mi się mąci od onyksów, złoczeń, mozajkowych posadzek i palm. Jestem upojona jeszcze tem wszystkim, ale cieszę się, że wróciłam znów do kolegjum i do moich książek — czuję, że jestem z krwi i kości studentką; uważam atmosferę ciszy akademickiej za bardziej orzeźwiająca, niż zgiełk nowojorski. Życie w kolegjum jest bardzo miłe; książki i nauka i regularne uczęszczanie na wykłady dają nowy wciąż pokarm umysłowi, a kiedy praca mózgowa znuży, jest boisko i ćwiczenia na wolnem powietrzu i pełno dusz pokrewnych, interesujących się temi samemi, co ja, sprawami. Czasem schodzą nam całe wieczory na gadaniu, gadaniu i gadaniu bez końca, a potem idzie się spać z podniosłem uczuciem, że rozstrzygnęło się jakieś wielce doniosłe i głębo-

ko zawiłe zagadnienie życiowe. Każdą najdrobniejszą szczelinę wypełnia tysiące drobiazgów,—często dziecinnych żartów na temat drobnych wydarzeń codziennych — ale i to dużą sprawia przyjemność. Bawi nas własny nasz dowcip.

Wielkie, wspaniałe przyjemności i rozrywki nie są wcale najważniejsze. Potrafić wykorzystać drobne uprzyjemnienia życia, umieć cieszyć się chwilą—oto prawdziwy klucz do szczęścia. Wykryłam wielką tę prawdę niedawno, Ojczulku. Nie rozpamiętywać wciąż z żalem przeszłości, ani też myśleć nieustannie o przyszłości, ale umieć wykorzystać w pełni każdą dobrą chwilę. Zupełnie jak przy uprawie roli. Można uprawiać ją ekstensywnie — na wielkich obszarach i intensywnie — możliwie wyzyskując ograniczoną przestrzeń; otóż ja zamierzam żyć intensywnie. Będę się cieszyła każdą chwilą i będę wiedziała, że się nią cieszę, ciesząc się nią. Większość ludzi nie żyje, tylko goni za czemś przez całe życie. Usiłują osiągnąć cel jakiś, daleko na widnokręgu i w tej gorączce dążenia tak się zmęczą i zadyszą, że tracą poczucie otaczającego ich spokojnego piękna, obok którego przebiegają pędem. Potem, kiedy, ocknąwszy się, odzyskują nareszcie trzeźwość sądu, pierwszą rzeczą, która ich uderza, jest poczucie, że zdążyli się zestarzeć, znużyć życiem i zubożyć już nawet na to, czy osiągnęli swój cel, czy nie.

Ja, natomiast, postanowiłam, że usiądę przy drodze i gromadzić będę mnóstwo drobnych przyjemności życia, chociażbym nawet nie miała stać się nigdy Wielką Autorką.

Spotkał pan kiedy w życiu taką filozofkę, jaką staje się

Pańska wierna zawsze,

Aga.

P. S. Leje bez ustanku od rana do wieczora.
Dwa szczeniátka i jedno maleńkie kociátko schroni-
ły się w tej chwili na próg drzwi ogrodowych.

Drogi Towarzyszu.

Hurra! Jestem Fabjanistką.

To znaczy taką socjalistką, która zgadza się czekać. Nasza partja nie życzy sobie wybuchu rewolucji już jutro; to byłoby zanadto przewrotowe i niewygodne. Chcemy, ażeby rewolucja przyszła bardzo powoli, stopniowo, w odległej przyszłości, kiedy będziemy już przygotowani i zdolni do wytrzymania wstrząśnień.

Tymczasem zaś musimy przygotowywać się, przeprowadzając reformy w dziedzinie przemysłu, wychowania i urządzania przytułków dla sierot.

Pańska z braterską miłością,

Poniedziałek o 3-iej.

11-y lutego.

Drogi P. O. D.

Proszę się nie obrażać za lakonizm. To nie list, to tylko słówko, uprzedzające, że napiszę list zaraz po ukończeniu egzaminów. Muszę nietylko zdać, ale zdać DOBRZE. Muszę stać się godną mojego stypendjum.

Pańska, obkuwająca się, jak dziki osioł,

A. A.

5-y marca.

Drogi Ojczulku-Pajączku.

Rektor Cuyler miał dzisiaj wieczorem, po nabożeństwie, mowę o obecnem młodem pokoleniu, oskarżając je o płytkość i powierzchowność. Uważa, że za-

traciliśmy dawne ideały poważnych usiłowań i wytrwałej pracy; ujawniać się ma zwłaszcza upadek nasz w braku poszanowania władzy i autorytetu. Nie zachowujemy należytego szacunku względem naszych zwierzchników.

Wróciłam z kaplicy skruszona.

— Czy jestem nazbyt poufała, Ojczulku? Czy winabym okazywać panu więcej poważania i być wobec pana bardziej powściągliwą? — Tak, napewno winabym. Zacznę więc jeszcze raz od początku.

Szanowny Panie Smith.

Miło panu będzie dowiedzieć się, że bardzo dobrze zdałam moje półroczne egzaminy, i że rozpoczęłam słuchanie wykładów na nowym semestrze. Nie słucham już więcej chemji — ukończyłam kurs chemji analitycznej, natomiast, zaczynam studjować biologję. Przystępuję do tego przedmiotu z pewnem wahaniem, bowiem, o ile mi wiadomo, mamy dyskować robaki i żaby.

Nadzwyczaj interesujący i wartościowy odczyt wygłoszony został w zeszłym tygodniu w kaplicy o pozostałościach rzymskich w południowej Francji. Nie słyszałam nigdy bardziej pouczającego wykładu o tym przedmiocie.

Czytamy Wordswortha „Opactwo Tintern” w związku z kursem literatury angielskiej, jaki przechodzimy obecnie. Jaki wspaniały utwór i w jak właściwy sposób ucieleśnia on ujmowanie przez poetę idei panteizmu. Kierunek romantyczny pierwszej części minionego stulecia w dziełach wieszczów, jak: Shelley, Byron, Keats i Wordsworth, daleko bardziej przemawia do mnie, aniżeli poprzedzający go okres klasyczny. Gdy mowa jest o poezji, pozwolę sobie zapytać, czy czytał pan czarujący drobny utwór Tennysona: „Locksley Hall”?

Bardzo regularnie uczęszczam ostatnio na ćwiczenia sportowe. Wprowadzony został w kolegium system inspekcyjny i wyłamywanie się z pod obowiązujących przepisów pociąga za sobą bardzo niepożądane skutki. W pawilonie gimnastycznym urządzono bardzo piękny basen do pływania, ujęty w ocebrowanie z cementu i z marmuru — dar jednej z dawnych studentek. Moja współtowarzyszka mieszkająca, panna McBridówna, dała mi swój kostjum kąpielowy (mój zbiegł się tak w praniu, że nie mogłam go już włożyć na siebie), zamierzam więc uczyć się pływać.

Dzisiaj wieczorem dostałyśmy na deser wyborny różowy krem mrożony. Do kolorowania potraw używane są wyłącznie barwniki roślinne. Kolegium bardzo jest przeciwne, zarówno ze względów estetycznych, jak higienicznych, używaniu farb anilinowych.

Pogoda ostatnio była idealna — jasne, słoneczne niebo z rozsianymi na niem zrzadka obłoczkami — oraz kilka pożądanых burz śniegowych. Ja i moje koleżanki z przyjemnością odbywałyśmy przechadzki po wykładach i przed wykładami — zwłaszcza po wykładach.

W nadziei, że list mój, szanowny Panie Smith, zastanie pana, jak zazwyczaj, w dobrym zdrowiu,

Pozostaję wielce oddana,
Agata Abbott.

24-y kwietnia.

Drogi Ojczulku.

Mamy znów wiosnę! O, gdyby pan mógł widzieć, jak tutaj ślicznie! Doprawdy, mógłby pan przyjechać, aby przekonać się o tem naocznie. „Panicz Jerry“ wpadł do nas w zeszły piątek, ale bardzo źle trafił, bo Sallie, Julja i ja spieszyłyśmy właśnie na pociąg.

A wie pan, dokąd pojechaliśmy?
Do Princeton — na tańce i na mecz piłkowy. Ni mniej, ni więcej! Nie pytałam się pana o pozwolenie, bo przeczuwałam, że pański sekretarz gotów odpowiedzieć odmownie. Proszę mi jednak wierzyć, że wszystko odbyło się zupełnie formalnie, miałyśmy urlop oficjalny ze szkoły, a pani McBridowa towarzyszyła nam w charakterze przyzwoitki. Bawiłyśmy się świetnie — muszę jednak pominąć szczegóły, gdyż jest ich zbyt wiele i zbyt są skomplikowane.

Sobota.

Wstałam przed świtem! Obudził nas nocny stróż — było nas sześć — ugotowałyśmy sobie kawę na maszynie (napewno nie widział pan nigdy tylu fusów!) i zawędrowałyśmy na odległy o dwie mile angielskie szczyt pagórka, aby oglądać stąd wschód słońca. Wlazłyśmy na najwyższe miejsce! Słońce waliło wprost w nas!

Nie przypuszcza pan chyba, że nie przyniosłyśmy z sobą świetnych apetytów do śniadań!
Dopiero w tej chwili spostrzegłam, jak bardzo wybuchowy jest dzisiaj mój styl. Cała stronica usiana wrzaskami.

Chciałam rozpisnąć się o pączkujących drzewach, o nowej, wysypanej popiołem, drodze na boisku, o okropnym wykładzie biologji, który mam opracować na jutro, o nowych łódkach na jeziorze, o Kasi Prentissównie, chorej na zapalenie płuc, o Piotrusiowej kotce angorskiej, która uciekła z domu i którą ukrywano przez dwa tygodnie w Fergusson Hall, dopóki nie wysledziła tego jedna z naszych pokojówek, o moich trzech nowych sukniach: różowej, białej i niebieskiej w kropki z odpowiednim do niej kapeluszem — ale jestem zanadto śpiąca. Zawsze się tem

wykręcam, prawda? Ale kolegum dla dziewcząt jest środowiskiem bardzo absorbującym, tak, że jesteśmy bardzo zmęczone ku końcowi dnia! Zwłaszcza, kiedy dzień zaczyna się o świcie.

Oddana,
Aga.

15-y maja.

Drogi Ojczulku-Długonóżku.

Czy to się nazywają dobre manjery, kiedy ktoś siedzi w wagonie, patrząc wprost przed siebie i nie widząc nikogo?

Bardzo piękna dama, w bardzo pięknej aksamitnej sukni, weszła dzisiaj do wagonu i z wyrazem najdoskonalej lodowatej obojętności, siedziała przez piętnaście minut, mając wzrok utkwiony w tablicę z ogłoszeniami. Nie wydaje mi się, aby było grzecznie ignorować wszystkich innych, jak gdyby się było jednak jedyną ważną osobą w przedziale. Traci się na tem w każdym razie bardzo wiele. Podczas, kiedy owa dama pogrążona była w studjowanie tablicy z ogłoszeniami, obserwowałam wagon pełen ciekawych istot ludzkich.

Gdyby pan mógł widzieć mnie, uczącą się pływać w basenie, miałby pan pewnie złudzenie pajaka, zawieszzonego na nitce. Instruktorka przeciąga sznur przez kółko, umieszczone z tyłu mojego paska i umocowuje sznur ten na haku, wbitym w sufit. Zawsze bierze mnie strach, czy aby uwiązała sznur dość mocno i dla tego jednym okiem oglądam się na hak, a drugim pływam. Przy tak podzielonej uwadze postępy moje nie są tak wielkie, jakie robiłabym w innych warunkach.

Ostatnio miewamy najprzeróżniejszą pogodę. Naprzykład, kiedy zaczęłam pisać ten list, padał deszcz, a teraz świeci słońce. Idę z Sallie grać w tenisa — i, rozumię się, więcej z gimnastyki.

W tydzień później.

Powinna byłam dawno już skończyć ten list, ale nie mogłam. Nie gniewa się pan, prawda, Ojczulku? — że nie pisuję regularnie? Naprawdę lubię pisywać do pana; daje mi to takie czcigodne uczucie, że mam rodzinę.

Przyznać się panu do czegoś? Pan, Ojczulku, nie jest jedynym mężczyzną, do którego pisuję listy. Są jeszcze dwaj inni prócz pana! Otrzymałam tej zimy piękne, długie listy od „panicza Jerry”. (Koperty były adresowane na maszynie, aby Julja nie mogła poznać pisma). No, czy to słyszane rzeczy? — Ale to nie wszystko. Co tydzień, mniej więcej przychodzą z Princeton krótkie, gryzmołone liściki, najczęściej na żółtym papierze, wyrwanym z notatników. Odpowiadałam na wszystkie z isticie handlową punktualnością. Widzi więc pan, że nie różnię się tak bardzo od innych dziewcząt; otrzymuję także pocztę!

Czy pisałam panu, że przyjęta zostałam na członka Dramatycznego Klubu Senjorek? Organizacja *wielce recherchée*. Na tysiąc studentek należy do niej tylko siedemdziesiąt pięć w charakterze rzeczywistych członkiń. Jak panu się zdaje; czy ja, jako ideowa socjalistka, mam prawo należeć do tej organizacji?

Niech pan zgadnie, czym zajmuję się teraz z dziedziny socjologii? Piszę (*figurez - vous?*) referat o opiece nad opuszczonymi dziećmi. Profesor zmieszał kartki z tematami i rozdał je na los szczęścia, przy czym ta właśnie przypadła mnie. *C'est drole ça, n'est-ce pas?*

Aha, dzwonek obiadowy. Wrzucę ten list do skrzynki, przechodząc.

Pańska,

A.

4-y czerwca.

Drogi Ojczulku.

Bardzo gorący czas — zakończenie roku szkolnego za dziesięć dni; egzaminy — jutro; moc roboty z powtarzaniem kursu, z pakowaniem się, a świat taki piękny, że boli po prostu konieczność zamykania się w murach.

Ale jakoś to będzie — nadchodzą przecież wakacje. Julja wyjeżdża tego lata zagranicę, — po raz czwarty. Tak, niema co, Ojczulku, dary nieba nie są rozdzielone równomiernie. Sallie, jak zwykle, spędzi lato w Adirondack. A jak pan myśli, dokąd ja jadę?

Możliwe są tylko trzy odpowiedzi. Niech więc pan zgaduje. Do Wierzbinek? — nie. Do Adirondack z Sallie? — Nie. Nigdy już nie będę próbowała o to prosić — zniechęcił mnie zeszły rok. Nie może pan wpaść na nic innego? Niebardzo pan pomysłowy. Powiem panu, Ojczulku, jeżeli mi pan przyrzeknie nie stawiać miliona trudności. Z góry uprzedzam pańskiego sekretarza, że moje postanowienie jest nieodwołalne. Klamka zapadła.

Spędzę lato nad morzem, u niejakiej pani Patersonowej, jako korepetytorka jej córki, która ma wstąpić do kolegium na jesieni. Zapoznałam się z nią u państwa McBridów. Jest to czarująca kobieta. Mam także uczyć angielskiego i łaciny młodszą jej córkę, będę miała jednak trochę czasu dla siebie, a przedewszystkiem będę zarabiała pięćdziesiąt dolarów miesięcznie!

I cóż pan powie na taką nieprawdopodobnie wielką sumę? Ona sama tyle zaofiarowała; nie przesłoby mi przez gardło zażądać więcej, niż dwadzieścia pięć.

Zajęcie moje w Magnoljach (tak się nazywa willa pani Petersonowej nad morzem) będą trwały do pierwszego września; pozostałe trzy tygodnie ferji

spędzę prawdopodobnie u państwa Semplów. Pragnęłabym zobaczyć znów Wierzbinki, oboje poczciwych staruszków i wszystkie kochane zwierzęta domowe.

Jak się panu podoba mój program, Ojczulku? Jestem na drodze do zdobycia zupełnej niezależności. Postawił mnie pan na nogi i zdaje mi się, że będę już mogła utrzymać się i chodzić o własnych siłach.

Zakończenie roku szkolnego w Princeton i nasze egzaminy przypadają równocześnie — okrutny to cios! Tak pragnęłyśmy obie z Sallie uwolnić się, aby zdażyć tam na czas, ale, rozumie się, jest to absolutnie niemożliwe.

Bywaj zdrów, Ojczulku. Życzę panu, aby pan dobrze spędził lato i powrócił na jesień wypoczęty, z świeżymi siłami do nowego roku pracy. (Właściwie pan mnie powinien to napisać). Nie mam pojęcia, co pan robi z latem, gdzie i jak je pan spędzi. Nie mogę uzmysłwić sobie pańskiego środowiska. Czy pan grywa w golfa? poluje? jeździ konno? czy też tylko wygrzewa się na słońcu i rozmyśla?

Cokolwiek jednak pan robi i w jakikolwiek sposób pan spędza czas, życzę, aby pan dobrze się bawił i nie zapominał o ranie.

Pańska niezmiennie,
Aga.

10-y czerwca.

Drogi Ojczulku.

Najtrudniejszy to list, jaki kiedykolwiek przyszło mi napisać, decyzja moja zapadła jednak i niema możliwości cofnięcia jej. Bardzo to miłe, szlachetnie, żałosnie i poczciwie z pańskiej strony, że pan chce wysłać mnie tego lata do Europy. Na chwilę upoiła mnie

ta myśl, ale po otrzeźwieniu powiedziałam sobie:
— nie!

Byłoby przecież nielogicznie z mojej strony odmawiać pańskich pieniędzy na opłacanie kolegum, a zarazem przyjmować je na przyjemności! Nie powinien pan przyzwyczajać mnie do zbyt wielkiego dogadzania sobie. Nie czuję się braku tego, czego się nigdy nie posiadało, ale strasznie trudno jest obywać się bez rzeczy, które zaczęło się uważać za własne z przyrodzenia.

Życie wspólne z Julją i Sallie wystawia wciąż mój stoicyzm na ogniowe próby. Obie posiadały tysiące rzeczy od kołyski i dla tego przyjmują szczęście jako rzecz naturalną. Uważają, że należy im się od świata wszystko, czego im potrzeba. Może jest tak w istocie; w każdym razie życie zdaje się uznawać ten dług i wypłaca się im z niego. Mnie wszakże nie jest ono nic winno i wyraźnie oświadczyło mi to z samego początku. Nie mam prawa pożyczania na jego rachunek, bowiem przyjdzie chwila, kiedy odrzuci ono moje żądania.

Zapuściłam się na szerokie wody przenośni, myślałam jednak, że pan uchwyci nić przewodnią mojego rozumowania.

W każdym razie czuję najwyraźniej, iż jedyną uczciwą rzeczą, jaką winnam uczynić, jest poświęcenie tego lata belferce i rozpoczęcie istnienia o własnych siłach.

— — — — —
Magnolje.

Cztery dni później.

Stałam właśnie w tem miejscu listu, kiedy — niech pan zgadnie, co się stało? Weszła służąca z biletem wizytowym „panicza Jerry”. I on także wyjeżdża tego lata zagranicę; nie razem z Julją i jej ro-

dzina, ale zupełnie sam, niezależnie od nich. Opowiedziałam mu, że pan zaprosił mnie, abym pojechała do Europy z pewną panią, pod której opieką jedzie grupka młodych dziewcząt. Wie on o panu, Ojczulku. To znaczy, wie, że mój ojciec i matka nie żyją i że pewien zacny pan posyła mnie do kolegium; — nie miałam poprostu odwagi opowiedzieć mu o Domu Wychowawczym i o wszystkim innem. Myśli, że pan jest moim Opiekunem, jako zupełnie uprawniony do tego dawny przyjaciel naszej rodziny. Nie przyznałam mu się, że nigdy pana nie oglądałam na oczy, że pana wcale nie znam — wydałoby mu się to zbyt dziwnem.

○Niech pan sobie wyobrazi, nalegał, abym pojechała do Europy, utrzymując, że jest to niezbędne uzupełnienie mojego wykształcenia i że nie powinienam myśleć nawet o odmowie. Dodał, że i on będzie w tym samym miesiącu w Paryżu, będziemy więc mogli wyrwać się od czasu do czasu z pod opiekuńczych skrzydeł owej pani i urządzać sobie wspólne obiady w miłych, zabawnych, cudzoziemskich restauracjach.

Przyznam się, Ojczulku, że trafił w moją słabą stronę. O mały włos nie uległam i gdyby nie był przemawiał w takim tonie dyktatorskim, może na dobre uległabym. Można nakłaniać mnie powoli, stopniowo, perswazją i namową, ale zmuszać się nie dam! Powiedział, że jestem głupim, niedorzecznym, bezmózgim, niedowarzoną, przesadnym, bezmyślnym, upartym dzieciakiem, (przytaczam kilka tylko z serii obelżywych epitetów, jakimi mnie obrzucił, reszta wyszła mi z pamięci), że sama nie jestem w stanie ocenić, co jest dobre dla mnie i że dla tego powinienam iść za radą starszych. Pokłóciliśmy się prawie — może nawet pokłóciliśmy się na dobre!

Wynik był ten, że spakowałam czempredzej ma-

natki i przybyłam tutaj. Uważałam, że lepiej zrobię, paląc odrazu za sobą mosty przed dokończeniem listu tego do pana. Teraz z mostów zostały już tylko popioły. Jestem w Magnoljach z kufrem nierozpakowanym jeszcze i Florencją (młodszą z córek pani Patersonowej), porającą się już z rzeczownikami pierwszej odmiany. Jest niemożliwie rozpieszczona; będę musiała nasampierw nauczyć ją, jak ma się uczyć — nigdy dotychczas nie potrafiła skupić uwagi na niczem trudniejszym do zgłębienia, niż krem mrożony.

Naszą uczelnią jest zaciszny kącik wśród skał — pani Patersonowa życzy sobie, abym przebywała z dziewczátkami jaknajwięcej na powietrzu — obawiam się jednak, że trudno będzie skoncentrować uwagę na nauce, mając przed sobą błękitne morze i przepływające w dali okręty. A kiedy pomyślę w dodatku, że mogłabym być na jednym z nich — ale nie chcę myśleć o niczem innym po za łańską gramatyką.

Przyimki: a, ab, absque, coram, cum, de, e, ex, prae, pro, sine, tenus, in, subter, sub i super rządzą ablativem.

Widzi więc pan, Ojczulku, że jestem po uszy zagrożona w pracy i że usiłuję stale odwodzić oczy od pokusy. Proszę, niech się pan nie gniewa na mnie i nie przypuszcza, że nie oceniam należycie pańskiej dobroci; oceniam ją naprawdę — zawsze — zawsze. Jedynym sposobem odwdzięczenia się panu, jest stanie się Bardzo Pożytecznym Obywatелем Kraju, (czy kobiety są obywatelami? Chyba nie). W każdym razie Bardzo Pożyteczną Istotą. A ilekroć spojrzysz pan na mnie, będzie pan mógł powiedzieć sobie: — To ja dałem światu tę Bardzo Pożyteczną Istotę.

Brzmi to wcale niczego, prawda, Ojczulku? Ale nie chcę wprowadzać pana w błąd. Coraz czę-

ściej doznaję uczucia, że wcale, a wcale nie jestem
niezwykła; bardzo miło jest roić o wielkiej przyszło-
ści, ale najprawdopodobniej nie okażę się ani trochę
inną od każdej przeciętnej istoty. Może wyjdę w koń-
cu za mąż za jakiegoś przedsiębiorcę i będę mu na-
tchnieniem w jego pracy.

Pańska na wieki,

Aga.

19-y sierpnia.

Drogi Pajączku-Ojczulku.

Z okna mojego mam widok na najcudowniejszy
krajobraz — właściwie oceanoobraz — nic, tylko
woda i skały.

Lato upływa. Ranki schodzą mi na wdębianiu
w moje dwie głupie dziewczyny łaciny, angielskiego
i algebry. Nie wyobrażam sobie, jakim cudem uda
się Marion dostać kiedykolwiek do kolegum, a —
gdyby się nawet dostała — utrzymać się w niem. Ma-
ła Florencja jest już zupełnie beznadziejna — ale ta-
ka śliczna! Myślę, że ładna dziewczyna może sobie
pozwolić być głupią, — prawda? Trudno jednak
oprzecić się uczuciu politowania dla jej przyszłego mę-
ża, którego śmiertelnie zanudzać będzie musiała roz-
mowa z nią, chyba, że uda jej się dobrać sobie równie
głupiego, jak ona sama. Sądzę, że to jest zupełnie
możliwe; świat zdaje się być zapełniony głupimi
mężczyznami; poznałam sporo ich tego lata.

Popołudniu odbywamy przechadzki pośród skał,
albo pływamy, o ile stan wody na to pozwala. Z naj-
zupełniejszą łatwością potrafię pływać w słonej wo-
dzie — widzi pan, że nauka moja nie poszła w.... mie-
liznę (nie mogę przecież powiedzieć: w las).

W tej chwili przyszedł list od p. Jerrisa Pendle-
tona, trochę przykrótki i bardzo chłodny. Nie raczył

mi jeszcze wybaczyć, że ośmieliłam się nie pójść za daną mi przez niego radą. Mimo to, o ile powróci dość wcześniej, odwiedzi mnie w Wierzbinkach i zabawi tam kilka dni przed rozpoczęciem wykładów w kolegjum. Jeśli więc okażę się bardzo uprzejmą, łagodną i uległą, będę mogła (daje mi to do zrozumienia), być przywróconą do łaski.

Otrzymałam też list od Sallie. Chce, abym przyjechała do nich na lotnisko na dwa tygodnie we wrześniu. Czy mam prosić pana o pozwolenie? czy nie stanęłam jeszcze na tym punkcie, na którym wolno mi samodzielnie rozporządzać moją osobą? Tak, jestem pewna, że stanęłam; jestem już Senjorką, jak panu wiadomo. Po przepracowaniu całego lata czuję, że należą mi się krótkie chociażby rekreacje dla zdrowia. Chcę zobaczyć Adirondack; chcę zobaczyć Sallie; chcę widzieć się z bratem Sallie — ma mnie nauczyć wiosłować i sterować i chcę, (to główny mój motyw, może niezupełnie szlachetny), aby „panicz Jerry”, przychawszy do Wierzbinek, nie zastał mnie tam.

Muszę mu pokazać, że nie ma prawa dyktować mi, jak mam postępować. Nikt nie ma do tego prawa prócz pana, Ojczulku, — i to niezawsze. Niema mnie już. Zmykam do lasu,

Aga.

Letnisko państwa McBridów.

6-y września.

Drogi Ojczulku.

List pański nie przyszedł w porę, (stwierdzam to z przyjemnością). Jeśli pan chce, abym była posłuszna jego instrukcjom, musi pan polecić swojemu sekretarzowi, aby mi komunikował je wcześniej, ani-

żeli po upływie dwóch tygodni. Jak widzi pan, jestem u państwa McBridów i to już od pięciu dni.

Lasy są piękne, całe letnisko jest cudowne, pogoda jest rozkoszna, wszyscy McBridowie są słodcy; cały świat jest czarujący. Jestem bardzo szczęśliwa!

O, Jimmy woła mnie na łódkę! Żegnaj pana, przykro mi, że byłam nieposłuszna, ale dlaczego pan trwa tak uparcie w nieużyczeniu mi zdziebka zabawy?

Za pracę w ciągu całego lata zasługuję chyba na dwa tygodnie wakacji? Jest pan starym, nieznośnym szefem.

A jednak — kocham pana zawsze, Ojczulku, pomimo wszystkich wad pańskich,

Aga.

3-i października.

Drogi Ojczulku-Długonóżku.

Jestem z powrotem w kolegum, jako Senjorka i — redaktorka naszego Miesięcznika! Nie wydaje się możliwym — prawda? — aby taka uczona osoba była przed czterema jeszcze laty pupilką Domu Wychowawczego? Suniemy szybko w górę w Ameryce!

Niech pan sobie wyobrazi: liścik od „panicza Jerry“, zaadresowany do Wierzbinek i przesłany mi tutaj. Bardzo mu przykro, że nie będzie mógł tam być tej jesieni, ale przyjął zaproszenie na wycieczkę yachtem z kilkoma przyjaciółmi. Ma nadzieję, że przyjemnie spędzam lato i że rada jestem z pobytu na wsi.

Pisze to wszystko, a ja tymczasem wiem doskonale, że mój pobyt u państwa McBridów nie był dla niego tajemnicą. Dowiedział się o tem od Julji! Mo-

glibyście, panowie mężczyźni, pozostawić intrygi kobietom; nie macie dość delikatnego na to dotknięcia.

Julja przywiozła cały kufer zachwycających strojów — suknię wieczorową z crêpe liberty koloru tęczy, istna szata aniołów w raju. A mnie, naiwnej, zdawało się, że moje własne tualety wieczorowe są niezrównanie piękne. Skopjowałam, z pomocą taniej krawcowej, suknie pani Patersonowej i jakkolwiek kopje nie wyszły bliźniaczo tożsame, byłam zupełnie zadowolona, dopóki Julja nie wypakowała swoich. Ale teraz — żyję, aby zobaczyć Paryż!

Szczęśliwy pan musi być, że pan nie jest młodą dziewczyną, prawda, drogi Ojczulku? Jestem pewna, że pan uważa nasze przejmowanie się strojami za nadmiernie głupie. I ma pan zupełną rację. Niema wątpliwości co do tego. Ale to wyłącznie wasza wina, panowie świata.

Słyszał pan o pewnym uczonym „Herr Professor“, który patrzył z pogardą na niepotrzebne stroje i fatalaszki i wygłaszał kazania na temat rozumnych, praktycznych ubrań dla kobiet? Jego żona, potulne, poczciwe stworzenie, zastosowała się do jego poglądów i nosiła stale suknie-reformy. Jak się panu zdaje, jaki był rezultat? „Herr Professor“ czmychnął z baletnicą.

Pańska niezmiennie,

Aga.

P. S. Pokojówka na naszym korytarzu nosi niebieskie w białą kratkę suknie barchanowe. Kupię jej brązowe i utopię niebieskie na dnie jeziora. Zimno mi się robi na wspomnienie, jakie budzą one we mnie.

17-y listopada.

Drogi, dobry mój Ojczulku-Pajączku.

Już po całej mojej karierze literackiej! Nie wiem nawet, czy powiedzieć to panu, czy nie, ale tak mi potrzeba czyjś współczucia — cichego współczucia! bo, proszę, niech pan nie rozrywa świeżych moich ran przypominaniem mi tej klęski w przyszłym pańskim liście.

Wszystkie wieczory zeszłej zimy i w lecie, o ile nie wkuwałam łaciny w głowy obu głupich moich dziewczyn, poświęcałam na pisanie książki, którą skończyłam przed samem rozpoczęciem roku szkolnego, i posłałam wydawcy. Trzymał rękopis dwa miesiące i pewna już byłam, że go przyjął, aż tu wczoraj rano przyszła paczka rekomendowana, (musałam dopłacić trzydzieści centów!), a w niej moje dzieło, zwrócone mi z listem od wydawcy, grzecznym, ojcowskim, ale aż nazbyt szczerym! Piszę, że, sądząc z adresu, widzi, iż ma do czynienia ze studentką, radzi więc, o ile zechcę go usłuchać, abym całą moją energję skierowała na naukę i zaczęła z pisaniem, dopóki jej nie ukończę. Dołączył zarazem sąd o mojej książce jej referenta. Sąd ten brzmi, jak następuje:

„Pomysł nieprawdopodobny. Charakterystyka przesadna. Język rozmów nienaturalny. Dużo humoru i dowcipu, ale niezawsze w najlepszym guście. Poradzić autorce, aby próbowała dalej sił swoich; może z czasem napisze prawdziwą książkę“.

Niezbyt pochlebne, prawda, Ojczulku? A tak pewna byłam, że wnoszę cenny wkład do literatury amerykańskiej! Najpewniejsza! Rośliam sobie, że zrobię panu niespodziankę napisaniem dużej powieści jeszcze przed ukończeniem kolegium! Zbierałam materiał do niej podczas ostatniej wizyty mojej u Julji na Boże Narodzenie.

Kto wie jednak, czy redaktor nie ma racji. Widać dwa tygodnie nie wystarczyły za wystudjowanie obyczajów i manier wielkoświatowych.

Zabrałam z sobą rękopis wczoraj, idąc na przechadzkę i, stanąwszy przed gazownią, poprosiłam inżyniera o użyczenie mi na chwilę swojego paleniska. Otworzył mi uprzejmie drzwi, a ja własnymi rękami wrzuciłam poronione dzieło moje do pieca. Doznałam takiego zupełnie uczucia, jak gdybym spaliła własne moje dziecko.

Położyłam się potem spać w stanie ostatecznego zgnębienia; myślałam o tem, że nigdy do niczego nie dojdę i że pan wyrzucił pieniądze w błoto.

Tymczasem, niech pan sobie wyobrazi — obudziłam się dzisiaj z nowym wspaniałym tematem. Przez cały dzień obmyślałam charakterystykę osób, działających i czułam się rajsco szczęśliwą. Nikt mi chyba nie zarzuci, że jestem pesymistką!

Gdybym miała męża i dwanaścioro dzieci i gdyby wszystkich ich pochłoneła ziemia podczas jakiegoś kataklizmu, wstałabym nazajutrz uśmiechnięta i zaczęłabym oglądać się za nową rodziną.

Serdecznie oddana panu,
Aga.

14-y grudnia.

Pająkowaty-Długonogi Ojczulku.

Przezabawny snił mi się tej nocy sen. Śniłam, że wchodzę do księgarni i że subjekt podaje mi nową książkę, noszącą tytuł: „Życie i listy Agi Abbott”. Widziałam ją zupełnie wyraźnie: oprawa w czerwonego płótna z wizerunkiem Domu Wychowawczego na okładce oraz moją podobizną na karcie tytułowej i napisem u dołu: „Szczerze panu oddana Aga Abbott”. W chwili wszakże, kiedy otwierałam ostat-

nią stronicę, aby przeczytać napis na moim kamieniu mogiłnym, obudziłam się. Byłam ogromnie zła! Już, już miałam się dowiedzieć, za kogo wyjdę za mąż i kiedy umrę!... Szkoda!

— Prawda, jakie to byłoby ciekawe móc czytać historję własnego życia, opisaną zupełnie wiernie przez wszechwiedzącego autora? Gdyby tak móc ją przeczytać pod jednym tylko warunkiem: że nigdy się jej nie zapomni i że przejdzie się przez życie, wiedząc naprzód dokładnie, jakie każdy nasz krok zrodzi skutki, co się z człowiekiem stanie i kiedy, w jakim dniu i o jakiej godzinie umrze! Jak się panu zdaje, ilu ludzi miałoby w takim razie odwagę przeczytania jej? Lub też, odwrotnie, ilu potrafiłoby oprzeć się ciekawości przeczytania jej, nawet za cenę pozabawienia się na resztę życia niespodzianek, nadziei i ułud?

Życie jest w najlepszym razie wystarczająco jednodziejne; tak często trzeba jeść i spać. Wyobraźmy sobie jednak, jak śmieertelnie nudne byłoby, gdyby żadna już niespodzianka nie mogła spaść na nas pomiędzy śniadaniem a obiadem, albo obiadem a kolacją. O, Boże! usadziłam żyda, ale jestem na trzeciej stronicy i nie mogę przecież zaczynać nowego arkusika.

Studjuję w tym roku w dalszym ciągu biologję—bardzo ciekawy przedmiot; przechodzimy teraz system odżywczy. Żeby też pan mógł zobaczyć, jaki miluchny jest skrawek dwunastnicy kota pod mikroskopem!

Słuchamy już wykładów filozofji—ciekawe ale zanadto nieuchwytnie. Wolę biologję, bo mogę wpiąć przedmiot dyskusji na arkusz tektury. O, jeszcze jeden kleks! I jeszcze jeden! Moje pióro roni obficie. Przepraszam za nie.

— Wierzy pan w wolną wolę? Ja wierzę — bez zastrzeżeń. Zupełnie się nie zgadzam z filozofami, któ-

rzy uważają każdy czyn za bezwzględnie nieunikniony, niemal automatyczny wynik szeregu uprzednich przyczyn. Podług mnie jest to najbardziej niemoralna, jaka być może, teoria — nie możnaby nikogo za nic winić. Człowiek, który wierzy w fatalizm, siedziałby zupełnie bezczynnie, powtarzając: „Niech się dzieje wola Boża” i będzie siedział tak, aż do końca, aż do śmierci.

Wierzę stanowczo we własną moją wolną wolę, we własną moją możność doskonalenia się — a taka wiara zdolna jest przenosić góry. Zobaczysz pan, że stanę się wielką autorką! Ukończyłam już cztery rozdziały mojej nowej książki, a pięć dalszych naskicowałam.

Czuję sama, że mój list wygląda trochę jak groch z kapustą. Pewnie boli już pana głowa, Ojczulku? Czas skończyć. Zresztą muszę się zabrać do robienia ciągutek. Szkoda, że nie mogę panu posłać paru sztuk; będą doskonałe — z prawdziwej śmietanki i trzech kulek masła.

Pańska bardzo oddana,

Aga.

P. S. Przechodzimy teraz kurs tańców fantastycznych. Wyglądamy zupełnie jak prawdziwe baletnice. Nasze pełne wdzięku piruety budzą ogólny zachwyt.

Drogi, ukochany Ojczulku.

Czy to ma sens? Nie wie pan, że nie daje się jednej osobie siedemnastu prezentów gwiazdkowych? Proszę pamiętać też, że jestem Socjalistką, a pan chce zrobić ze mnie Plutokratkę.

Niech pan pomyśli, jaki miałabym kłopot, gdybyśmy pokłócili się kiedykolwiek! Musiałabym wy-

nając wóz meblowy, żeby zwrócić panu pańskie prezenty.

Bardzo mi przykro, że krawat, który panu posłałam, niebardzo równo zrobiony; to dzieło własnych rąk moich, (jak poznał pan napewno po supełkach z lewej strony). Radzę panu nosić go tylko w chłodne dni i szczerlnie zapinać na nim palto.

Dziękuję panu, Ojczulku, tysiącrotnie. Uważam, że pan jest najśłodszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek istniał — a zarazem najnierozsądniejszym!

Aga.

Załączam czterolistek kończyny z letniego obozu McBridów. Oby przyniósł panu szczęście na Nowy Rok!

9-y stycznia.

Chce pan, Ojczulku, zapewnić sobie wieczne zbawienie? Mamy tutaj pewną rodzinę, której położenie jest doprawdy rozpaczliwe. Matka, ojciec i czworo obecnych, widzialnych dzieci — dwaj starsi chłopcy powędrowali w świat za szczęściem, widocznie jednak nie znaleźli go jeszcze, bo nic nie dają o sobie znać. Ojciec pracował w hucie szklanej, dostał suchot — ogromnie niezdrowe zajęcie — i leży w szpitalu. Choroba jego pochłonięła wszystkie ich oszczędności i teraz cały ciężar utrzymania rodziny spadł na najstarszą, dwudziestoczteroletnią córkę. Zajmuje się ona krawieczyzną i szyje w magazynie za półtora dolara dziennie (o ile ma robotę), a wieczorami haftuje serwetki.

Matka nie jest silna, zupełnie niezaradna i wielce pobożna. Siedzi ze złożonemi modlitewnie rękami — obraz cierplivej rezygnacji — a córka pracowuje się i zamartwia na śmierć. Czuje bie-

dadzka, że nie przebrną przez zimę i żadnej nie widać na to rady; ja także nie widzę. Za sto dolarów można kupić dla nich węgiel i obuwie dla trojga dzieci, aby mogły chodzić do szkoły i jeszcze odłożyć coś, aby biedna dziewczyna nią potrzebowała zagryźć się, jak kilka dni przechodzi bez roboty.

— Pan jest najbogatszym człowiekiem, jakiego znam. Jak pan myśli, nie miałby pan na zbyciu stu dolarów, bez których ostatecznie mógłby się pan obejść? Ta biedna dziewczyna zasługuje na pomoc daleko bardziej, niż ja. Gdyby nie ona, nie zwróciłabym się z tą prośbą do pana. Matka mniej mnie wzrusza — taka galareta!

Wścieka mnie po prostu widok ludzi, wiecznie wdychających, przewracających oczami i powtarzających z poddaniem: — „Może to wszystko dla naszego dobra!” chociaż doskonale wiedzą, że ani się śni, żeby tak było. Pokora, rezygnacja, czy jak się tam to wszystko nazywa, jest zwyczajnie brakiem woli i chęci. Ja należę do bardziej wojującego kościoła!

Muszę przygotować na jutro całego Schopenhauera — najokropniejsza, podług mnie, część filozofii. Profesorowi naszemu zdaje się widocznie, że nie mamy prócz tego nic innego do roboty. Zabawny starowina; chodzi wiecznie zamyślony, z głową gdzieś w obłokach i łypiącemi nieprzytomnie oczami, ilekroć zdarzy mu się dotknąć realnego gruntu. Usiłuje ożywiać swoje wykłady rzekomemi dowcipami, przy których staramy się naturalnie uśmiechać, zapewniam pana jednak, że niema w nich nic zabawnego. Cały wolny swój od wykładów czas poświęca na rozmyślanie, czy świat istnieje w samej rzeczy, czy też wydaje nam się tylko, że istnieje.

Jestem pewna, że moja, ślepiąca oczy nad igłą, dziewczyna nie ma żadnych pod tym względem wątpliwości.

Jak pan sądzi, gdzie jest teraz moja najnowsza powieść? W koszu. Widzę sama, że niewiele warta, a jeśli rozkochany w swoim tworze autor zdaje sobie z tego sprawę, czegoż dopiero spodziewać się po krytycznie usposobionym czytelniku?

Później.

Piszę do pana, Ojczulku, z łoża boleści. Dwa dni leżałam z opuchniętymi migdałami; nie mogę teraz jeszcze nic przełknąć, prócz gorącego mleka. — „Co sobie myśleli rodzice pani, żeby nie dać wyciąć migdałów, jak pani była dzieckiem?” — zainteresował się doktor.

Nie wiem, co myśleli, wątpię jednak, czy wogóle myśleli o mnie.

Pańska,

A. A.

Nazajutrz z rana.

Przeczytałam mój list przed zaklejeniem go. Nie wiem sama, dla czego rzucam łzawy taki cień na życie? Zapewniam pana, że czuję się młodą, szczęśliwą i pełną radości; mam nadzieję, że i pan tak samo. Młodość nie ma nic wspólnego z rocznicami urodzin, tylko z żywotnością ducha; bez względu na siwą pańską głowę, może pan być wciąż jeszcze młodzieńcem.

Oddana panu całą duszą,

Aga.

12-y stycznia.

Drogi Panie Filantropie!

Pański czek dla mojej biednej rodziny nadszedł wczoraj. Bardzo, a bardzo panu dziękuję. Zwiąłam

z gimnastyki i zaniiosłam im go zaraz po lunchu. Szkoda, że pan nie mógł widzieć wyrazu twarzy młodej żywicielki rodziny. Była taka oszołomiona, szczęśliwa i wzruszona, że wyglądała prawie młodo, a ma przecież tylko dwadzieścia cztery lata. Czy to nie okropne?

W tej chwili wydaje jej się, że wszystkie błogosławieństwa spłynęły na nią naraz. Ma stałą, zapewnioną na dwa miesiące z góry, robotę — ktoś wychodzi za mąż i dostała do szycia wyprawę.

— Dzięki Najwyższemu! — zawołała matka, zrozumiawszy wreszcie, że ten mały skrawek papieru przedstawia wartość stu dolarów.

— To nie Najwyższy — odparłam — tylko Długonogi Ojczulek, (tak nazwałam pana, panie Smith).

— Ale Najwyższy natchnął go tą myślą! — upierała się.

— Wcale nie! To ja sama podsunęłam mu ją.

Pewna jednak jestem, Ojczulku, że Najwyższy odpowiednio pana wynagrodzi. Zasługuje pan na darowanie panu dziesięciu tysięcy lat mąk czyścowych.

Pańska bardzo, a bardzo wdzięczna,

Aga Abbott.

15-y luty.

Niech Wasza Królewska Mość raczy wysłuchać:

— „Dzisiejszego rana na śniadanie pasztet z pierśsi indyczej i gęś. Kazałem też podać sobie kubek herbaty,—wywaru z ziół chińskich, którego nigdy jeszcze nie piłem”.

Nie obawiaj się, Ojczulku, nie zwarjowałam, cytuję tylko Samuela Pepysa. Czytamy go w związku z historją Anglii, jako pracę źródłową. Rozmawiamy teraz z sobą wszystkie trzy: Sallie, Julja i ja, stylem 1660-go roku. Niech pan posłucha:

— „Udałem się na Charing Cross, aby oglądać wieszanie, wyciąganie i ćwiartowanie majora Harrisona: delikwent wyglądał tak pogodnie, jak tylko mógł wyglądać człowiek w jego kondycji“.

Albo:

— „Obiadałem w towarzystwie damy mojego serca, strojonej w piękne szaty żałobne po bracie, który zmarł wczoraj na plamistą gorączkę“.

Nie wydaje się to panu nieco zbyt wczesnem rozpoczynaniem obowiązków towarzyskich?—Jeden z przyjaciół Pepysa wpadł na pomysł umożliwienia królowi spłacenia jego długów przez sprzedawanie biedakom zepsutych prowiantów. I cóż pan na to, panie reformatorze? Mam wrażenie, że nie jesteśmy obecnie tak źli, jak malują nas gazety.

Samuel przejmował się swojemi strojami, jak byle dziewczyna; wydawał na nie pięć razy więcej, niż jego żona — musiał to być Złoty Wiek mężów. Jak się panu podoba taki naprzykład ustęp? Czy nie wzruszający?

— „Dzisiaj przyniesiono mi mój kamlotowy płaszcz ze złotemi guzikami, który kosztuje mnie dużo pieniędzy; proszę Boga, aby umożliwił mi zapłacenie zań“.

Proszę mi darować, że mój list taki pełen jest Pepysa; piszę o nim szczegółowy referat. Niech pan sobie wyobrazi nasz tryumf, Ojczulku! Związek Samorządowy zniósł nakaz gaszenia świateł o dziesiątej. Możemy palić lampy, chociażby całą noc, jeżeli kto ma ochotę, pod warunkiem wszakże nie przeszkadzania innym — uprawianie gościnności na szeroka skalę nie jest przewidywane.

Wynik tego zniesienia zakazu świetny stanowi przyczynek do znajomości natury ludzkiej. Odkąd wolno nam przesiadywać, jak długo nam się chce, wcale nam się nie chce długo przesiadywać! Głowy

zaczynają nam się kiwać o dziewiątej, a o wpół do dziesiątej pióra wypadają z naszych bezsilnych dłoni. Jest wpół do dziesiątej. Dobranoc.

Niedziela.

Wracam w tej chwili z kościoła — mówił kaznodzieja z Georgji. „Musimy pamiętać — ostrzegał — aby nie rozwijać umysłu kosztem strony uczuciowej”. — Wedle mojego widzenia, było to nędzne, suche kazanie. (jeszcze Pepys).

Zkądkolwiek przychodzą, z jakiej części Stanów Zjednoczonych lub Kanady i jakie noszą imię, — wiecznie słyszymy to samo kazanie. Czemuż do licha nie idą do męskich kolegów i nie ostrzegają tam studentów, aby unikali nadwężania męskich swoich natur nadmiarem pracy umysłowej?

Piękny mamy dzień — mroźny, lodowy, jasny. Zaraz po obiedzie Sallie, Julja, Marja Keene i Eleonora Pratt (przyjaciółki moje — ale pan ich nie zna) wkładamy krótkie spódniczki i biegniemy na wieś do Szklanego Źródła na pieczone kurczęta i wafle, a potem pan Szklano-Źródłowy przywiezie nas z powrotem swoim wozem drabiniastym. Powinnyśmy wrócić do kolegów na siódmą, ale mamy zamiar przedłużyć urlop do ósmej.

Bywaj zdrowy, zacy Panie...

Mam honor pisania się Waszej Łaskawości najuległęszą, najbardziej powolną, najpokorniejszą i najposlušniejszą sługą,

A. Abbott.

5-y marca.

Drogi Panie Opiekunie.

Jutro jest pierwsza środa miesiąca — ciężki dzień dla Domu Wychowawczego imienia Johna Griera. Z jaką ulgą odetchną wszyscy, kiedy wybije

nareszcie piąta i Panowie Opiekunowie, pogłaskawszy każde z dzieci po głowie, odjadą własnymi samochodami. Czy pan, Ojczulku, głaskał mnie kiedy (indywidualnie) po głowie? Nie przypuszczam — zachowałam jedynie pamięć grubych Opiekunów.

Niech pan serdecznie pokłoni się odemnie Domowi Wychowawczemu, naprawdę serdecznie. Kiedy cofam się myślą wstecz i pamięcią, zamgloną przeżyciami czterech lat, sięgam do pobytu mojego w Domu Wychowawczym, dziwnie rzewnego doznaje uczucia. Z początku, po przybyciu do kolegium, miałam żal do losu za to, że pozbawił mnie normalnego dzieciństwa, jakie było udziałem innych dziewcząt; teraz jednak zupełnie inaczej się na to zapatruję. Uważam to wprost za niezwykłą przygodę, zapewniającą mi rodzaj uprzywilejowanego, odrębnego stanowiska, z którego mogę obserwować życie. Wy-skoczywszy na świat odrazu jako dorosła, mogę ogarnąć całokształt jego z perspektywy, której brak zupełnie ludziom, wychowanym od dziecka w samym odmieńcu życia światowego.

Znam mnóstwo dziewcząt (Julję naprzykład), które wcale nie wiedzą, że są szczęśliwe. Tak żyły się z tem uczuciem, że zmysły ich zupełnie stępione są na nie. Ja, przeciwnie, w każdej chwili mojego istnienia głęboką mam świadomość doskonałego mojego szczęścia. I będę ją miała zawsze bez względu na to, jakie spotkać mnie mogą przykrości. Będę traktowała je (nawet ból zębów!) jako ciekawe przeżycia i rada będę, że przekonam się na sobie samej, jak one wyglądają. „Czy zły, czy dobry los mi przeznaczony, z pogodą przyjmę jeden i drugi”.

Nie bierz jednak, Ojczulku, zbyt literalnie tego sentymentu mojego dla Domu Wychowawczego imienia Johna Griera. Gdybym miała mieć pięcioro dzieci, jak Rousseau, nie podrzucę żadnego z nich na

progu Ochrony dla znajdek, aby zapewnić mu prostotę wychowania.

☞ Niech pan pokłoni się odemnie pani Lippett i niech pan nie zapomni jej powiedzieć, jak szlachetnie urobił się mój charakter.

Oddana panu całym sercem,

Aga.

Wierzbinki, 4-go kwietnia.

Drogi Ojczulku.

Zauważył pan stempel pocztowy? Sallie i ja uświetniamy Wierzbinki przez czas ferji wielkanocnych naszą obecnością. Doszliśmy do wniosku, że najlepiej wykorzystamy nasze dziesięć dni wakacji, jeśli spędzimy je w cichym jakimś zakątku. Nerwy nasze doszły do takiego stanu, że nie mogłyby znieść jednego chociażby jeszcze obiadu w Fergusson. Obiadowanie w jednej sali z czterema setkami dziewcząt jest prawdziwą katuszą dla przemęczonych nerwów. Taki jest hałas, że niepodobna usłyszeć, co mówi sąsiadka z przeciwnej strony stołu, chyba, że zrobi z ręki trąbkę i będzie wrzeszczała przez nią na cały głos. Niech pan nie myśli, że to przesada.

Wałęsamy się tutaj po pagórkach, czytamy, piśszemy i zażywamy odpoczynku. Wgramoliłyśmy się dzisiaj na szczyt Niebosiężny, — tam, gdzie „panicz Jerry“ i ja gotowaliśmy wieczerzę. Nie chce się wierzyć, że minęło już od tego czasu prawie dwa lata. Miejsce, gdzie dym naszego ogniska okopcił skałę, było jeszcze wyraźnie widocznie. Dziwne to, jak widok miejsc związanych jest nieodłącznie z osobami działającymi w nich, tak, że niepodobna oglądać pierwszych bez wspomniania drugich. Czułam się bez niego dziwnie osamotnioną przez dwie minuty.

Niech pan zgadnie, Ojczulku, czem jestem zajęta ostatnio? Napewno pomyśli pan, że jestem niepoprawna. — Piszę książkę. Zaczęłam pisać przed trzema tygodniami i pochłaniam ją ogromnemi porcjami. Odkryłam nareszcie sekret. „Panicz Jerry” i ów redaktor mieli rację — najniechybniej trafia się do duszy czytelnika, pisząc o tem, co się zna dobrze. Proszę zgadnąć, gdzie odbywa się akcja? W domu Wychowawczym. Książka jest dobra, Ojczulku! Widzę na prawdę, że jest dobra. Tematem jej są drobne, zwykłe wydarzenia codzienne. Jestem teraz realistką. Pożegnałam się na razie z romantyzmem; może kiedyś, w przyszłości, powrócę do niego, jak rozpocznę moje własne życie, pełne przygód niezwykłych.

Ta nowa książka musi być skończona i wydrukowana! Przekona się pan, że będzie. Jeśli się czegoś bardzo gorąco pragnie, nie ustając w usiłowaniach osiągnięcia upragnionego celu, osiąga się go w końcu. Przez całe cztery lata pragnęłam i usiłowałam dostać list od pana — i jeszcze nie dałam za wygraną.

Dobranoc, Ojczyku ojczysty!

(„Ojczyku ojczysty!” — podoba się panu taka aliteracja? Prawda, że ładnie brzmi?).

Calem sercem oddana panu,

Aga.

P. S. Zapomniałam opowiedzieć panu o nowinach folwarcznych. Niestety, są bardzo smutne. Niech pan nie czyta tego przypisku, jeśli nie chce pan narazić na szwank swojej wrażliwości.

Biedny stary bułanek zdechł. Tak osłabł, że nie mógł już żuć i musiano go zastrzelić.

Dziewięcioro kurcząt udusiła łasica czy kuna, a może po prostu sznur.

Jedna z kur zachorowała; musieliśmy sprowadzić do niej weterynarza z Bonnyrigg. Andrzej czu-

wał przy niej całą noc, żeby wlewać jej w gardło olej lniany i wódkę. Mamy jednak poważne przypuszczenia, że biedna chora jałosia dostała tylko olej lniany.

Sentymentalny Tommy (z sierścią mieniącą, jak szyltret) zginął; jest obawa, czy nie wpadł w zasadzkę.

Ach, tyle jest utrapień na świecie!

17-y maja.

Drogi Ojczulku-Pajaku.

List ten będzie bardzo krótki, bo na sam widok pióra łapie mnie kurcz w palcach. Przez cały dzień — notowanie na wykładach, a przez cały wieczór — nieśmiertelna powieść; — stanowczo za dużo pisania!

Zakończenie roku szkolnego za trzy tygodnie od przyszłej środy. Myślę, że mógłby pan przyjechać i poznać się ze mną — znieńawidzę pana, jeżeli pan nie przyjedzie!

Julja zaprasza wuja Jerrisa („panicza Jerry“), jako należącego do jej rodziny, a Sallie — Jimmie McBrida, jako członka swojej; kogo ja mogę zaprosić?

Jedynie pana i panią Lippett, a na nią nie mam wcale ochoty. Proszę, niech pan przyjedzie.

Pańska z przywiązaniem i kurczem pisarskim,
Aga.

Wierzbinki.

19-y czerwca.

Drogi Ojczulku! Pajaku! Długonóżku!

Jestem wykształcona! Mój dyplom spoczywa w dolnej szufladzie komody razem z mojami dwiema

najstrojniejszymi sukniami. Zakończenie roku szkolnego odbyło się, jak zwykle, z kilkoma ulewami w najważniejszych momentach: Dziękuję panu za przysłane mi przez pana pączki różane. Były prześliczne. „Panicz Jerry” i panicz Jimmie dali mi także róże, ale ich wiązanki zostawiłam w wannie, a pańską miałam przypiętą do stanika podczas uroczystego pochodu.

Jestem więc w Wierzbinkach na lato — może nazawsze. Utrzymanie jest tutaj niedrogie, otoczenie ciche, sprzyjające pracy literackiej. Czegoż więcej pragnąć mogłaby początkująca autorka? Zupełnie zwarjowana jestem na punkcie mojej książki. Myślę o niej na jawie i marzę o niej we śnie. Niczego mi więcej nie potrzeba prócz ciszy i mnóstwa wolnego czasu do pracy (no i w przerwach pożywnych posiłków).

„Panicz Jerry” ma przyjechać w sierpniu na tydzień, czy coś około tego, a Jimmie McBride obiecał wpadać od czasu do czasu w ciągu lata. Pracuje teraz dla jednej z firm i objeżdża okolicę z jej akcjami. Skorzysta z tego i za jednym zamachem połączy odwiedzenie mnie i tutejszego Banku Farmerskiego.

Widzi więc pan, że Wierzbinki nie mogą uskarżać się na zupełny brak ożywienia towarzyskiego. Mogłabym nawet mieć nadzieję, że i pan odwiedzi nas przy okazji objeżdżania kraju samochodem — wiem jednak, że uluda taka jest beznadziejna. Wówczas, kiedy nie przyjechał pan na dzień mojego promowania, wydarłam pana z mojego serca i pogrzebałam na zawsze.

Aga Abbott, B. A. (Bakalaureatka Akademji).

24-y czerwca.

Najdroższy Pająkowiaty Ojczulku.

Czy praca nie jest przyjemnością? — a może pan nigdy nie pracował? Szczególnie wtedy jest przyjemnością, kiedy to, co robimy, jest nam najmilsze ze wszystkiego na świecie. Pisałam, ile tylko pióro mogło nadażyć, codziennie tego lata i mam jedynie żal do życia, że dni nie są dość długie, abym mogła dać wyraz pisany wszystkim pięknym, cennym i zajmującym myślom, jakie snują mi się po głowie.

Ukończyłam drugą część mojej książki i jutro o wpół do ósmej z rana rozpoczynam trzecią. To najmilsza książka, jaką widział pan kiedykolwiek; tak — doprawdy — proszę się nie śmiać. Nie mogę myśleć o niczem innym. Zaledwie mogę doczekać się z rana chwili, kiedy, po ubraniu się i zjedzeniu śniadania, mogę zasiąść do niej, a potem piszę, piszę, piszę jednym tchem, dopóki nagle nie poczuję się tak zmęczoną, że myśl moja jest jak sparaliżowana. Zabieram wtedy Colina (nowego naszego psa owczarka), hasam z nim po polach i podczas tego zbieram świeży zapas pomysłów na następny dzień. Stanowczo najpiękniejsza to książka, jaką widział pan kiedykolwiek. O, przepraszam, już raz powiedziałam to.

Nie uważa mnie pan przecież za zarozumiałą — prawda, Ojczulku?

Nie jestem zarozumiała, doprawdy; tylko w tej chwili taka jestem rozentuzjasmowana! Może później ochłonę trochę; będę usposobiona bardziej krytycznie i lekceważąco dla mojej pracy. Ale nie, jestem pewna, że nie. Tym razem napisałam prawdziwą książkę. Przekona się pan sam.

Spróbuję na parę chwil mówić o czem innym. Nie pamiętam, czy pisałam panu, że Andrzej i Karusia pobrali się? Oboje pracują jeszcze tutaj, o ile jednak mogę osądzić, małżeństwo nie wyszło żadnemu

z nich na dobre. Ona śmiała się dawniej, kiedy zdarzyło mu się wleźć w błoto lub rozsypać popiół na podłogę, a teraz — o, gdyby pan mógł słyszeć, jak go za to beszta! Nie przypieka też już sobie grzywki na czole. On znów, który z taką gotowością wyręczał ją w trzepaniu dywanów i przy znoszeniu naręczy drzewa do kuchni, pomrukuje teraz ze złością, jak go o to prosi. Jego krawaty stały się też jakieś bezbarwne — czarne lub brązowe, gdy dawniej płonęły szkarłatem i purpurą. Postanowiłam nie wyjść nigdy za mąż. Małżeństwo musi być widocznie jakimś czynnikiem odbarwiającym.

Nie mam żadnych nowin do zakomunikowania panu o życiu na folwarku. Wszystkie zwierzęta mają się doskonale. Świnie nieprawdopodobnie się utuczyły, krowy mają zadowolone miny, a kury składają jajka i wysiadują je jak należy. Interesuje się pan drobiem? Jeżeli tak, pozwolę sobie polecić panu nieocenione małe dziełko „200 jajek rocznie z każdej kury”. Mam zamiar urządzić na przyszłą wiosnę wylegarnię i hodować kurczęta. Widzi pan, że osiadam w Wierzbinkach na stałe. Postanowiłam pozostać tutaj, dopóki nie napiszę 114 powieści, jak matka Antoniego Trollopa. Będę mogła wówczas powiedzieć sobie, że spełniłam zadanie moje w życiu i że mogę spocząć na laurach, to znaczy — podróżować.

Pan James McBride spędził u nas zeszłą niedzielę. Mielіśmy na obiad pieczone kurczęta i mrożony krem; i jedno i drugie znalazło jego uznanie. Ogromnie byłam rada, że go widzę; przypomniał mi na chwilę, że istnieje po za Wierzbinkami szeroki świat. Biedny Jimmie udręczony jest swojemi akcjami. Nie może nikomu ich wtrzyńić, mimo, że zachwala je jak najgoręcej. Tutejszy Bank Farmerów nie chciał mieć z niemi nic do czynienia, mimo, że dają sześć, a czasem siedem od sta rocznie. Myślę, że Jimmy zrobiłby

najlepiej, powracając do Worcester, gdzie znajdzie zajęcie w fabryce ojca. Jest zbyt szczerzy, zbyt łatwo-wierny i ma zbyt miękkie serce, aby mogło mu się dobrze wieść, jako finansście. Ale być kierownikiem świetnie prosperującej fabryki bluz roboczych — to stanowisko bardzo pożądane, jak się panu zdaje? Tymczasem kręci jeszcze nosem na bluzy, ale przeprosi się z niemi.

Mam nadzieję, że oceni pan należycie długość tego listu, pisanego przez osobę, dotkniętą kurczem pisarskim. Kocham pana zawsze, Ojczulku ojczysty, i jestem bardzo szczęśliwa.

Żyjąc wśród pięknej natury, mając wbród smaczne-go jada, wygodne łóżko do spania, ryżę białych, dziewiczych arkuszy papieru i garniec atramentu—czegoż można jeszcze żądać od świata?

Pańska całą duszą, jak zawsze,
Aga.

P. S. Listonosz był przed chwilą i przyniósł świeże wiadomości. „Panicz Jerrie” zapowiada swój przyjazd na piątek wieczór. Pozostanie cały tydzień. Bardzo miła nowina — boję się tylko, że moja książka ucierpi na tem. „Panicz Jerry” jest bardzo wymagający.

27-y sierpnia.

Drogi, kochany Ojczulku.

Gdzie pan się podziewa? Wciąż głowię się nad tem, ale jestem jak tabaka w rogu.

Nigdy nie wiem, w jakiej części świata szukać pana; mam jednak nadzieję, że niema pana teraz, podczas straszliwej tej kanikuly, w New-Yorku. Przypuszczam, że musi pan przebywać teraz na jakimś szczycie górskim, (ale nie w Szwajcarii, gdzieś bliżej), że rozkoszuje się pan wiecznym śniegiem i myśli

o mnie. Proszę, niech pan myśli o mnie! Jestem bardzo osamotniona i bardzo tęskno mi za kimś, kto myślałby o mnie. O, Ojczulku, tak chciałabym znać pana! Moglibyśmy w chwilach, kiedy czulibyśmy się oboje nieszczęśliwi, rozweselać się wzajem.

Czuje, że mam już Wierzbinek po uszy. Myślę o przeniesieniu się stąd. Sallie zamieszka w ziemie w Bostonie, aby pracować w osiedlach dla ubogich. Czy nie uważa pan, że byłoby dobrze, abym zamieszkała tam razem z nią? Mogłabym pisać, podczas kiedy ona poświęcałaby się pracy społecznej, a wieczory spędzałybyśmy wspólnie. Nieznośnie długie wydają się one, o ile niema nikogo, z kim możnaby pomówić, z wyjątkiem państwa Semplów, Andrzeja i Karusi? Wiem z góry, że mój pomysł zamieszkania w Bostonie razem z Sally nie zyska pańskiej aprobaty. Widzę już list pańskiego sekretarza, który będzie brzmiał, jak następuje:

„Wielmożna Panna Agata Abbott.

Szanowna Pani.

Pan Smith woli, aby pani pozostała w Wierzbinkach.

Z poważaniem

Elmer H. Griggs”.

Niecierpię pańskiego sekretarza. Człowiek, któremu na imię — Elmer H. Griggs — musi napewno być potworny.

Ale, doprawdy, Ojczulku, uważam, że nie pozostało mi nic innego, jeno jechać do Bostonu. Nie mogę pozostać tutaj dłużej. Jeżeli nie przerwie coś rychło monotoni mojego życia, rzucę się chyba z rozpaczą w przepaść, (taka nazwa na określenie jamy do przechowywania paszy na zimę brzmi może zbyt imponująco).

O, Boże, co za żar! Trawa wszędzie spalona, strumyki wszystkie wyschły do szczytu, a gościńce białe od kurzu. Nie było deszczu od nieskończonych tygodni.

Śadząc z tego listu, możnaby mnie posądzić o chorowanie na wodowstręt. Zapewniam pana, że go nie mam. Cierpię tylko na brak chociażby kawałka rodziny.

Żegnam pana, mój Ojczulku najdroższy.

Jaka szkoda, że nie znam pana!

Aga.

Wierzbinki, 19-y września.

Drogi Ojczulku.

Stało się coś, co do czego muszę zasięgnąć pańskiej rady. Tylko pan jeden może mi jej udzielić; nikt inny na świecie.

Czy nie byłoby możliwem, abym widziała się z panem osobiście? O tyle łatwiej jest mówić, niż pisać! Boję się też, że pański sekretarz mógłby otworzyć list.

Aga.

P. S. Jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa.

3-i października.

Drogi, ukochany Ojczulku!

Kartka pisana pańską ręką — mocno drżąca, jak widzę! — nadeszła dzisiaj rano. Martwi mnie strasznie, że był pan chory; gdybym wiedziała o tem, nie byłabym zaprzętała panu głowy mojami sprawami. Skoro jednak pan chce, wypowiadam się z moich przejść, ale uprzedzam, że są bardzo skomplikowane i trudne do opisanía i bardzo, bardzo intymne. Proszę, niech pan spali list po przeczytaniu.

Ale zanim zacznę, — oto czek na tysiąc dolarów. Zabawne — prawda? że ja posyłam panu czek? Jak panu się zdaje, skąd mam tyle pieniędzy?

Sprzedawałam moją powieść, Ojczulku! Mają drukować ją naprzód w miesięczniku, w siedmiu kolejnych zeszytach, a potem dopiero wyjdzie w oddzielnej książce!

Myśli pan pewnie, że warjuję z radości? Wcale nie. Jestem zupełnie apatyczna. Cieszę się, naturalnie, że mogę zacząć spłacać panu mój dług — winna jestem jeszcze panu z górą dwa tysiące. Będę je spłacała ratami. Ale proszę, niech pan nie robi mi trudności z przyjmowaniem — tak się cieszę, że mogę je zwrócić. Winna panu jestem coś nieskończenie cenniejszego, niż pieniądze — przez całe życie będę spłacała ten dług przywiązaniem i wdzięcznością.

A teraz, Ojczulku, przejdźmy do tej drugiej sprawy; proszę pana o najpraktyczniej życiową, najszerszą, najbardziej bezstronną radę, nie licząc się z tem, czy może mi się ona podobać, czy nie.

Wiadomo panu, jak bardzo gorące żywiłam względem pana uczucia; uosabia pan przecież dla mnie całą moją rodzinę. Nie weźmie mi pan jednak za złe, jeśli wyznam, że gorętsze jeszcze uczucia żywię dla innego mężczyzny? Przypuszczam też, że nietrudno panu będzie odgadnąć, dla kogo. Podejrzewam, że moje listy od dłuższego już czasu pełne być musiały „panicza Jerry”.

Chciałabym, ażeby pan był w stanie zdać sobie sprawę, jaki on jest i jak nam jest dobrze z sobą razem. Mamy jednakowe na wszystko poglądy — ze strachem odkrywam w sobie tendencję do naginania moich własnych tak, aby upodabniały się do jego. Faktem jest jednak, że on zawsze ma rację; tak zresztą być powinno, bo ma o czternaście lat więcej doświadczenia życiowego ode mnie. Mimo to w wielu

rzeczach jest dużym dzieciakiem i potrzebna mu jest troskliwa opieka — nigdy nie pamięta o wkładaniu kaloszy podczas deszczu. I on i ja znajdujemy upodobanie w tych samych rzeczach; i on i ja uważamy, że świat pełen jest rozkoszy; i mnie i jego bawi to samo — okropne musi być, jeśli dwoje ludzi ma zasadniczo odmienne poczucie humoru. Myślę, że nic nie jest w stanie przerzucić mostu przez taką otchłań!

A przytem taki jest... Nie, nie potrafię tego ująć w słowa. Jest właśnie osobą, a ja tęsknię za nim, brak mi go, brak niewypowiedzianie. Całe życie wydaje mi się bez niego pustką, wszystko na świecie razi mnie, rani i boli. Nienawidzę światła księżyca dla tego właśnie, że jest takie piękne, a jego niema, aby się zachwycał niem wraz ze mną. Ale może i pan kochał kiedyś w życiu? w takim razie rozumie mnie pan. Jeśli pan kochał, nie mam potrzeby tłumaczyć panu; jeśli nie — nie mogę wytłumaczyć.

Tak właśnie wyglądają moje uczucia dla niego, a jednak nie zgodziłam się zostać jego żoną.

Nie powiedziałam mu dla czego. Nie mogłam mówić. Milczałam i czułam się tak strasznie nieszczęśliwą! Nie znalazłam nic do powiedzenia. A on odjechał, wyobrażając sobie, że chce wyjść za mąż za Jimmie McBrida. Ani mi się to śni; nie przyszłoby mi wcale na myśl, że można wyjść za mąż za Jimmie; nie uważam go za dostatecznie dojrzałego. Najgorsze, że pomiędzy mną, a paniczem Jerry fatalne zaszło z tego powodu nieporozumienie i oboje głęboko zraniliśmy wzajem nasze uczucia. Bo, rozumie pan, odmówiłam mu nie dla tego, że go nie kocham, ale, że go kocham tak bardzo. Bałam się, że w przyszłości może pożałować nieopatrzego kroku — a tego nie potrafiłabym przeżyć! Zdawało mi się, że osoba tak zupełnie pozbawiona przodków, jak ja, nie ma prawa wejść do takiej rodziny, jak jego. Nie mówiłam

z nim nigdy o Domu Wychowawczym. Przez gardło przejść mi nie chciało przyznanie się, że nie wiem, kim jestem. Mogę być kimś okropnym — prawda? A jego rodzina taka jest dumna — ale i ja także jestem dumna!

Potroszę czułam się też związaną wobec pana. Kształcił mnie pan po to, abym się stała pisarką, muszę więc przynajmniej starać się zostać nią; nie zdaje mi się, aby było uczciwie przyjmować tyle ofiar na moje kształcenie, a potem wcale z niego nie korzystać.

Teraz jednakże, kiedy widzę, że będę miała możliwość zwrócenia panu wydanych na mnie pieniędzy, czuję, że częściowo przynajmniej uwolniłam się od ciężącego na mnie długu — przypuszczam zresztą, że mogłabym, nawet wyszedłszy za męża, być w dalszym ciągu pisarką. Obie te profesje nie muszą się koniecznie wykluczać wzajemnie.

Długo i usilnie rozmyślałam nad tem. Jerry jest, co prawda, socjalistą i poglądy jego nie są wcale konwencjonalne; może też nie robiłoby mu tak wielkiej, jak innym mężczyznom, różnicy wzięcie żony z proletariatu. Może też, jeśli dwoje ludzi tak bezwzględnie i we wszystkim z sobą się zgadza, jeśli czują się tak rajsco szczęśliwi, kiedy są razem i tak bezgranicznie nieszczęśliwi zdala od siebie, nie powinni pozwolić, aby cośkolwiek na świecie mogło stanąć pomiędzy nimi? Chcę oczywiście wierzyć w to! Chciałabym jednak nade wszystko usłyszeć pański bezinteresowny sąd w tej mierze. Pan także należy prawdopodobnie do jakiejś Rodziny, będzie więc pan zapatrywał się na to ze światowego punktu widzenia, a nie z czysto ludzkiego, współczującego stanowiska. Widzi więc pan, że odwołanie się moje w tej sprawie do pana jest aktem prawdziwego męstwa z mojej strony.

A gdybym tak zwróciła się wprost do niego i wyjaśniła mu, że przyczyną nie jest Jimmie, ale Dom Wychowawczy — czy byłby to naprawdę taki straszny krok z mojej strony? Rozumie się, że niełatwo byłoby mi zdobyć się na tyle odwagi. Kto wie, czy nie wolałabym już zostać nieszczęśliwą na całe życie.

Stało się to wszystko przed dwoma miesiącami mniej więcej. Nie miałam od niego ani słówka i nic nie słyszałam o nim od tego czasu. Zaczęłam już żywać się potrochu z uczuciem złamanego serca, kiedy nagle list otrzymany dzisiaj od Julji na nowo poruszył mnie do głębi. Wspomina w nim — zupełnie przygodnie — że wuja Jervisa złapała burza podczas polowania w Kanadzie i że wskutek tego ciężko zachorował na zapalenie płuc. A ja o niczem nie wiedziałam! Czułam się dotknięta zniknięciem jego i niedawaniem znaku życia o sobie. Wyobrażam sobie, jak bardzo musi się czuć nieszczęśliwym i wiem też, kto jeszcze bardziej jest nieszczęśliwy.

Jak się panu wydaje, jak powinnam postąpić?

Aga.

6-y października.

Najdroższy, najukochańszy Ojczulku-Pajaku.

Ależ tak, naturalnie, że przyjadę. Będę u pana w środę po obiedzie i wpół do piątej. Rozumie się, że trafię. Byłam trzy razy w New-Yorku i nie jestem przecież małym dzieckiem. Nie mogę w to uwierzyć, że naprawdę zobaczę pana — przez tak długi czas wyobrażałam sobie pana tylko, że trudno mi jest myśleć o panu, jako o istocie z ciała i krwi.

Jaki pan dobry, Ojczulku, że kłopotczy się pan mną, nie czując się sam zupełnie silnym. Niech się pan

pilnuje i nie przeziębiam. Te ciągle deszcze tyle sprowadzają wilgoci.

Bardzo, a bardzo oddana panu,
Aga.

P. S. Przyszło mi w tej chwili na myśl coś strasznego. Czy ma pan lokaja? Ogromnie się boję lokajów i gdyby taki pan miał otworzyć mi drzwi, zemdlałabym chyba na progu. Jak się do takiego odezwać? I co mam powiedzieć? Nie znam pańskiego nazwiska. Czy mam się zapytać o pana Smitha?

Czwartek rano.

Najdroższy, najgoręcej ukochany paniczku Jerrie, Pajaku, Długonózku, Ojczulku, Pendletonie, Smithie!

Spałeś tej nocy? Ja—nie. Ani na jedną chwileczkę. Byłam zbyt olśniona, oszołomiona i szczęśliwa. Chyba nigdy już nie będę mogła spać—ani jeść. Ale mam nadzieję, że ty spałeś. Powinieneś spać, bo musisz prędko wyzdrowieć, abys mógł jaknajprędzej przyjechać do mnie.

Drogi mój, nie mogę znieść myśli, że taki byleś chory, a ja nic a nic o tem nie wiedziałam. Doktor, sprowadzając mnie wczaj do powozu, powiedział, że w ciągu trzech dni uważano cię prawie za straconego. O, najdroższy, gdyby się to stało, zgasłoby dla mnie światło na ziemi. Przypuszczam, że kiedyś, w dalekiej przyszłości, jedno z nas będzie musiało opuścić drugie; ale wówczas będzie miało każde za sobą tyle przeżytego szczęścia, iż żyć będzie mogło wspomnieniami o niem.

Chciałam rozweselić cię moim listem, a tymczasem widzę, że muszę podnieść naprzód na duchu siebie samą. Bowiem, pomimo ogromu szczęścia, o jakim nie mogłam nigdy śnić, ani marzyć, czuję się dziwnie

zaniepokojoną. Strach, że mogłoby ci stać się coś, legł cieniem na moje serce. Dotychczas mogłam żyć wesoła, swobodna i beztroska, bo nie posiadałam nic cennego, o co mogłabym drżeć i co mogłabym utracić. Ale teraz całe moje życie wypełni jedna wielka troska. Ilekroć będziesz zdala ode mnie, będę widziała w wyobraźni wszystkie straszne samochody, które mogłyby cię przejechać, wszystkie szyldy, które mogłyby spaść na ciebie, wszystkie złośliwe mikroby, które mogłybyś połknąć. Pryśł nazawsze mój spokój duszy; — co prawda, nie byłam nigdy zwolenniczką zupełnego spokoju.

Proszę cię, wyzdrowiej, prędko, jaknajprędzej! Muszę cię mieć przy sobie, ażebym mogła cię widzieć i czuć, że jesteś istotą żywą, namacalną. Gdybym była członkiem twojej rodziny (choćby najdalszą kuzynką czwartego stopnia), miałabym prawo odwiedzać cię codziennie, czytać ci głośno, poprawiać ci poduszki, wygładzać te dwie twoje drogie, drobne zmarszczki na czole i zmusić kochane kąciki ust twoich do podnoszenia się do góry w słodkim, wesołym uśmiechu. Już rozweseliłeś się — prawda? Byłeś już zupełnie wesół wczoraj, zanim rozstaliśmy się. Doktor powiedział, że muszę być dobrą pielęgniarką, bo wyglądasz o dziesięć lat młodziej. Mam nadzieję, że nie wszystkich zakochanie się odmładza o dziesięć lat. Czy nie wpłynie to ujemnie na twoją miłość dla mnie, jeżeli okaże się, że jestem jedenastoletnią dziewczynką?

Dzień wczorajszy był najczarowniejszy, jaki mogłam wogóle przeżyć. Gdybym miała umrzeć, jako dziewięćdziesięcioletnia staruszka, nie zapomnę najdrobniejszego szczegółu. Młoda dziewczyna, która wyjechała z Wierzbinek o świcie, była zupełnie inną osobą, aniżeli ta, która powróciła tutaj wieczorem.

Pani Sempłowa obudziła mnie o wpół do piątej. Zerwałam się odrazu wśród ciemności i pierwszą moją myślą było: „Poznam Ojczulka-Pajaka! Poznam

Długonogiego Iksa!" Zjadłam śniadanie w kuchni przy świecy, a potem pojechałam na odległą o pięć mil stację w najczudniejszym świetle październikowego poranka. Słońce weszło podczas drogi, klony i derenia zapłonęły w jego blaskach ogniem, złotem i purpurą, kamienie przydrożne, mury i pola zamigotały brylantami zamrozu, powietrze było ostre, przejrzyste i pełne balsamów. C z u ł a m, że stanie się coś nadzwyczajnego. Przez cały czas w pociągu szyny nie przestawały mi śpiewać: „Jedziesz poznać Ojczulka-Pajaka! Jedziesz poznać Długonogiego Iksa!" — Przyspiew ten dziwniej dodawał mi otuchy. Coś mi mówiło, że „Ojczulek" ułoży wszystko jaknajlepiej. Jechałam pełna wiary i ufności w niego. I wiedziałam zarazem, że inny mężczyzna, droższy od „Ojczulka" — pragnie widzieć mnie i, nie wiem dla czego, ale czułam, że z nim wrócę do Wierzbinek, zobaczę i jego także. Widzisz, że przecucia nie omyliły mnie.

Kiedy stanęłam przed domem na Madison Avenue, taki wydał mi się on wielki, ciemny i nieprzystępny, że nie śmiałam wejść do środka. Obeszłam go dookoła, ażeby zdobyć się na odwagę. Przekonałam się jednak odrazu, że ani trochę nie było czego się bać. Twój lokaj to taki miły, taki po ojcowsku wyglądający staruszek, że uczulałam się od pierwszej chwili, jak w domu. — „Czy pani jest panną Abbott?" — zapytał mnie na wstępie. — „Tak" — odpowiedziałam, szczęśliwa, że nie miałam potrzeby zapytać się o pana Smitha. Poprosił, abym zaczekała chwilę w salonie. Ciemnowy trochę, ale wspaniały, prawdziwie męski pokój. Usiadłam na brzeżku wielkiego, miękkiego fotela, wciąż powtarzając sobie:

— Zobaczę Ojczulka-Pajaka! Zobaczę Długonogiego Iksa!...

W chwilę potem powrócił miły staruszek i poprosił, abym przeszła za nim do biblioteki. Byłam taka wzruszona, że nogi literalnie ugięły się pode mną.

Przy drzwiach staruszek odwrócił się i szepnął: — „Był bardzo chory, panienko. Dzisiaj pierwszy raz pozwolił mu doktor usiąść na fotelu. Nie zostanie pani za długo, żeby go nie zmęczyć?” — Z tonu, jakim to wypowiedział, poznałam, że bardzo musi cię kochać — drogi, poczciwy staruszek!

Potem zapukał i oznajmił: „panna Abbott”. — Weszłam i drzwi zamknęły się za mną.

Po wejściu z jasno oświetlonego hallu taki panował tutaj półmrok, że narazie nie widziałam nic. Po-tem dostrzegłam wysoki fotel przed ogniem kominka i stojący przed nim stolik z błyszczącą zastawą herbatnią i krzesłem obok. Spostrzegłam też, że wtulony w wysoki fotel, obłożony poduszkami i okryty pledem, siedzi mężczyzna. Zanim zdążyłam powstrzymać go, wstał, chwając się nieco na nogach, oparł się o poręcz fotela i spojrzał na mnie bez słowa...

W tej samej chwili... w tej samej chwili... zobaczyłam, że to byłeś ty! Ale i to jeszcze nie otworzyło mi oczu. Przyszło mi tylko na myśl, że Ojczulek-Pajak, sprowadził cię tutaj, ażeby zrobić mi niespodziankę.

Ale ty roześmiałeś się i, wyciągając do mnie rękę, rzekłeś: — Droga, mała Ago, nie domyśliłaś się więc, że to ja jestem Ojczulkiem-Pajakiem?

W jednej chwili olśniła mnie jasność. O, jak mogłam być tak głupią! Tysiące drobnych szczegółów powinno było, gdybym miała trochę więcej sprytu, odsłonić mi oddawna całą prawdę. Nie byłabym chyba dobrym detektywem, Ojczulku, Jerry!... Jak mam cię właściwie nazywać? Prosiłeś, abym cię nie nazywała panem. Ale tak, po prostu, Jerry?... To byłoby zbyt poufale, zbyt wielkim brakiem szacunku, a ja przecież muszę mieć dla ciebie szacunek... Byłeś tak długo moim Opiekunem, moim drogim Ojczulkiem!

Spędziliśmy słodkie, najśłodsze w świecie półgo-

godziny, zanim przyszedł twój doktor, aby zabrać mnie bez pardonu. Tak byłam nieprzytomna przez całą drogę na stację, że o mały włos nie wsiadłam do niewłaściwego pociągu. A i ty także niezupełnie byłeś przytomny — zapomniałeś poczęstować mnie herbatą. Ale jesteście oboje bardzo, bardzo szczęśliwi, prawda, Ojczulku? prawda, Jerry?

Przyjechałam do Wierzbinek już po północy. Jak bosko błyszczały gwiazdy na niebie! A dzisiaj z rana byłam już daleko na polach i łąkach z Colinem i zwiedziłam wszystkie miejsca, na których bywaliśmy, ty i ja razem, i przypomniałam sobie, co mówiłeś i jak wyglądałeś...

Las płonął cały brązem, a powietrze było kryształowo mroźne. Dziwnie unoszące powietrze — jak na skrzwdłach. O, gdybyś mógł być tutaj i wbiez na wszystkie szczyty wraz ze mną! Brak mi ciebie okrutnie, tęsknię za tobą, Jerry mój, ukochany! Ale tęsknota taka jest rozkoszna!... Będziemy wkrótce razem. Należymy wzajem do siebie, teraz już nazawsze i naprawdę, a nie tylko na niby. Nie wydaje ci się dziwnem, że i ja wreszcie mogę należeć do kogoś? Ach, jakie to cudowne, jakie boskie, jakie słodkie uczucie!

Nigdy nie pozwolę, abys tego pożałował, nigdy, ani na jedną chwilę.

Twoja na wieki,

Aga.

P. S. Pierwszy to list miłosny, jaki kiedykolwiek napisałam. Czy nie zabawne, że wiedziałam jak?

KONIEC

Poz. ks. nr 4588



A) Upraszam o nadsyłanie wydawnictwa tygodniowego **BIBLIOTEKA GROSZOWA**.

Należność, z przesyłką pocztową;
z dodatkami dla młodzieży oraz
z magazynem nHP:

Za kwartał zł. 9 gr. 95

" " w oprawie zł. 13 gr. 95

jednocześnie przesyłam przekazem
(P. K. O. 11.140).

Proszę pobrać za zaliczeniem pocztowym, z doliczeniem kosztów zaliczenia.

Wiersz
niepotrzebny
przekreślić

B) Upraszam o zapisanie mnie na listę prenumeratorów kwartalnych „SYGNAŁY CZASU”,
począwszy od dnia..... 192..... roku.

Należność z przesyłką
za kwartał:

Wiersze niepotrzebne
bezwzględnie wykreślić

zł. 10.50 za 3 książki w broszurze

zł. 13.50 za 3 książki w oprawie

Jednocześnie wpłacam na konto
w P. K. O. WPanów Nr. 11140.

proszę pobrać za zaliczeniem
przy pierwszej przesyłce z doliczeniem kosztów zaliczenia.

Imię i nazwisko
(czytelne)

Dokładny adres:

Poczta:

Zamówienie

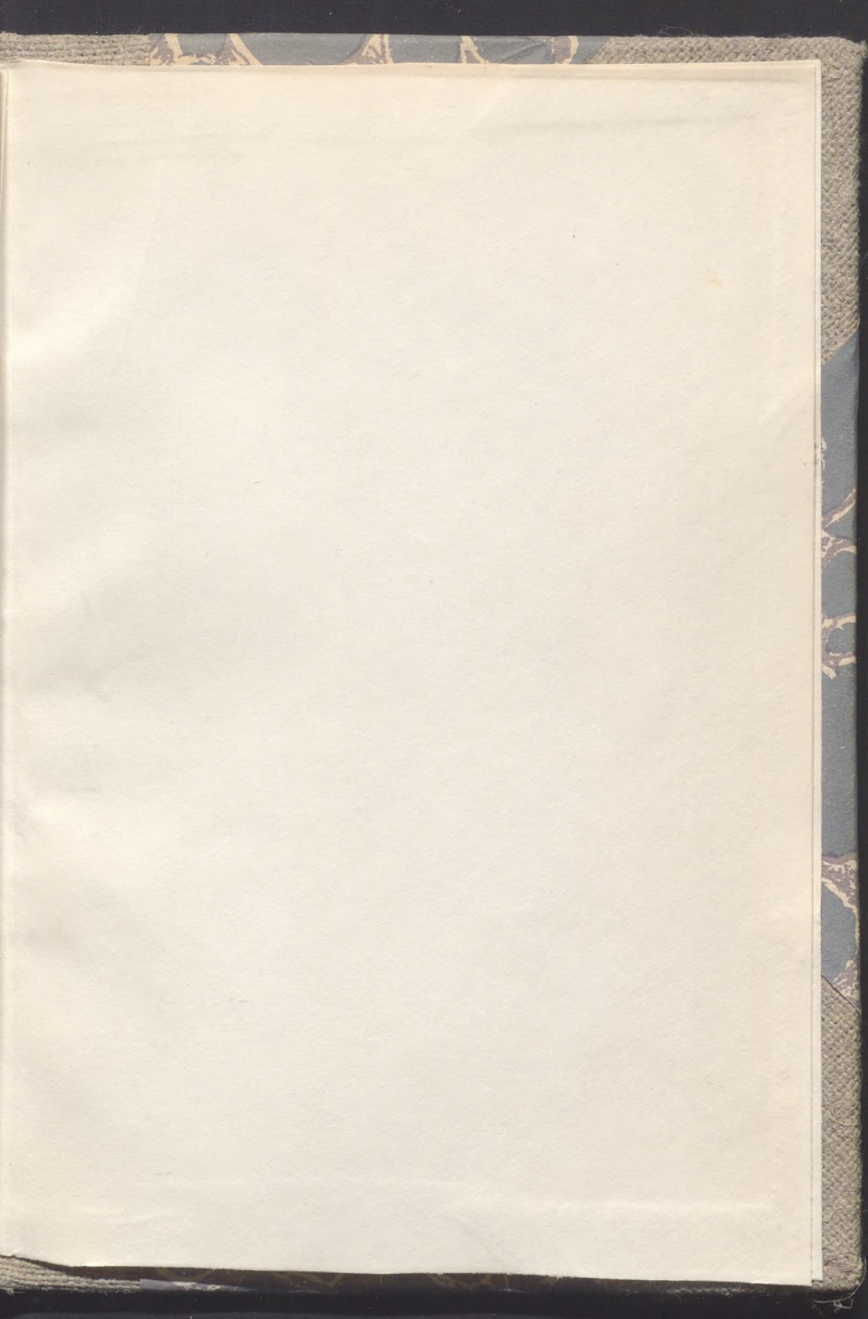
Do

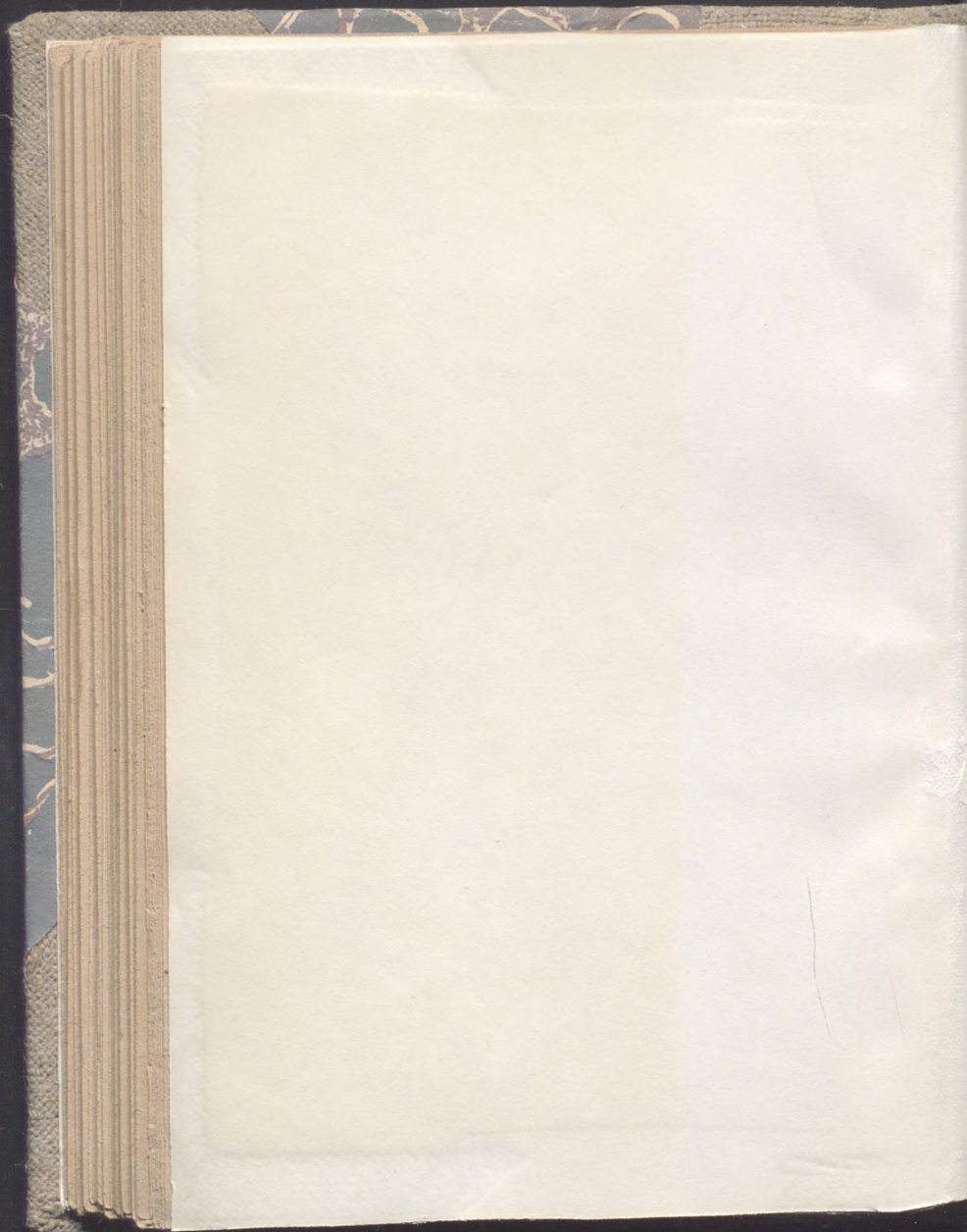
Biblioteki Groszowej

w WARSZAWIE

ul. Moniuszki 11/1.

ent





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001020669001



1460771

BN